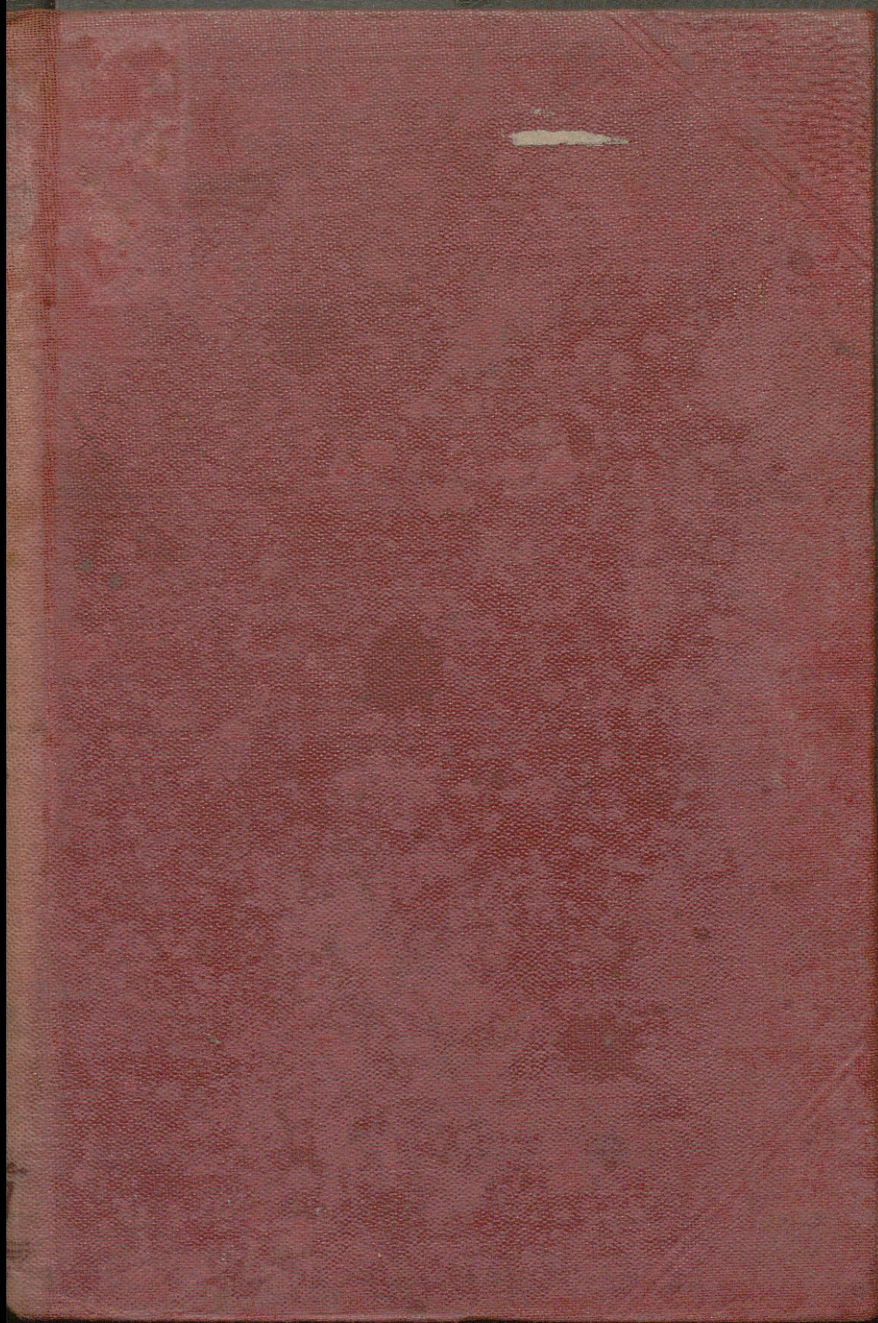


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Centimetres

Inches





BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty

we Lwowie i całym Państwie Austryackim:

Rocznie (52 tomy)	złr. 14
Półrocznie (26 tomów) . .	„ 7
Kwartalnie (13 tomów) . .	„ 3 cent. 50
Miesięcznie (4—5 tomów) . .	„ 1 „ 20

Cena każdego tomu 30 cent.

REDAKTOR I WYDAWCA:

Franc. Jul. Granowski.

Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Warecka 14. — Telefonu 88.
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

DRUK J. SIKORSKIEGO. WARECKA 14.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Nr. 347

EDMUND DEMOLINS.

POTĘGA WYCHOWANIA.

„Od czego zależy wyższość rasy Anglo-Saksońskiej”.

Przekład z francuskiego.

WYDANIE NOWE.

CZĘŚĆ I.

Cena 30 cent.

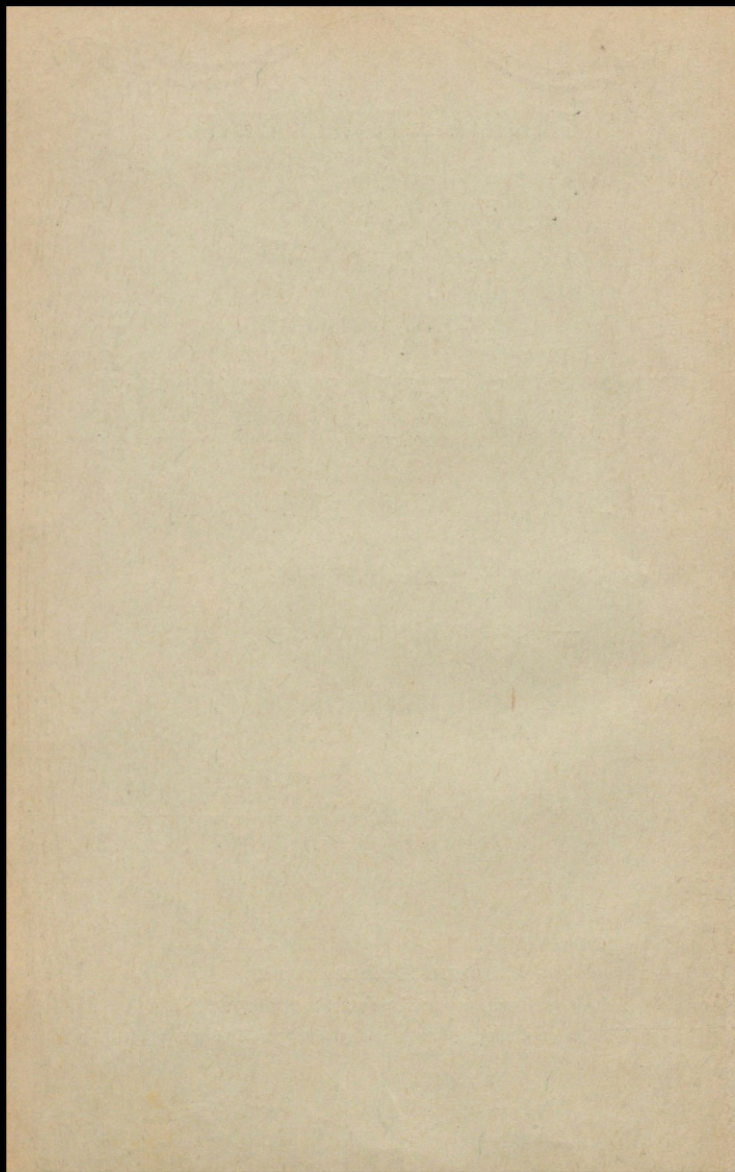
*
W prenum. 26²/₁₀ cent.

ODPOWIEDZIALNY ZA REDAKCYĘ WE LWOWIE

Edmund Kolbuszowski.

Adres wydawnictwa: Lwów, Plac Maryacki l. 4.

Pieniądze na prenumeratę należy nadsyłać wprost do Administracji.



EDMUND DEMOLINS.

POTĘGA WYCHOWANIA.

„Od czego zależy wyższość rasy Anglo-Saksońskiej“.

PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

WYDANIE NOWE.

Część I.

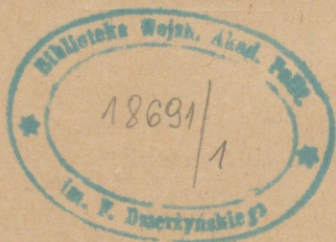
WARSZAWA.

Druk Józefa Sikorskiego, Warecka 14.

—
1904.

37

Дозволено Цензурою.
Варшава, 18 Августа 1904 года.



Książka Edmunda Demolins'a o „przyczynach wyższości rasy anglosaksońskiej“, należy niezawodnie do liczby najciekawszych i najbardziej pouczających, jakie były w ostatnich czasach napisane. Nie wątpimy też, że wobec wyczerpania pierwszego nakładu tłumaczenia tego dzieła, nowe jego wydanie w *Bibliotece Dzieł Wyborowych* będzie z uznaniem przyjęte przez czytelników.

PRZEDMOWA.

„Wyższość *Anglo-Saksonów*“, jeśli się o niej nie mówi głośno, to wszakże uznaje się ją po cichu, a znosi z musu. Dowodnie świadczy o tem ta obawa, nieufność, a niekiedy i nienawiść, jakie czujemy ku Anglikom.

Nie można zrobić kroku, ażeby się z nimi nie zetknąć, nie można okiem rzucić po świecie, by nie zauważyć wszędzie powiewającej flagi angielskiej. Panują oni w Ameryce przez Kanadę i Stany Zjednoczone; w Afryce przez Egipt i Cap; w Azji przez Indye i Birmanię; w Oceanii przez Australię i Nową Zelandyę; w Europie nareszcie i w całym świecie przez swój przemysł, handel i politykę.

Dość spojrzeć na mapę, aby się przekonać o niezwykłej rozlewności tej rasy, która zdaje się dążyć do odziedziczenia po państwie Rzymskiem niepodzielnej władzy w rządach świata. Inne narodowości, jak np. Francuzi, Niemcy, Włosi i Hiszpanie, mają też kolonie, ale są to przeważnie kolonie urzędnicze. Władają oni terytorjami siłą oręża, nie za-

ludniając ich, nie podnosząc ich znaczenia, nie aklimatyzując się w nich podobnie jak Anglicy.

Gdziekolwiek zaś oni się pojawiają, z cudowną i niezwykłą szybkością przetwarza się wszystko, gdyż wnoszą niezwłocznie najnowsze zdobycze cywilizacji i organizację wszelkiego rodzaju stowarzyszeń Zachodu.

I często zdarza się, że młode te stowarzyszenia przewyższają swe pierwowzory w bardzo krótkim czasie. U tych *młodych* wytworzyła się nawet pogardliwa nazwa dla Europy: „*Stary świat*“. I przyznać trzeba, że rzeczywiście Europa wygląda przy nich, niby zacofana staruszka.

Najwymowniej wszakże przemawiają cyfry, które według urzędowej statystyki za rok bieżący, wykazały, że przez kanał Suezki przepłynęło:

Okrętów francuzkich.	169
„ niemieckich	260
„ angielskich.	2262.

Znaczy to mniej więcej, że obroty handlowe Anglii przewyższają sześciokrotnie handel wywozowy Francji i Niemiec, razem wziętych; znaczy to, że wpływ Anglii jest 10 do 12 razy potężniejszym niż każdego z wymienionych państw oddzielnie, że o tyleż razy obszar jej kolonii jest większym, słowem, że cywilizacyjna jej rozlewność dominuje nad światem. Jak się to stało, czemu Anglicy zawdzięczają swą przewagę, jakimi środkami do niej doszli, o tem dowiedźmy się z dzieła, które, sądzimy, czytelnicy przeczytają z ciekawością i pożytkiem.

WSTĘP DO DRUGIEGO WYDANIA.

„O mniemanej wyższości Niemców”.

Serdeczne składam dzięki prasie i publiczności za uznanie dla mej pracy, której pierwsze wydanie zostało wyczerpane w przeciągu dni kilku. W tem zaś nowem wydaniu chciałbym z góry odpowiedzieć na możliwą krytykę. Wiadomo, że dowóz wyrobów niemieckich przybrał takie rozmiary, iż handel francuski musiał stopniowo ustępować z pozycyj, które dotąd zajmował.

Wobec takiego rozwoju handlowego zachodzi pytanie, czy zdobyte w świecie stanowisko Anglo-Saksonów nie jest tym sposobem zagrożone? I dlatego ważnem jest bardzo, aby nie dać rozwinąć się nieładowi w sprawie przewagi socyalnej Anglo-Saksonów z jednej, a Niemców z drugiej strony. Tymczasem ograniczam się tutaj zaznaczeniem w krótkości danych tej ciekawej zagadki, a właściwie skreśleniem zarysu tych stosunków, popartego dowodami.

Niemcy w swej południowej części, pokrytej wyniosłymi górami, a w północnej—piaszczystymi stepami, torfowiskami i bagnami, były zawsze krajem, zaludnionym przez biedaków, nawykłych do możliwego ograniczania swych potrzeb, do życia skromnego i do zadowalniania się małym zarobkiem. To też wszystkim wiadoma i wysławiana prostota Niemców jest cnotą narzuconą im przez naturę kraju, który zamieszkują, co znacznie zmniejsza ich zasługę. Z powodu niewielkiego zarobku robotników i niewymagalności ich skromnej klienteli, przemysł niemiecki był z konieczności ograniczony wyrobami prostymi, zwyczajnymi, a co za tem idzie i taniami. A oto jak teraz rzeczy stoją.

Te warunki pracy, świadczące o rzeczywistej niższości Niemców, teraz, chwilowo przynajmniej, dzięki przyczynom natury zewnętrznej, dały im pewną przewagę ekonomiczną. Teraźniejszy rozwój środków wywozowych, ułatwiający zarówno w krajach nowych, jak i kulturalnie zacofanych, dostęp do klienteli niewybrednej, prawie dzikiej, szybko powiększył liczbę kupujących artykuły zwyczajne i tanie. I to właśnie stanowiło nowy tor dla przemysłu i handlu niemieckiego, który wyłącznie trzymał te artykuły.

Ażeby zaś sferę swej działalności handlowej rozszerzyć, zorganizowali się w stowarzyszenia, które wytwarzały niby centr, złożony z wystawy wyrobów, w celu zaznajomienia z niemi klienteli i wymiarowania jej żądań. Z punktu widzenia czysto naukowego, przykład ten jest bardzo ciekawy, dowodzi bowiem, jak dalece stowarzyszenia mogą częściowo

złagodzić ujemne strony, wypływające z warunków miejscowych, z pracy i stosunków socyalnych, jak potrafią zogniskować i popchnąć naprzód we wspólnem działaniu pojedyncze wysiłki. Zajmiemy się tem obszerniej w dalszym ciągu tej pracy. Stowarzyszenie w rzeczy samej może złagodzić, ale nie może usunąć zupełnie stron ujemnych. Ono daje fabrykantom i kupcom niemieckim środki działania, którychby bez niego mieć nie mogli; lecz tamuje jednocześnie przedsiębiorczość indywidualną, której właśnie brak przemysłowi niemieckiemu. Studium o handlu niemieckim w Transylwanii, ogłoszone niedawno w Niemczech i zakomunikowane w tych dniach naszemu ministrowi handlu przez ambasadora w Berlinie, markiza de Noailles, uwydatnia niższość niemieckiego kupca w porównaniu z kupcami anglo-saksońskimi.

Autor stwierdza, że kupcy niemieccy potrzebują, aby państwo pomagało im swoją opieką i protekcją w celu uniknięcia zawodów, których już doznać musieli, *kiedy przedsięwzięli walkę przeciw konkurencji angielskiej.*

Często, dodaje autor niemiecki, rzucano się z kapitałem zbyt ograniczonym, skutkiem czego musiano się wycofywać z walki po pierwszym niepowodzeniu, tymczasem Anglik wie dobrze, że bez środków i wytrwałości nic zdobyć nie można.

Inną jeszcze wadą, właściwą Niemcom, która im często szkodziła w Transylwanii, jest *nieświadomość warunków handlu.* Przywożą oni artykuły, z którymi nie wiedzą co robić, bo niema na nie popytu; nadto towary, które przewożą, cierpią skutkiem *niedostate-*

czności opakowania (w czem przegląda stara oszczędność niemiecka, nieświadomość zwyczajów ekspedycji, niepamiętanie o kosmopolitycznym charakterze, właściwym handlowi transylwańskiemu). Drugą jeszcze przyczyną niepowodzenia handlu niemieckiego jest nieopatrzny wybór agentów, *nie mających własnej inicjatywy, a zarazem* „niedostatecznie obznajmionych z handlem i potrzebami danego kraju.

Z tych orzeczeń (jednego z ich współziomków) wynika, że jeżeli Niemcy wspólnymi usiłowaniami mogli rozwinąć wywóz swoich artykułów, to wszakże brak im dostatecznego wyrobienia, by zmódz ogromną przewagę Anglo-Saksonów!

Jeżeli teraz zwrócimy uwagę na tych ostatnich, to przekonamy się, że ich rozwój przemysłowy jest zupełnie odmienny. Samodzielnie, o własnej sile, bez wszelkiego poparcia ze strony państwa, Anglo-Saksonicy zdobyli sobie na rynku świata przemysł i handel. Zdobyli to na mocy tych warunków społecznych, o których będzie mowa w tem dziele. Naród więc, który mógł osiągnąć samodzielnie i bez żadnego poparcia zewnętrznego to, co inni dopiąć zdołali tylko z cudzą pomocą (daleko gorzej i niedokładniej), już przez to samo daje nam miarę swojej przewagi. I przewaga ta trwać będzie na złość ciągłym, a upartym usiłowaniom Niemców, chcących imponować na rynku świata. I w tem właśnie zamyka się wada właściwa wszystkim stowarzyszeniom, tem właśnie błędzą i dlatego to najczęściej praktyka zbija najpiękniejsze teorye. Jakim sposobem te sztuczne stowarzyszenia mogą konkurować z anglo-saksońskimi firmami, skoncentrowanymi w rękach je-

dnego lub kilku ludzi, mającemi jednakowe dążenia, znaczne kapitały, wreszcie rzadką zdolność, właściwą tej rasie, wycofywania się szybko z interesów, które im popłacać przestają, a wynajdywania nowych, korzystniejszych. Niech tylko Anglicy spostrzegą pierwsze symptomata zagarnięcia handlu przez Niemców, gazety ich podnoszą natychmiast alarm. Dowodzi to tylko, do jakiego stopnia są oni na straży, do jakiego stopnia są wrażliwi na wszystko, co może zagrażać, chociażby zdaleka tylko, ich groźnej przewadze handlowej i przemysłowej. To też zblądziłibyśmy bardzo, uważając ten alarm ostrzegawczy za okrzyk trwogi, wyrażający: „ratuj się, kto może!“.

Nie można wcale ludzić się w tych razach — zresztą wielką jest różnica między 260 niemieckimi a 2262 angielskimi okrętami, które rok rocznie przepływają kanał Suezki. Powtarzam, że przemysł i handel niemiecki ma przewagę obecnie jedynie przez wzgląd na taniość swego przemysłu. Jeśli bowiem Anglicy nie mogą wyrabiać danego artykułu ze względu na droższą siłę roboczej w Anglii, to wynajdą sobie odpowiednie rynki zbytu, lub przeniosą produkcję do krajów biedniejszych, gdzie robotnik jest tańszy.

Dalej, Niemiec w stosunku do Anglo-Saksona ma dwie jeszcze ujemne, bardzo charakterystyczne strony, które w przyszłości utrudniać mogą rozwój całej rasy. Z wyjątkiem mieszkańców Hanoweru i Westfalii, którzy należą do rasy anglo-saksonskiej, Niemcy wogóle, równie jak i Francuzi, nie są zdolni do osad rolnych. Są to mieszczanie, którzy

emigrują chętniej jako subiekcji handlowi, niż jako koloniści lub rolnicy. Nie szczepią oni swej rasy na miejscu zamieszkania, jak to czynią Anglo-Saksoni, przytem wszędzie, gdzie wypadnie im zetknąć się z tymi ostatnimi, zawsze bywają przez nich zawojowani. W Ameryce północnej np. niemieccy emigranci wynarodowiają się bardzo prędko. W drugim już pokoleniu mówią tylko po angielsku i starają się przyswoić sobie angielskie zwyczaje i upodobania. Niektórzy w dążeniach swoich w tym kierunku dochodzą do tego, że przerabiają swe nazwiska na sposób angielski, a gazety, wydawane w języku niemieckim, z trudnością utrzymują się w Stanach Zjednoczonych i werbują czytelników tylko z pomiędzy świeżo przybyłych emigrantów. Jednocześnie, gdy klientela angielska, szukająca zawsze i wszędzie produktów swego, angielskiego przemysłu, idzie wciąż naprzód, zakładając wciąż nowe kolonie w rozmaitych miejscach kuli ziemskiej — klientela niemiecka stopniowo zmniejsza się, częścią z powodu braku osad rolnych, częścią z powodu bystrego jej wynaradawiania się. Następnie słabość Niemców, to rezultat ich politycznego kursu, wyrażonego wkrótce po ogłoszeniu Cesarstwa.

Zauważyłem już wyżej, jak stare Niemcy biedne, pracowite, przemysłowe i oszczędne, dały początek terażniejszemu rozwojowi przemysłu i handlu. Trzeba było długiego kielkowania, ażeby wyhodować tę roślinę, którą niespodziewane okoliczności (rozwój przewozowy) raptownie rozwinęły. Co do mnie, to obstać przy tem, że *teraźniejszy rozwój rasy niemieckiej jest produktem starych, nie zaś no-*

wych Niemiec. To, co powinny produkować Niemcy nowe, Niemcy cesarskie, to rzecz zupełnie inna. One produkują, tworzą, a nawet utworzyły już: militarizm, biurokracyzm i socyalizm—wszystko to wszakże nie ciągnie nigdy za sobą ekonomicznej i socyalnej pomyślności.

We Francyi za Ludwika XIV i Napoleona mieliśmy powyższe dwie pierwsze plagi i proszę przypatrzeć się, do czego to nas doprowadziło. Proszę spojrzeć, co się stało z Hiszpanią za Karola V i Filipa II. W pierwszej chwili te dwa ogromne mechanizmy dają pozór zewnętrznej potęgi politycznej i socyalnej dlatego, że koncentrują gwałtownie i porywczo w jednych rękach wszystkie żywe siły narodu, powoli wytwarzane w naturalnym ich rozwoju. I to właśnie jest świetny okres, który Prusy przechodzą od niedawna, tak jak Hiszpania i my sami wreszcie. Ale właśnie dlatego, że ta forma rządu koncentruje wszystkie żyjące siły—kończy się ona wycieńczeniem ich i wtedy dopiero następuje upadek wielki, często nie do uratowania. Jeśli cesarstwo Niemieckie pójdzie dalej po obranej drodze, co jest bardzo możliwe, nie uniknie i ono tego fatalnego końca. Niechże się więc choć spieszą zużytkować na korzyść rozwoju handlowego dawne cnoty socyalne swej rasy i niech przestaną szydzić z naszego upadku. Myśmy ich tylko uprzedzili — nic więcej. I podczas gdy rasa anglo-saksońska wzrastać będzie obfitemi dziełami, stare Niemcy tracić będą co dzień, przez nadmierną potęgę polityczną, wielkie cnoty i przymioty, które stanowiły i teraz jeszcze stanowią ich potęgę socyalną.

W przedmowie tej pragnąłem uwydatnić główną różnicę między Niemcami—„staremi“ i tegocześnie, ponieważ w drugiej części mego dzieła biorę na uwagę tylko te ostatnie, chciałem przeto unikać wszelkiego zawikłania lub trudności w rozumieniu rzeczy. W tym samym rozdziale można się też będzie przekonać, jak cesarz niemiecki bierze się z własnej inicjatywy do zniszczenia i zburzenia *starych*, ażeby utworzyć po swojemu, *nowe Niemcy*.

Edmund Demolins.

ROZDZIAŁ I.

Czy metoda wychowawcza, zastosowana we Francyi, tworzy ludzi?

Zapytajcie stu młodych Francuzów, kończących zakłady naukowe, jakiej karyerze chcą się poświęcić? Trzy czwarte odpowie wam na to, że mają zamiar wstąpić do służby rządowej. Marzeniem większości jest wojskowość, dalej magistratura, ministerya, finanse, konsulaty, miejsca przy komunikacyi, w kopalniach, przy zarządzie wód i lasów, w uniwersytetach, bibliotekach i t. d.

Stanowisko niezależne, prywatne, obejmują tylko ci młodzi ludzie, którzy nie mogli zdobyć powyżej wymienionej karyery.

Państwo, naturalnie, nie może przyjmować wszystkich kandydatów do urzędów publicznych; musi czynić między nimi pewien wybór, musi niejednych odrzucić. Wybór ten czyni się odpowiednio do składanych egzaminów, do protekcyi, jaką młody człowiek posiada, lub do jego urodzenia.

Urodzenie i protekcyja wywierają swój wpływ tylko wyjątkowo, tylko w pewnych kierunkach—egzamininy głównie otwierają wstęp do karyery. Złożyć zatem dobrze egzamin—oto największa troska i cel młode-

go Francuza, gdyż od tego zależy cała jego przyszłość. Ztąd ów wpływ, jaki we Francyi wywiera szkoła, ztąd wielkie jej znaczenie, gdyż ona dostępną czyni karierę, zadowalającą najwyższe ambicje, ona dzieli społeczeństwo na klasy.

Z drugiej strony szkoła sama uprzystępnia i ułatwia egzaminy, gdyż rodziny najbardziej popierają te zakłady wychowawcze, najchętniej tam oddają swoje dzieci, ztąd corocznie największy procent młodzieży zdaje egzaminy i staje do konkursów. Zakład naukowy, nie uprawiający tego rodzaju sportu, wkrótce nie miałby wcale wychowañców. Jest to więc dla niego kwestya życia lub śmierci.

Otóż najpewniejszym sposobem ułatwienia egzaminów jest sposób, zwany przez Francuzów *chauffage*, tak rozpowszechniony, że i uniwersytety i wszystkie wogóle zakłady naukowe nim się posługują.

Cóż to jest właściwie? Jest to wykład, polegający na tem, aby w jaknajkrótszym przeciągu czasu dać pobieżne tylko i powierzchowne pojęcie o przedmiotach, z których uczniowie mają składać egzaminy. Naturalnie, że wykład taki nie kształci umysłów, chwilowo jednak wystarcza. Krótki przeciąg czasu wyznaczają dla takiej nauki z dwóch przyczyn. Najpierw zmusza do tego ograniczenie wieku, w jakim można wstępować na rozmaite urzędy, a ograniczenie to zostało ustanowione dla zmniejszenia liczby kandydatów i utrudnienia przystępu do owych urzędów. Następnie kandydaci, mając czas bardzo krótki, wcześniej składają egzaminy, dzięki czemu mogą awansować wyżej w obranej karierze przed wiekiem, oznaczonym do usunięcia się od urzędowania.

W takich warunkach studia muszą naturalnie odbywać się tylko powierzchownie, tem więcej, że program wykształcenia jest niezmiernie obszerny. Im więcej wzrasta liczba kandydatów, tembardziej rozszerzają program, aby wprowadzać nowe utrudnienia. Programy te stają się wreszcie tak obszer-

ne i tak encyklopedyczne, że inteligencya człowieka nie jest w stanie objąć ich i zgłębić. Można zatem, jak to mówią, przejść nauki tylko po lebkach.

Profesorowie, przed którymi młodzież składa egzaminy, byłiby z pewnością w kłopotcie, gdyby im samym przyszło odpowiadać na wszystkie pytania. Gdyby stanęli do konkursu z kandydatami, egzaminowanymi przez siebie, napewno zostaliby usunięci.

Rozumiemy teraz, dlaczego tak zwany *chauffage* daje tylko chwilowe pojęcie o przedmiotach, potrzebnych do egzaminów. Gdyby ten system miał na celu wpajanie wiadomości prawdziwych i gruntownych, rozwijanie za pomocą odpowiednich ćwiczeń zdolności umysłowych młodzieży, rezultat byłby dodatni i trwały; ponieważ jednak zasadza się jedynie na gimnastykowaniu pamięci, jest więc tylko powierzchowny i nie rozwija inteligencji; mija, jak pobieżne wspomnienie. Zresztą taka metoda jest zupełnie naturalną, skoro chodzi tylko o dobre złożenie egzaminów, wystarcza w *danej chwili* odpowiedzieć na zadane pytanie, zapewnia to karierę, a o nic więcej nie chodzi.

Ten sposób wykształcenia wpłynął także na zaprowadzenie ogólnego internatu. W kraju, gdzie egzaminy otwierają wstęp do kariery, rodzice wychowanie dzieci powierzają wyłącznie zakładom naukowym. Metoda taka bowiem wymaga innego zupełnie systemu nauczania, systemu, którego rodzice nie znają, nie mogą zatem nie tylko pomagać dzieciom, ale nawet czuwać nad ich nauką. Zresztą idzie o to, żeby nie tracić czasu i niczem nie rozrywać uwagi.

II.

Przyznać należy, że metoda ta odpowiada w zupełności celowi, do którego służy, czyli urabia urzędników cywilnych i wojskowych.

Prawdziwy i dobry urzędnik powinien wyrzec

się swej woli; powinien być wdrożony do absolutnego posłuszeństwa; powinien wykonywać ślepo rozkazy zwierzchników—słowem powinien być jedynie narzędziem w cudzych rękach.

Internat służy właśnie do urabiania podobnych osobistości. Jest on utworzony na wzór koszar: wstają tam na odgłos bębna lub dzwonu; przechodzą od jednych ćwiczeń do drugich, wychowawcy maszerują szeregami; spacerują nawet robią wrażenie żołnierskiego marszu. Czas rekreacyjny spędzają zwykle na podwórzu, otoczonem wysokimi budynkami; młodzież przechadza się tam grupami, bawi się rzadko. Zresztą rekreacje te trwają krótko: pół godziny rano, godzina po południowym posiłku i pół godziny o czwartej, w porze podwieczorkowej. Uczniowie rzadko wychodzą z pensjonatu, przecięciowo jeden dzień w miesiącu mają na to przeznaczony. Rodzice tylko dwa razy tygodniowo mogą widywać swoje dzieci, i to tylko przez godzinę, w mównicy zatłoczonej zwykle, gdzie każdą rozmowę wszyscy słyszeć mogą. System taki kępuje swobodę dziecka, zabija w niem zupełnie wszelką oryginalność, zacierając w nim różnice, jakie wpływ rodziny mógłby wyrzeć. Wszystkie te młode umysły urabiają się podług jednej normy, jakby z jednej formy odlane, zatracają się wszelka indywidualna inteligencja, a wytwarzają się narzędzia, gotowe w każdej chwili ulegać cudzemu wpływowi.

Posłuszeństwo zupełnie bierne wyradza się tembardziej, że system egzaminacyjny nie rozwija wcale zdolności zastanawiania się, nie wyrabia sądu o rzeczy. Pospiesznie umysł pochwyił olbrzymią ilość wiadomości, sama zatem pamięć tylko działać tu musiała. Jak w zakładzie naukowym młodzież przyjmuje bezkrytycznie wiadomości, przygotowane już w programie, tak potem przyjmować będzie rozkazy biurokratycznej zwierzchności. Zresztą to wychowanie i te rozkazy pochodzą z jednego źródła.

Państwo wpaja w ucznia swoje zasady, państwo daje urzędnikowi swoje rozkazy; nic się zatem nie zmienia.

Napoleon odgadł pierwszy intuicyjnie, jaki wpływ wyrzucić mogą kolegia na wytworzenie urzędników. W siedemnastym i osiemnastym wieku wielkie internaty istniały tylko wyjątkowo; rozwinęły się dopiero za pierwszego cesarstwa. Przywracając uniwersytet, Napoleon I utworzył typ ogólny. Państwo takie, jak jego, nie mogło egzystować bez wielkiej bardzo liczby urzędników; w interesie zatem państwa leżało wychowywanie i urabianie tych młodych ludzi, których miało przyjąć następnie do swojej służby. Należało więc wpajać zawczasu, w wieku, w którym pojęcia i zasady nie są jeszcze wyrobione, doktryny i zwyczaje, niezbędne dla dobrego urzędnika, t. j. brak wszelkiej inicjatywy; zwyczaj zupełnie biernego posłuszeństwa, jedne i te same pojęcia u wszystkich — słowem wszystko to, co odbiera człowiekowi jego indywidualność.

Formy rządu, jakie następowały po sobie we Francyi, począwszy od pierwszego cesarstwa, mimo różnicy pozornej, zatrzymały właściwie ustrój Napoleona, na którym wspiera się i dzisiejszy gmach polityczny we Francyi. Ześrodkowanie władz rządowych i liczba urzędników powiększyły się jeszcze w początku tego stulecia. Powierzchnowy zatem system naukowy i system wielkich internatów rozszerzyły się jeszcze.

III.

Oto system, jakiemu poddaje się większość Francuzów w nadziei, że w ten sposób złoży egzaminy, które uprzystępniają im wejście do służby państwowej. Ale choć wszyscy mają tę nadzieję, nie

wszyscy są przyjmowani. Ci, których usuwają, muszą gdzieś wyrobić sobie stanowiska.

Wtenczas to wyradza się kwestya nadzwyczaj ważna, a mianowicie: czy system szkolny, urabiający doskonałych urzędników, może tak samo stworzyć ludzi, zdolnych do objęcia stanowiska niezależnego, czyli zdolnych do samodzielnego radzenia sobie?

Aby wytworzyć stanowisko niezależne, potrzeba przede wszystkim inicjatywy, siły woli i zwyczaju liczenia na siebie samego. Otóż system, o jakim mówiliśmy dotąd, nietylko nie rozwija tych zdolności, ale przeciwnie, dąży do stłumienia ich, do zupełnego zabicia. Zresztą zwolna, ale stale przyzwyczajają umysły do perspektywy gotowego już stanowiska, do awansów, osiąganých dzięki cierpliwości, a nie wymagających żadnych wysiłków umysłowych. Rzeczywiście w służbie administracyjnej i wojskowej awans zależy głównie od ilości lat wysłużonych i od protekcyi. Najważniejszą rzeczą jest wstąpić do służby, ale raz mając miejsce, należy już tylko powierzyć się automatycznemu prądowi, który pcha naprzód, podnosząc ze stopnia na stopień. Taka perspektywa nie tworzy, naturalnie, dusz bohaterskich i serc zdobywczych.

Aby objąć stanowisko niezależne, trzeba prócz tego być młodym. Wtenczas tylko można śmiało stawić czoło wszystkim trudnościom, których wiele bardzo zwalczyć należy, zanim się stanowisko zdobędzie. Trzeba zresztą być młodym, aby nauczyć się jakiejsz specjalności.

Otóż kandydat do urzędu jest trzymany w niepewności przynajmniej do lat dwudziestu, często bardzo do lat dwudziestu pięciu, a czasem i do trzydziestu. Skoro ostatecznie straci wszelką nadzieję osiągnięcia celu, większość dróg do kariery jest już przed nim zamkniętą; niema już czasu na jedną z nich wstąpić, gdyż zwykle początki są długie i trudne. Zresztą, im człowiek jest starszy, tem-

bardziej jest wymagający, a im większe są wymagania, tem trudniej znaleźć miejsce, któreby je zadowalało. W ten sposób czas uchodzi, lata upływają, a trudności się zwiększają.

Sama młodość zresztą nie wystarcza; należy jeszcze mieć zdolności, zamiłowanie i wiadomości techniczne. Nie można w ciągu jednego dnia zostać rolnikiem, przemysłowcem lub kupcem. Każde takie powołanie wymaga odpowiedniej nauki i wiadomości, które zdobyć można głównie przez praktykę.

System szkolny, o którym mówiliśmy wyżej, nie przygotowuje do podobnych sytuacji. Przeciwnie, wzbudza wstręt do nich, rodzi przeświadczenie o wyższości urzędów publicznych. Iluż ojców rodzin, którzy byt swój zawdzięczają rolnictwu, przemysłowi lub handlowi, dziwi się niezmiernie, słysząc, jak synowie ich po wyjściu z kolegium oznajmniają, że nie myślą poświęcać się zawodowi, uprawianemu przez ojców i dziadów. Szkoła wpoila w nich wstręt do tego zawodu. Wpływ ten szkół wzrasta w sposób tak zatrważający, że dziś wogóle młodzież francuska czuje wstręt do zajęć praktycznych, które są jednak najpożyteczniejszymi i najszlachetniejszymi.

To też zajęciom tym poświęcają się jedynie ci, którzy przepadli przy egzaminach i nie mają widoku dobicia się urzędu; poświęcają się jedynie z konieczności, bez powołania i przygotowania się dostatecznego, słowem, w najgorszych warunkach, bez żadnego widoku powodzenia.

Prócz służby państwowej, są jednak dwa powołania, do których francuski system szkolny przygotowac może specjalnie: administracya prywatna i zawody wyzwolone. Łatwo to sobie wytłómaczyć co do pierwszego, gdyż urzędowania prywatne mają wiele wspólnego z publicznymi. Wymagają tych samych zdolności, a nie wymagają ani większej inicjatywy, ani większej samodzielności, ani

większych wysiłków pracy; dają wzajemian pewność zupełną; tu także awansuje się zwolna, ale napewno, z biegiem czasu i wypadków. To też młodzi Francuzi, którzy przepadli przy egzaminach, chętnie zwracają się do urzędów prywatnych. I tu zatem zjawiają się tłumy kandydatów, dla których miejsce nie wystarcza.

Pociąg do zawodów wyzwolonych wyradza się także z systemu szkolnego we Francyi. Jedną z cech tego systemu jest wykształcenie encyklopedyczne, wynikające z rozszerzania programu przedmiotów egzaminacyjnych. Młody Francuz zatem wychodzi z kolegium w przekonaniu, że umie wszystko, ponieważ uczył się wszystkiego i może o wszystkim mówić i pisać. I oto zostaje człowiekiem, piszącym pod pierwszym lepszym pozorem. Zresztą, na jego usprawiedliwienie powiedzieć należy, że szkoły uczyniły go niezdolnym do każdej innej kariery niezależnej. Ten system szkolny mnoży niezmiernie ilość ludzi, poświęcających się karierze literackiej, a równocześnie wyciska na nich odrębne swoje piętno.

Charakterystycznym ich rysem jest trudność, a często zupełna niezdolność gruntownego zbadania jakiejś kwestyi. Francuz błyszczy świetnie w pracach, do których potrzebna fantazya, w rzeczach powierzchniowych, w pomysłach szybkich, a więc hazardownych. Aby się o tem przekonać, wystarczy czytać *Journal de la librairie*, który daje nam pojęcie o produkcji literackiej we Francyi. Dzieła poważne, gruntowne spotyka się tam coraz rzadziej, a jeśli się pojawiają, stanowią mniej więcej wielkie kompilacje o charakterze encyklopedycznym, a nie są wcale dziełem oryginalnem jednej osoby, wymagającym głębokiego zastanowienia, wysiłku umysłowego; są to raczej podręczniki obszerne, podające nam gotowy już zbiór wiadomości w formie możliwie najdostępniejszej. Niema już we Francyi autorów, piszących długie, poważne dzieła; niema publiczności, która takie dzieła czytywaćby chciała. To

też każdy wydawca cofa się ze zgrozą przed samą myślą puszczenia w świat kilkutomowej pracy.

Niezdolność do czynienia studyów gruntownych nie jest wcale „właściwością rasy.“ Przekonać się o tem łatwo; wystarczy porównać produkcję dwóch ubiegłych stuleci i początku bieżącego wieku z produkcją ostatnich lat czterdziestu. Różnica ta wynika głównie z powierzchownej nauki, jakiej wymagają szkolne egzaminy. Skoro przyzwyczajono umysł do pobieżnego traktowania przedmiotu, do kształcenia się na podręcznikach jedynie do zapamiętywania, a nie wyrabiania własnego sądu, do przyswajania sobie, jak można najszybciej największej liczby wiadomości, praca systematyczna, gruntowna i poważna staje się niemożliwą. Niepodobna przedsiębrać jej nawet; no, i naturalnie, im dłużej podlegało się podobnemu systemowi, tem nieudolność ta staje się większą.

Objaw ten w najwyższym stopniu zauważyć się daje u wychowanców wielkich zakładów naukowych francuskich. Stoją oni wyżej od innych pod względem pamięci, szybkiego chwytania i pojmwania wiadomości, są, że tak powiemy, bardziej rzutni, ale jedyne to też przymioty, jakie w nich rozwijano, a jakim zawdzięczają złożenie egzaminów; pod względem jednak samodzielnego zastosowania tych przymiotów bardziej świetnych, niż trwałych, pod względem wydawania własnego sądu o rzeczy, stoją oni znacznie niżej.

System szkolny przeto we Francyi tworzy przede wszystkim urzędników; do wytwarzania innych działaczy nie nadaje się wcale i źle jest zwłaszcza zastosowany do urabiania ludzi.

ROZDZIAŁ II.

Czy system szkolny w Niemczech tworzy ludzi?

Możnaby pomyśleć, że zły duch jakiś za zadanie postawił sobie burzenie wszystkich bóstw naszych.

Teraz nadeszła kolej na szkołę!

Szkoła! Czyż nie byliśmy wychowani w najgłębszym szacunku, w czci dla tej instytucyi? Jeśli Niemcy pokonały Francję, to chyba dlatego, że szkoły stały u nich wyżej, niż we Francyi; Francuzi zatem rozwinęli program nauk, powiększyli liczbę szkół, nie żalowali kosztów, zbytku nawet we wszystkim, co się odnosiło do wykształcenia, i nastąpiła taka era, że gmachy szkolne były prawdziwemi pałacami i zapanował w nich przepych i rozrzutność niesłychana.

I działo się tak ogólnie. Nie wystarczyło to, że szkoły były darmo, nauka prócz tego stała się obowiązkową; wszystkich wysyłano do szkoły, zmuszano dzieci włościan i mieszczan, aby do szkół chodziły. Biada temu, który śmiał wątpić o zbawiennym a wszechwładnym wpływie szkół.

Hasłem Francyi było wtenczas: naśladować Niemców; przejmowano od nich urządzenia militarne, system ich szkolny, pedagogikę, filologię, sławną filologię niemiecką, tak subtelną, tak przejmującą! Dawajcie malcom dobre zadania łacińskie, a zoba-

czyście, jak kraj się podniesie—mówili doktorzy uniwersyteccy; Francya z zachwytem powtarzała te magiczne formułki.

Jakim sposobem to, co wczoraj było prawdą niezaprzeczoną, dziś stało się błędem? Bo każdy przyznać to musi i z tej i z tamtej strony Renu, każdy widzi, że dzisiejsze wychowanie jest błędne.

We Francyi zaczęto naprzód szemrać głucho; odważono się twierdzić, że stanowczo szkoły nie przyniosły oczekiwanego rezultatu; że rozszerzenie wykładów i programu wpłynęło ujemnie na wykształcenie, że wynik egzaminów pogarszał się w sposób zatrważający;—przytaczano cyfry, przytaczano fakty. Gorzej jeszcze! przychodzono do wniosku, że rozwój szkół powiększył liczbę ludzi niezdolnych, ludzi bez zajęcia, co przedstawiało wielkie niebezpieczeństwo. Ponieważ jednak mówili tak ludzie, nie mający styczności z radą pedagogiczną, z przedstawicielami oświaty, nie słuchano ich, posądżając, że są uprzedzeni.

Ale oto znani członkowie uniwersytetu, powagi z pośród rady pedagogicznej, dawniejsi ministrowie oświaty, zaczęli podnosić głos i powtarzać te same skargi. W samej Sorbonie postanowiono, że należy wprowadzić reformy i że te reformy są potrzebne gwałtownie. Można jednak było przypuszczać jeszcze, że jest to wynik owej niestałości Francuzów, tak skorych do przerzucania się z jednej ostateczności w drugą, gdy nagle rozeszła się wieść, że taki sam protest wybuchnął w samym centrum Niemiec—w Berlinie. Autorem tego protestu był cesarz we własnej osobie!

Dwa państwa zatem, które w ostatnich latach najgłośniej mówiły o wielkich, niezaprzeczonych zasługach szkoły, teraz z nie mniejszą energią zaczęły wołać, że nie dała ona takich rezultatów, jakich oczekiwano, jakich się spodziewano.—Pod jakim względem zawiedziona została nadzieja cesarza niemieckiego? Czego wymaga on od szkoły? Są to

kwestye, które warto poznać bliżej, jak warto również dowiedzieć się, jaki jest program szkół niemieckich i czy może urzeczywistnić się to, czego się od nich spodziewają.

I.

Pierwsza część mowy cesarza niemieckiego, protestującej przeciw systemowi szkolnemu, rozwija myśl następującą: „Szkoly nie dały nam oczekiwanego rezultatu.“

Cesarz twierdzi, że szkoly zawiodły nadzieje na punkcie wykładu samego, na punkcie nabywanych wiadomości—słowem na punkcie technicznym.

— Nie bylbym zmuszony może—mówi—wydawać rozkazu, o którym mi pan minister przypomniał, gdyby szkoła była stanęła na tej wysokości, na jakiej stanąć była powinna. Chciałbym zaznaczyć naprzód, że jeśli jestem zmuszony okazać się surowym, to nie względem kogokolwiek bądź specjalnie, ale względem ogólnego systemu, ogólnej sytuacji. Szkoła nie dała nam tego, czego mieliśmy prawo spodziewać się po niej.

— Zkąd wypływa wina? — pyta cesarz dalej—złąd, że zblądono na wielu punktach.

I cesarz powstaje przeciw wykładowi, przeciw przedmiotom wykładanym i przeciw używanej metodzie. Rozpoczyna od filologii, która, jak mówi, miała wykład języków starożytnych podnieść do wysokości sztuki i przyczynić się znakomicie do literackiego rozwoju młodzieży.

— Podstawowym punktem—powiada—jest, że od roku 1870 filologowie traktowali wykład, jak szczęśliwi posiadacze; że zwracali głównie uwagę na przedmiot wykładany, na posiadane wiadomości, nie zważając wcale na rozwój zdolności i charakterów, na potrzeby życia teraźniejszego. Przepraszam, że to mówię, panie radco Hirszpeter, ale pan jest filo-

logiem-idealistą. Podług mnie, kwestya doszła do punktu, którego już przejść nie można.

Tak mówi cesarz o metodzie, z czego widać, że nie jest nią zachwycony. Nie więcej również zadawałnia go przedmiot nauk, to, co tworzyło dotychczas podstawę wykładów: mowa tu o łacinie. Wiadomo, że Niemcy są również dumni ze swych łacinników, jak ze swoich filologów, i tego trzeba się wyrec. Oto przynajmniej, co mówi cesarz:

— Panowie!—mówi się ciągle: łacina jest tak-że rzeczą nader ważną, łacina dopomaga doskonale do urabiania człowieka, do uczenia się języków obcych i Bóg wie, do czego jeszcze! Tak, panowie: ja sam przechodziłem niegdys przez to wszystko. Na czem właściwie zasadzają się wypracowania łacińskie. Widywałem często młodych ludzi, którzy za ćwiczenie niemieckie, naprzykład, dostawali 4 (dosyć dobrze), a za ćwiczenie łacińskie 2 (bardzo dobrze). Młody człowiek zamiast pochwały, powinien był dostać naganę, bo widocznem jest, że ćwiczenia łacińskiego nie zrobił poprawnie i bez pomocy. Ze wszystkich ćwiczeń łacińskich, jakie pisywaliśmy wszyscy, nie było chyba jednego na dwanaście, które nie byłoby zrobione w ten sam sposób. I takie ćwiczenia były uważane za dobre. To były ćwiczenia łacińskie! Ale gdy w liceum mieliśmy zrobić ćwiczenie z Lessinga, naprzykład, otrzymywaliśmy zaledwie stopień dostateczny. Dlatego mówię: „Precz z ćwiczeniami łacińskimi! Utrudniają nam one wszystko i niepotrzebnie tracimy na nie czas.“

Tak więc wykłady filologii i łaciny nie przyniosły tego, czego oczekiwano. Oto pierwszy wniosek, wyprowadzony przez cesarza. A teraz drugi.

Cesarz twierdzi, że szkoła zblądziła z punktu widzenia praktycznego, to jest na punkcie urabiania człowieka i powodzenia jego w życiu. Oto treść, którą cesarz rozwija, oto tło, na które kładzie główny nacisk.

Tłomacząc myśl cesarską, minister oświaty

w przemowie swojej postawił pytanie, czy wskutek zmiany, zaszłej w położeniu Prus i Niemiec, „narod niemiecki powinien pozostać narodem myślicielów, narodem, szukającym zadowolenia w sobie samym?” Odpowiada, że nie, ze względu na to, że „wzrok narodu niemieckiego zwraca się teraz na zewnątrz, na kolonizację nawet.“

Jest to bardzo proste; trzeba popierać rozwój rasy niemieckiej, trzeba tę rasę uczynić zdolną do wzięcia udziału w zdobywaniu świata, o co ubiegają się teraz narody europejskie. I minister dochodzi do wniosku, że należy zerwać z dotychczasowym systemem szkolnym, że należy ten system rozszerzyć i wykształcenie podnieść.

Po pierwszych zaraz wyrazach przemowy cesarz kładzie nacisk na niepraktyczny charakter wykładu.

— Chciałbym przede wszystkim — powiada — zwrócić uwagę, że chodzi nam głównie o środki techniczne i pedagogiczne, które powinniśmy przedsięwziąć, aby wychować naszą młodzież dorastającą w ten sposób, ażeby odpowiedzieć potrzebom sytuacji, jaką ojczyzna nasza zajmuje obecnie w świecie, a także, aby młodzież naszą uzdolnić odpowiednio do walk życiowych.

I oto wielkie słowo zostało rzucone: trzeba przygotować młodzież do walki w życiu, do walki o byt; trzeba z niej uczynić ludzi praktycznych, ludzi, umiejących radzić sobie, zdolnych do stawienia czoła, nawet po za granicami kraju, przeciw dobrze uzbrojonym emigrantom innych ras.

Na tym punkcie także szkoła niedopisała: wytwarza ona tylko ludzi wykolejonych, nieradnych, dziennikarzy, gorzej jeszcze, bo wytwarza krótkowidzów fizycznych i moralnych, niezdolnych do żadnego wysiłku, do żadnego czynu energicznego; oto, co jeszcze sam cesarz skonstatował.

Zwraca przede wszystkim uwagę na przeciąże-

nie pracą, co szkodzi ciału, i nie pozwala rozwinąć się woli:

— Mówiąc o pracy naszej młodzieży, twierdzę, że koniecznością jest zwrócić uwagę na ilość godzin pracy w domu. Pan radca Hirszpeter przypomina sobie zapewne, że pierwszy protest rodziców i rodzin przeciw zbyt wielkiej ilości godzin pracy zdarzył się jeszcze wówczas, gdy byłem w liceum w Kassel. Wskutek tego wyszło rozporządzenie, abyśmy co rano oddawali dyrektorowi naszemu notatki, wykazujące, ile dnia poprzedniego potrzebowaliśmy w domu godzin do odrobienia naszych zadań szkolnych. A więc, panowie, ja byłem zmuszony, radca Hirszpeter mógł mnie przypilnować, pracować w domu przez siedem godzin. Dodajcie do tego sześć godzin, spędzonych w klasie, dwie godziny, potrzebne na posiłki, a możecie obliczyć, ile mi pozostawało wolnego czasu.

Cesarz mówi dalej, że temu przeciążeniu mógł przeciwdziałać tylko dzięki okolicznościom wyjątkowym, nie będącym dostępnymi dla ogółu uczniów.

— Gdybym nie był miał sposobności jeździć konno—mówi on—i w inny sposób używać swobodnego ruchu, nie byłbym nawet wiedział, co się dzieje w świecie.

Jazda konna jest środkiem doskonałym do przeciwdziałania przeciążeniu pracą, ale przyznać należy, iż nie jest to rozrywka, wystarczająca do poznania świata i życia.

W każdym razie cesarz zaznacza zło.

— Podług mnie—mówi—trzeba wynaleźć radykalny środek do zapobieżenia złemu, do zmienienia tego stanu rzeczy. Nie można, panowie, bardziej łuku naciągać, nie można go nawet w tem naprężeniu pozostawić. Przekroczyliśmy już ostateczną granicę. Szkoły dokonały rzeczy nadludzkich i podług mnie, wywołały nadprodukcję ludzi uczonych; jest ich więcej, niż może znieść naród, więcej, niż oni sami znieść mogą.

Co powiedzą ci, którzy dowodzili, że o wielkości i sile żywotnej narodu sądzić należy podług liczby ludzi uczonych?

— Co do tego—mówi dalej cesarz—wyrażenie księcia Bismarcka: „proletaryat bakalarzy“, jakich posiadamy, jest dokładne. Większość kandydatów do głodu (ostrzy wyraz) wytwarza się z młodzieży, kończącej liceum; jest to dla nas niebezpieczeństwo. Ten nadmiar, który już teraz jest zbyt wielkim, czyni ojczyznę naszą podobną do pola, przesiąkniętego wodą, które nie może już znieść większej ilości tej wody. Dlatego też nie jestem za otwieraniem nowych gimnazyów, gdyż nie można mi dowieść potrzeby ich istnienia. Mamy już tego dosyć.

Cóż powiedzą na to ci, którzy dowodzą, że o wielkości i sile żywotnej państwa sądzić należy podług liczby szkół w tem państwie istniejących? Ten, który te szkoły potępia, nie jest wcale nieokrzesanym barbarzyńcą, wychodzącym z lasów Germanii; przeciwnie, jest to wychowaniec rozwiniętego systemu szkolnego, najbardziej intensywnego, jaki kiedykolwiek istniał na powierzchni ziemi, jest to syn studyjących, uniwersyteckich, pedantycznych Niemiec.

Pod koniec swojej mowy cesarz powraca jeszcze do niższości fizycznej, wyrodzonej wskutek obecnego systemu wychowawczego:

— Co chcecie—mówi on—aby czynił człowiek, który nie widzi własnymi oczyma, a w szkołach jest 74% krótkowidzów? Gdy byłem w liceum w Kassel, wykłady odbywały się w sali, mającej dobrą wentylację, na specjalne życzenie mojej matki, a jednak z 21 moich kolegów 18 nosiło okulary. Takie rzeczy wzruszają moje serce, a zapewniam was, że masy próśb, petycyj, błagań przesyłali mi rodzice. Obchodzi mnie to mocno, boć jestem ojcem swojego kraju; obowiązkiem moim jest oświadczyć, że nadal rzeczy tak iść nie mogą.

— Panowie, ludzie nie powinni patrzeć na

świat przez okulary, ale powinni patrzeć swemi własnymi oczami. Oto, o co teraz starać się będziemy; obiecuję to wam!

Oto drugi wniosek: system szkolny nie powiódł się tak na punkcie praktycznym, jak i technicznym.

To nie wszystko jeszcze, nie powiódł się i na trzecim punkcie: na punkcie politycznym.

Ten zarzut jest poważny.

Wiadomo, jak wiele obiecywano sobie po szkołach na punkcie wpajania w młode pokolenia takich zasad politycznych, jakie uważano za najodpowiedniejsze. Wywierać wpływ na szkołę—był to najpewniejszy środek powodzenia dla rozmaitych stronnictw. Była to zasada niezaprzeczalna i niezaprzeczana. To też zawzięte walki staczano o szkoły i we Francji i w Niemczech. Szkoła, była to kwestya, którą się najbardziej zajmowano, o którą sprzeczano się najwięcej. We Francji dała ona początek nowemu prawu szkolnemu i sławnemu artykułowi siódmemu; w Niemczech wytworzyła tak zwany „kulturkampf.“

Cesarz niemiecki posługiwał się tak samo szkołą, jak rząd francuski, a posługiwał się w sposób bezwzględny, pruski, tak, jak Francya posługiwała się w sposób bezwzględny, jakobiński, gdyż te dwa systemy są zupełnie identyczne.

I oto ten sam cesarz oznajmia, że szkoła na punkcie politycznym nie dała mu tych rezultatów, jakich oczekiwał, a on sam najlepiej o tem sądzić może. Zdaje się, że politycy we Francji muszą przyznać to samo, gdyż pewna liczba inteligentniejszych członków większości mówi otwarcie o potrzebie złożenia broni na punkcie szkoły; przyznają, że prawa szkolne więcej umysłów od nich odstręczyły, niż zapewniły im stronników.

Czego oczekiwał od szkoły cesarz niemiecki pod względem politycznym? Wypowiada to wyraźnie:

— Gdyby szkoła była uczyła tego, czego mieliśmy prawo od niej żądać—a mogę mówić o tem ze

znajomością rzeczy, gdyż byłem wychowawcą liceum i wiem, co się tam dzieje—byłaby powinna przedewszystkiem rozpocząć walkę z demokracją.

To samo mówili we Francyi członkowie dzisiejszej mniejszości, gdy byli jeszcze u steru władzy. Owcześnie większość wołała: „Rozpocząć walkę ze stronnictwami monarchicznymi i klerykałnemi.“ Zawsze jednaka formuła w różnych stronnictwach i w obu krajach, zawsze to samo dążenie: uczynić ze szkoły narzędzie wpływów politycznych. Lecz idźmy dalej za myślą cesarza.

— Kolegia i uniwersytety—mówi on—powinny były zająć się tą kwestyą poważnie i kształcić nowe pokolenia w ten sposób, aby młodzież w moim wieku, t. j. mająca około trzydziestu lat, sama z siebie już przygotowywała *narzędzia*, przy pomocy których mógłbym pracować w mojem państwie nad rychlejszem opanowaniem ruchu.

Nie można zarzucić cesarzowi, aby ukrywał swe myśli! Żąda on głośno, aby w szkole przygotowywano mu pomocników, którzy „pomogliby mu ruch opanować.“ Oto pojęcie, jakie ma o wykształceniu, oto rola, jaką przeznacza szkole! Czy profesorowie niemieccy, czy rodziny uczniów zgadzają się na to, to już ich rzecz!

Cesarz po wypowiedzeniu, czego oczekiwał od szkoły, stwierdza, że nie dała mu ona tego.

— „Tak się nie stało!“ — powiada i dodaje jeszcze:

— Ostatnie czasy, w których szkoła nasza była produkcyjną dla naszego życia patriotycznego i dla rozwoju państwa, były w latach: 1864, 1866 i 1870. Wtenczas zarówno szkoły pruskie, jak i kolegia pruskie, były krzewicielkami idei jedności, którą wszędzie wpajano. Wszyscy w Prusach całych jedną tylko mieli ideę: odrestaurować państwo niemieckie i odebrać Alzacyę i Lotaryngię. Wszystko to ustało z rokiem 1871. Cesarstwo się ukonstytuowało, otrzymaliśmy to, czego pragnęliśmy i poprze-

staliśmy na tem. Teraz należało nauczyć młodzież, jak powinno się umieć utrzymać to, co się potrafiło zdobyć. Pod tym względem nic nie zrobiono, przeciwnie, dały się odczuć tendencye rozbieżne. Mogę sądzić o tem, gdyż jestem do spraw tych zbliżony i musiałem zajmować się temi kwestyami. Ten stan rzeczy wypływa ze sposobu kształcenia młodzieży.

Cesarz zadaje sobie pytanie, z kąd ten błąd pochodzi i tłómaczy go wyborem przedmiotów nauki, oraz sposobu ich wykładania. Tutaj właśnie napada, jak to mówiliśmy wyżej, na filologów i na łacinę. Powstaje na profesorów, którzy ośmielają się twierdzić, że głównem zadaniem szkoły jest gimnastyka umysłów i dodaje natychmiast, że „nie można już postępować według takich zasad.“

Rzecz naturalna, że gimnastyka umysłowa musi się wydawać słabem narzędziem panowania dla władcy pruskiego, który zapewnił sobie potęgę siłą oręża. Nie przy pomocy intelektualnej gimnastyki Prusy owdładnęły powoli całemi Niemcami i wprowadziły ów militarizm, który panuje teraz w Berlinie; nie przez tę gimnastykę także zdołają się utrzymać na tem stanowisku.

I oto dlaczego cesarz niemiecki ma prawo twierdzić, że szkoła nie dała mu tego, czego oczekiwał, ani pod względem politycznym, ani praktycznym, ani technicznym.

Jest to zatem, w pełnem znaczeniu tego wyrazu, porażka na całej linii.

II.

Tak rzeczy pozostać nie mogą; trzeba zaprowadzić zmianę i cesarz jest na to zdecydowany; trzeba więc, żeby wola innych ulegała jego woli; czyż nie jest on cesarzem?

Zobaczmy, czego chce cesarz, co rozkazuje w kwestyi szkolnej, w celu postawienia znów szkoły

na dobrej drodze pod względem technicznym, praktycznym i politycznym.

Pod względem technicznym postanowienie jego jest proste, ale radykalne: usuwa łacinę; usuwa wszystko, co nie jest „gimnazyum“, właściwie powiedziawszy; a widzieliśmy wyżej, że miał zamiar powstrzymać mnożenie się gimnazyów. Gimnazyum jest szkołą dla wyższych klas społecznych i dla kariery profesorskiej.

— Nie będę upoważniał już — mówi cesarz — do otwierania gimnazyów, których potrzeby nie dotają mi dowieść. Mamy już ich dosyć.

Kategorycznie zaś ograniczając program łaciny, wola:

— Precz z wypracowaniami łacińskimi. Niepotrzebnie na nie czas tracimy. Musimy odrzucić przez wieki trwającą podstawę średniowiecznego wykształcenia klasztornego, gdy łacina była jedynie wykładana z małą przymieszką greckiego.

Nie chcę roztrząsać ważnej kwestyi nauki łaciny, nie chcę tembardziej bronić sposobu, w jaki jest wykładana, a który daje tak marne rezultaty, ani też ujmować się za zbyt rozległym programem; nie można jednak zaprzeczyć, że z technicznego punktu widzenia, z punktu widzenia uczonych, reforma cesarza niemieckiego ma na celu ograniczenie wykształcenia. Jest to reforma negatywna.

Nie jest jednak negatywną z punktu widzenia praktycznego.

Praktyczność jest głównym celem dążeń cesarza. Wymaga on, aby szkoła przygotowywała młodych ludzi do walki życiowej, żeby uzdalniała rasę niemiecką do życia po za obrębem kraju; żeby jej ułatwiała możliwość stawienia czoła przeciw innym rasom, walczącym o zdobycze na kuli ziemskiej, słowem chce, żeby szkoła wytwarzała umysły praktyczne, umiejące radzić sobie w życiu i znające świat. Przypomnijmy sobie, jak cesarz żałuje, że sam mógł

świat poznać jedynie dzięki swoim wycieczkom konnym.

Nikt nie zdołałby się domyślić wszakże, jaki plan podał cesarz, aby projekty swoje w czyn wprowadzić. Co powiedzielibyśmy o człowieku, który chcąc dziecko nauczyć chodzić, związałby mu nogi, lub który, chcąc przed jego wzrokiem otworzyć szerokie horyzonty, zamknąłby je do ciasnej celki, zalapając hermetycznie wszystkie otwory, przez które wzrok dziecka mógłby sięgnąć nazewnątrz? Taki plan właśnie obmyślił cesarz niemiecki. Przytoczmy tu znowu własne jego wyrazy, bo inaczej trudno w to uwierzyć:

— Trzeba — mówi on — abyśmy wzięli język niemiecki za podstawę wykształcenia. Wypracowania niemieckie mają być punktem środkowym, około którego wszystko inne się obraca. Jeśli ktoś przy egzaminie dojrzałości odda wypracowanie niemieckie bez zarzutu, można po niem ocenić stopień rozwoju umysłowego młodego człowieka i orzec, co on umie. Z wypracowaniem łacińskim tracimy czas, który należy poświęcić niemieckiemu.

Trzeba zwrócić uwagę, że nie idzie tutaj o życzenie bardzo zresztą naturalne, aby Niemcy uczyli się gruntownie ojczystego języka, ale o proste *usuwanie wszystkiego, co nie jest niemieckie*. Jest to system przeszkadzający formalnie przedstawianiu się do szkół wszelkiego elementu obcego, wszelkiej obcej umiejętności. Dowodem tego jest dalsza przemowa cesarza.

— Byłbym bardzo zadowolony — powiada — gdybyśmy nie byli nadali tym rozprawom francuskiej nazwy: ankieta szkolna (*schulenuquete*), ale nazwę niemiecką: pytanie szkolne (*schulfrage*), pochodzącą od wyrazu staro-niemieckiego, który oznacza poszukiwania. Używajmy więc poprostu tego określenia: kwestya, sprawa szkolna.

Może niektórzy będą uważali takie usuwanie wyrazów obcych tylko za objaw gorącego patryo-

tyzmu. Ale przeczą temu następujące słowa cesarza, które akcentują lepiej i wyraźniej nowe warunki, jakimi cesarz chce ograniczyć wykształcenie:

— Chciałbym widzieć u nas żywiół narodowy bardziej rozwiniętym. Zarówno w nauce historii, jak geografii i mitologii, należałoby zacząć od naszego kraju, od poznania własnego domu, że tak powiem.

Nie wydawajmy jeszcze sądu, gdyż zobaczymy, że ów dom, o którego poznanie chodzi, nie jest to stary dom niemiecki, ale nowoutworzony przez książąt pruskich, do którego dobrowolnie, czy przemocą naginają cały lud niemiecki. Studyować gruntownie należy historię aktualną, historię chwili obecnej, to znaczy historię tego okresu, w którym Prusy zdobyły i zagarnęły pod swoje panowanie całe Niemcy. Oto, czego uczyć potrzeba młode pokolenia, aby zawczasu wpoić w nie miłość i uwielbienie dla obecnego rządu. Zresztą cesarz nie ukrywa swojej myśli:

— W czasie, w którym uczęszczałem do kolegium, Wielki Elektor był zaledwie mglistym zjawiskiem; nad siedmioletnią wojną nie zastanawiano się już wcale, a historia przeszłego stulecia kończyła się na rewolucyi francuskiej. Wojny od 1813 do 1815 roku, które mają największe znaczenie dla każdego młodego Niemca, nie były dosyć studyowane, i tylko dzięki kursom dodatkowym, bardzo zajmującym, byłem w stanie dokładniej poznać ten okres.

A zaraz potem cesarz mówi o celu, do którego dąży.

— Oto jest właśnie punkt najdrażliwszy: Dlaczego wprowadzają w błąd naszych młodych ludzi? Dlaczego krytykują tak nasz rząd? Dlaczego we wszystkim zwracają się do zagranicy?

Wszak cesarz mówi dość wyraźnie: Trzeba odwrócić uwagę od zagranicy, od tego, co się dzieje i co się robi nazewnątrz, aby skoncentrować ją wyłącznie na *nowem* państwie Niemieckiem, trze-

ba uczyć młodzież uwielbienia dla wypadków, jakie wywołały hegemonię pruską, bo to jest punkt najważniejszy. Wskutek tak zręcznego ograniczenia umysłów niemieckich, upadnie „krytykowanie rządu”. „Młodzież — mówi cesarz — inaczej sądzić będzie kwestye bieżące”, Jakżeż nie mianoby jej nauczyć sądzić inaczej, jeśli stawiać jej będą przed oczy jedynie heroiczny okres historii pruskiej? Stare Niemcy nawet wielką swoją przeszłością nie zakłóca już sądu młodzieży.

Wiemy teraz, co cesarz nazywa wykształceniem praktycznem.

— Panowie — mówi on szczerze—ja potrzebuję żołnierzy, potrzebuję pokolenia silnego, zdolnego do służenia krajowi. Trzebaby przyswoić szkołom wyższym organizację, jaka istnieje w naszych szkołach wojskowych, w szkołach kadetów.

Niech i tak będzie! Ale czy wtedy młodzież niemiecka będzie w stanie oddać się życiu realnemu, życiu praktycznemu, codziennemu, w świecie, w którym się nie prowadzi wojny, nie zabija, ale w którym trzeba zapracować na kawałek chleba? Czy ten system uczyni z tej młodzieży ludzi praktycznych, zdolnych do pracy produkcyjnej, zdolnych do inicjatywy, jakiej potrzeba do każdej pracy w czasach obecnych? Trzebaby rozwijać w niej samodzielność, a tymczasem przed oczy młodego pokolenia stawiają jedynie przykłady pruskiej dyscypliny; jako ideał szkoły stawiają szkołę wojskową! Należałoby rozwinąć umysł młodzieży, rozszerzyć jej horyzonty, wdrażać ją we wszystkie pożyteczne przedsięwzięcia, przez jakie rasa może uzyskać wyższość nie wojskową, ale wyższość społeczną nad innymi, mniej rozwiniętymi rasami. Zamiast tego, kładą im na oczy przepaskę, która nie pozwala patrzeć ani na świat starożytny, ani na nowożytny świat zewnętrzny. Ze wspaniałego tego i pouczającego obrazu wolno im widzieć jedynie mały epizod historii Prus. Poznają oni zwycięstwa, jakie odnoszono przy pomocy armat,

ale nie poznają tych, jakie święci praca, wytrwałość, energia, samodzielność i silna wola ludzka.

Istnieją w Indyach fakirzy, którzy całe życie wpatrują się w jeden punkt, przekonani, że w ten sposób dążą do doskonałości, do szczęścia. Ale nawet w Indyach ci nieszczęśliwi należą do wyjątków, do fenomenów. Zdaje się, że cesarz niemiecki zamarzył o tem, żeby cały naród takim wyjątkiem uczynić, nakazując mu podziwianie jednego tylko wyjątkowego punktu z całego olbrzymiego horyzontu, podziwianie siebie samego.

Naród niemiecki zadecyduje, czy marzenie to ma się zamienić w rzeczywistość.

Ale i my, Francuzi, powinniśmy się nad tem zastanowić, gdyż mamy także skłonność do zasklepiania się w ciasnych granicach podziwu, wyłącznego dla siebie samych, do powtarzania, iż my tylko jesteśmy „wielkim narodem,” stojącym na czele wszystkich innych i t. d. I my chcielibyśmy wpajać w młode pokolenia, że wszystko datuje się od niedawnej epoki, od rewolucyi w 1789 r. Nie spostrzegając, że przez ten czas świat idzie swoim trybem, ale idzie bez nas.

Jeśli nowe reformy, zarządzane przez cesarza niemieckiego, są negatywne na punkcie technicznym i pełne złudnych iluzyj praktycznie, czy będą one przynajmniej pożyteczne dla względów politycznych?

Byłoby prawdziwem nieszczęściem dla władcy państwa Niemieckiego, gdyby tak nie było, gdyż w rzeczywistości cały projekt reformy wypływa właśnie z interesu politycznego, albo przynajmniej z tego, co za korzystne dla polityki cesarz uważa. Wszak twierdzi on, że:

„Idzie o to, aby nauczyć młodzież utrzymywania tego, co się zdobyło, a nie zrobiono nic pod tym względem i od jakiegoś czasu dały się odczuć dążności spójni przeciwne.“

W celu zwalczenia właśnie tych niepokojących dążeń, został ułożony cały ten nowy system szkolny.

Gdy się ten punkt wyjścia pochwyci, mowa cesarza staje się nadzwyczaj jasną i przejrzystą. Aby życzenie cesarskie mogło się spełnić, trzeba, aby szkoła miała te zalety, jakie zdaje się cesarzowi, że ona posiada, a których, szkoła jednak w istocie niema. Zresztą cesarz sam tego doświadczył, gdyż jego projekty reform mają tylko na celu wzmocnienie systemu edukacyjnego, który już poprzednio dążył do sławienia monarchii pruskiej, a którego natchnieniem i wielkimi mistrzami byli zawsze cesarze niemieccy.

To też profesorowie gimnazyjów w Berlinie, zaprotestowali przeciw przemowie cesarza. Jednocześnie wyrazili żal swój, wypływający z wymówek, jakie im zostały uczynione. Zapewniają, iż uważali zawsze za najświętszy swój obowiązek wpajanie w młodzież miłości do zjednoczonego państwa Niemieckiego i przygotowywanie obrońców porządku publicznego, którzy umieliby oprzeć się wpływowi rewolucyjnym. Pomimo tego wszystkiego system ten się nie udał, co cesarz zaznacza dość wyraźnie, a mimo to próbuje wzmocnić go jeszcze.

Zdarzyć się jednak może, iż cesarz nietylko nie osiągnie tych rezultatów, jakich się spodziewa, ale jeszcze może osiągnąć rezultaty wprost przeciwne.

System edukacyjny, jaki chce wprowadzić, osłabi jeszcze i tak niewielkie zdolności, jakie w Niemczech ujawnia klasa mieszczańska w kierunku zajęć samodzielnych, bo system ten uczyni ją jeszcze mniej podatną do walki o byt, do życia na zewnątrz kraju i do stawienia czoła współzawodnikom silniejszym społecznie. P. Poinard doskonale uwydatnił¹⁾ tę niezdolność zamożnych klas niemieckich i usiłowania ich, dążące do owładnięcia stanowiskami wojskowymi i administracyjnymi, a niechęć do zajęć praktycz-

¹⁾ Zobacz: *La Science sociale*: „Niemcy po za granicami swego kraju. Ostatnie dążenia kolonizacyjne rządu cesarskiego“, t. IX, str. 426.

nych, najpożyteczniejszych jednak i dla społeczeństwa i dla jego członków.

Nowy plan, obniżając jeszcze istniejącą już na tym punkcie niższość owych klas, stworzy wkrótce stan bardzo ujemny i oplakany. Państwo niemieckie nie zdoła wykarmić w swojej armii i w swoich licznych biurach tych wszystkich nieudolnych jednostek, jakie musi wytworzyć tak niepraktyczne i tak niesystematycznie ograniczone wychowanie. Ci nieudolni będą naturalnie mieli żal do rządu za swoje niepowodzenie w życiu, a wtenczas objawy niezadowolonia, o których już teraz mówi cesarz, bardziej jeszcze wzrosną. Nic lepiej nie wykazuje błędu organicznego państw, w których osoba władcy zastępuje samorząd w sprawach miejscowych i prywatnych. Kwestyą najbardziej obchodzącą rodziny, kwestyą najwięcej lokalną jest bez zaprzeczenia kwestya szkolna. W tym kierunku współdziałanie państwa było zawsze zgubne; cesarz niemiecki raz jeszcze tego doświadczy.

Gdyby te słowa wpadły w ręce cesarza niemieckiego, zdziwiłby się zapewne bardzo zawartą w nich krytyką, gdyż jest przekonany, a przynajmniej tak mówi, że ten program szkolny otwiera nowe drogi, na które wchodzi narody; że jest to program przyszłości. Nie przesadzam! Cesarz, zamykając konferencyę, wypowiedział przecież następujące wyrazy:

— Panowie, znajdujemy się w chwili przejściowej do wieku nowego, a po wszystkie czasy przywiłejem domu naszego, to jest moich poprzedników, było odczuwać tętno epoki, przewidywać przyszłość i stać na czele ruchu, którym postanowili kierować i wieść do nowego celu. Zdaje mi się, że poznałem nowe tendencye umysłów i cel, do jakiego dąży ten kończący się wiek i jestem zdecydowany — jak byłem nim, podejmując kwestye reform społecznych — skierować stanowczo i pośpiesznie wychowanie naszej młodzieży na nowe tory, po których ko-

niecznie iść powinniśmy, bo jeśli nie zrobimy tego teraz dobrowolnie, będziemy do tego zmuszeni za lat dwadzieścia.

Poglądy te dziwią w ustach władcy, który całą edukację chce sprowadzić do jednego mianownika: t. j. podziwiania czynów wojennych, spełnianych przez jego przodków, co niweczy zupełnie wykształcenie techniczne i młode pokolenia wielkiego kraju uczyni niezdolnymi do walki o kawałek chleba, wal-ki, o której jednak — jakby przez ironię — mówi tak wiele i tak głośno.

Złudzenie jego atoli nas nie dziwi; jest ono naturalne u Prusaka. Ten mały naród ze wschodnich krańców Niemiec ostatni wziął udział w koncercie wielkich państw europejskich, mówiąc językiem dyplomatów. Ostatni też zamienił się w wielki naród i jak ten człowiek, który się urodził o kwadrans za późno i który już tego kwadransa dogonić nie może, Prusy stale opóźniają się o dwa wieki na wielkim zegarze Zachodu i Nowego Świata. Nad brzegami Szprei z całą powagą bawią się jeszcze w Filipa II i w Ludwika XIV, nazywając przyszłością to, co już do odległej przeszłości należy, nie domyślając się nawet, że ci wielcy umarli oddawna już i stanowczo zostali pochowani, razem z politycznym systemem swoich rządów.

Ponieważ mowa jest o przyszłości, o walce życiowej, o konieczności rozwoju rasy niemieckiej na zewnątrz, o zmierzeniu z rasami, które teraz owładają światem, ciekawem jest przekonać się, co czynią te ostatnie, aby wdrożyć młode pokolenia do tej walki ciężkiej a wspaniałej, zapewniającej wszędzie zwyciężkie pierwszeństwo. Przekonamy się, jak dalekim jest ich system edukacyjny od tego, jaki proponuje cesarz niemiecki.

III.

Pewien Francuz, który — rzecz nader rzadka we Francji — chce syna uzbroić odpowiednio do walki

o byt, poszukiwał także owego wykształcenia praktycznego, o którym wszyscy mówią, ale które tak mało znajduje zastosowania. Otóż sprowadził sobie programy szkół zagranicznych, Jeden szczególnie z tych programów zwrócił naszą uwagę, rozbiór jego podajemy poniżej, razem z bliższymi szczegółami, które udało mi się zebrać o tym zakładzie naukowym.

Jest to kolegium angielskie, mające specjalnie na celu przygotowywanie młodzieży do samodzielnego zdobywania sobie stanowisk po za granicami kraju, zakładając w różnych stronach świata eksploatacye rolne, przy pomocy których rasa anglosaksońska opanowuje powoli świat cały i pokonywa inne rasy. Typ taki odpowiada zatem typowi, jaki cesarz niemiecki myśli wytworzyć przy pomocy swego programu. Sposoby jednak i środki do osiągnięcia celu, wybrano zupełnie różne.

Program instytucji angielskiej rozpoczynają cytaty charakterystyczne. Pierwsza wzięta z Johna Stuarta Milla: „Należy przyznać bez wahania, że w obecnym ustroju świata kolonizacja jest najlepszym przedsięwzięciem, w którym można umieścić z powodzeniem kapitały starej a bogatej okolicy.“ Druga cytata E. Forstera brzmi: „Emigracja coraz bardziej staje się konieczną potrzebą nie tylko klasy robotniczej, ale klas wszystkich“.

Następnie program wykazuje cel, do którego instytucja dąży. Zakład ten naukowy jest przeznaczony dla młodzieży, która pragnie otrzymać wychoowanie bardziej specjalne, aby uzupełnić te braki, jakie pozostawiło wychoowanie w kolegium, choć przecież wychoowanie w szkołach angielskich już jest bardzo praktyczne. Słowem, idzie tu o to, aby dać kwalifikacje, potrzebne do rozpoczęcia „walki o byt“, którą określa w programie ten sam wyraz, jakiego użył w przemowie cesarz niemiecki (*the struggle for existence*).

Dyrektorzy utrzymują stosunki ze wszystkimi koloniami, zkąd nadsyłają im wiadomości, które po-

zwalają młodzieży z całą świadomością warunków obierać sobie taki lub inny kierunek. W ten sposób wielu z wychowanców znalazło już sobie korzystne umieszczenie po za granicami kraju.

Potem następują objaśnienia o warunkach, w jakich ów zakład naukowy istnieje i aby mózdz dokładnie zdać sobie z tego sprawę, dołączony jest plan, wyjaśniający materyalną organizację szkoły.

Szkoła ta istnieje się na wsi (Instytut agronomiczny francuski mieści się w samym środku Paryża). Ow zakład angielski położony jest na wzgórzu między morzem i rzeką, w okolicy rolniczej. Oto są dwa warunki, mogące lepiej przygotować emigrantów i kolonistów, niż nagromadzenie po miastach studentów niemieckich.

Plan wskazuje obszar urządzeń szkolnych, które są tak zagospodarowane, że dają próby różnych systemów rolnych i różnych produktów. Oznaczone są także rozmaite zabudowania gospodarskie i ich przeznaczenie: folwarki, mleczarnie, budynki dla drobiu, dla bydła, przystań dla statków i t. d. Wreszcie dbałość o praktyki religijne widnieje ze wzmianki, że w pobliżu znajdują się dwa kościoły.

Po tym wstępie znajdujemy w programie plan nauk, w którym potwierdza się praktyczny kierunek zakładu. Widzimy, że tutaj nie panuje chęć zużytkowania szkoły w celach politycznych, ale jedynie uzbrojenia młodych ludzi w te wszystkie wiadomości praktyczne, jakie mogą im być użyteczne. Wprost przeciwnie temu, co się dzieje we francuskim instytucie agronomicznym, na pierwszym planie stoją ćwiczenia praktyczne, w klasach tłómaczą tylko i wykładają teorię wykonywanych robót. To też cały zastęp rolników i rozmaitych robotników używany jest w zakładzie do ćwiczenia wychowanców w różnych pracach, potrzebnych przy zakładaniu kolonij.

Rolnictwo zajmuje naturalnie pierwsze miejsce. Wychowañcy wykonywują wszystkie czynności przy uprawie roli. Oddają im do rąk najbardziej wydo-

skonalone narzędzia, aby się nauczyli, jak trzeba z nimi postępować i aby umieli ocenić ich wartość. Do rozporządzenia swego posiadają ogród dziesięciokrowy, przeznaczony do badania najlepszych gatunków owoców i jarzyn, oraz wyszukiwania metody, pozwalającej na to, aby jaknajbardziej powiększyć produkcję. Pszczelnictwo jest przedmiotem, traktowanym bardzo poważnie, co jest rzeczą istotnie nader praktyczną, bo w dzikich krajach pszczoły dostarczają produktów trudnych do zdobycia: materiał, służący do słodzenia pod postacią miodu i materiał, służący do oświetlenia pod postacią wosku. Część ziemi zakładowej zasadzono drzewami dla obznajmienia uczniów z gospodarstwem leśnym, a program zwraca uwagę na pożytek ztąd wypływający dla tych, którzy mają się osiedlić w Kanadzie lub w Australii.

Chów bydła jest przedmiotem wielkich starań, co się tłumaczy tem, że jest on bardzo ważnem źródłem dochodu w koloniach, które najczęściej dzięki hodowli bydła powstają. To też w programie zaznaczają, że do zakładu należy 70 koni i źrebaków, a gospodarstwo zakładowe słynie z pięknych ras, jakie hoduje. Ze wszystkich ras wybierają zaś te, które są najodpowiedniejsze do robót w koloniach.

Są też w gospodarstwie zakładowem rozmaite rasy wołów, owiec, nierogacizny i drobiu. Uczniów obznajmniają z życiem zwierząt i z korzyściami, jakie one przynoszą. Uczniowie towarzyszą często pasterzom i przez cały rok zapoznają się ze szczegółami, odnoszącemi się do tej ważnej gałęzi gospodarstwa.

W oborze stoi 50 krów, wybranych starannie. Gospodarstwo mleczne jest zaopatrzone we wszystkie udoskonalone wynalazki i nauczyć się tam można zarówno metod zastosowanych do krajów gorących, jak i metod odpowiednich w strefie zimnej.

Kolonista powinien umieć sam pielęgnować

zwierzęta w razie choroby. To też weterynaryja i teoretycznie i praktycznie jest wykładaną codziennie.

Uczniowie biorą także codziennie lekcye konnej jazdy, chociaż nie potrzebują tak, jak cesarz niemiecki, posługiwać się tem ćwiczeniem dla nabierania wiadomości praktycznych. Ale wiadomą jest rzeczą, że w wielu miejscowościach nowozamieszkałych koń jest jedynym środkiem lokomocyi; zresztą jest to jedyny sposób do przebiegania i pilnowania większych obszarów.

Wreszeie uczniowie muszą codziennie wykonywać prace niwelacyjne, drenowanie, irygacyę pól, bo pobyt w odosobnionych miejscowościach wymaga tych umiejętności.

Nie wystarcza jednak, aby kolonista umiał sam uprawiać i eksploatować swoje posiadłości, potrzeba jeszcze z powodu przypuszczalnego oddalenia kolonii, aby we wszystkim mógł sam sobie radzić. Słowem, należy wykształcić go na człowieka, o ile można najbardziej niezależnego. Ten pogląd na rzeczy tłumaczy nam drugą część programu szkoły, to jest pracę uczniów w specjalnych warsztatach. Istnieją tam warsztaty, w których wyrabiają maszyny, narzędzia, naprawiają je, kują konie i t. d.; warsztaty, gdzie obrabiają drzewo, fabrykują koła, naprawiają wozy, wznoszą budynki, lub wyrabiają przedmioty, ze skór, jak np. uprzęże i t. d.

W takim życiu, jakie czeka tych młodych ludzi, potrzeba jeszcze innych wiadomości, innego uzdolnienia: trzeba umieć pływać, wiosłować, sterować statkiem, budować mosty wiszące i t. d. Nadzorca wybrzeża, który pilnuje statków, należących do kolegium, uczy tych różnych ćwiczeń; „uczy także między innemi — mówi program — jak należy łączyć dwa końce liny, nie robiąc węzłów“. Jest to dokładność w szczegółach, która znamionuje ludzi, zgłębiających rzecz każdą i wiedzących, że niema nic bezpożytecznego.

Kolonista musi umieć pielęgnować siebie i in-

nych. To też: „w tym kierunku tak ważnym dla nich—jak zaznacza program — uczniowie są kształceni podług prawideł ambulansu stowarzyszenia św. Jana. Uczą się, jak należy ratować tonących, stosować rozmaite bandaże, nastawiać członki wywichnięte lub złamane, zatrzymywać krew, jak wreszcie obchodzić się z ranami, z oparzeniem i we wszelkiego rodzaju innych wypadkach.“

Dotychczas była mowa tylko o zajęciach i ćwiczeniach praktycznych, które bezwątpienia są najważniejsze, bo nie idzie tutaj o tworzenie urzędników biurowych, ale o urabianie ludzi czynu *strugglefortifiers*. To też, o wykładach klasowych jest tylko na końcu lakoniczna wzmianka, gdyż, jak to zaznaczyliśmy: „nauka w szkole jest tłómaczeniem rzeczy już wystudyowanych i wypraktykowanych.“

Dwie godziny dziennie (jak widzimy, niema przeciążenia) są tylko poświęcone na wykłady teoretyczne dyrektora i profesorów z dziedziny: rolnictwa, geologii, mineralogii, botaniki, leśnictwa, cielestwa, budownictwa, weterynaryi i t. d. Prócz tego odczytywanemi są listy, pisane przez powagi w sprawach kolonialnych o różnych przedmiotach, mogących zajmować przyszłych kolonistów.

Do programu dołączono aż 25 widoków fotograficznych różnych budynków kolegium i prac w czasie ich wykonywania. Te typy młodych ludzi, pochwycone podczas pracy, robią też wrażenie rasy energicznej, praktycznej, przyzwyczajonej do wysiłków i nie obawiającej się ich, wypełniającej poważnie dzieło wielkiej wagi, w którym po Bogu mogą liczyć na siebie jedynie.

Zwłaszcza charakterystyczne jest to, że ci młodzi ludzie nie są biedakami, pozbawionymi majątku i zmuszonymi do ciężkiej pracy. Nie, są to synowie rodzin bogatych, a przynajmniej zamożnych, należą do tej klasy mieszczańskiej, do której właśnie odnoszą się reformy cesarza niemieckiego. Program

mówi o tem wyraźnie, a przytem dowodzi tego i cena wymagana. Wynosi ona 2,250 franków rocznie do lat siedemnastu; 2,700 franków do lat dwudziestu i 3.150 franków dla przekraczających ten wiek.

Ci młodzi ludzie zatem mogliby w ojczyźnie wytworzyć sobie egzystencję cichą i spokojną; zamiast tego jednak przez pracę pilną i praktyczną przygotowują się do stawienia czoła wszelkim trudnościom, jakie oczekują kolonistę, rzuconego samotnie wśród niezamieszkałych okolic.

Mówiliśmy o tem, że ci młodzi ludzie mogą liczyć tylko na siebie. Dowód tego znajdujemy w dokumencie, dołączonym do programu. Są to mowy, wypowiedziane w czasie ostatniego rozdawania nagród przez osoby zacne, pod których protektoratem istnieje ten zakład, z prywatnej inicjatywy założony, jak i wogóle wszelkie instytucje angielskie.

Większość tych osób wiodła, albo wiedzie jeszcze życie kolonistów i trzeba słyszeć, jak uprzedzają wychowanców o wielu trudnościach, które napotkają i będą zmuszeni pokonać własnymi siłami. Ta perspektywa wszakże nie zniechęca młodych ludzi, lecz przeciwnie dodaje im bodźca, a to dlatego, że myśl o trudnościach, jakie pokonać należy, zniechęca jedynie słabych, silnych jednak podnieca.

Posłuchajmy, co mówi jeden z nich lord Kuntrford:

„Powinniście być surowymi dla siebie samych, bo będziecie musieli walczyć z niepowodzeniem, wasze zbiory mogą być zniszczone, bydło może wyzdychać, nie dajcie się jednak przygnębić nieszczęściu. Podnoście się zawsze, jak ludzie odważni, walczcie i naprawiajcie straty!“

Oto jest prawdziwa walka o byt. Czyż to nie brzmi jak pożegnalna pobudka rasy, idącej na zdobywanie świata, ale nie na zdobywanie w sposób pruski!

Inny mówca, sir Graham Berry, agent generalny Wiktoryi, tak znowu przemawia:

— W każdej części świata możecie znaleźć ziemi, będące pod sztandarem Wielkiej Brytanii: od zimnych stref Kanady aż do najgorętszych stref Afryki, aż do Australii, wszędzie napotkacie sztandar, który od tysiąca lat zwalcza siłę nieprzychylnych prądów. Teraz nadeszła wasza godzina; myślcie dobrze o kierunku, jaki macie obrać, o zajęciu, jakiemu chcecie się oddać, i miejcie jasno wytkniętą drogę przed wami. Nie wahajcie się nigdy; bądźcie odważnymi, bądźcie stanowczymi i przedsiębiorczymi; nie zdaje mi się, aby młody, inteligentny Anglik mógł znaleźć się w potrzebie, kiedy ma przed sobą tyle kolonij i gdzie może mieć powodzenie. Nie jestem już młody; czterdzieści lat temu wyjechałem sam z kraju, nie mając tych wszystkich korzystnych warunków, jakie wy macie; nieznany, z małym bardzo kapitałem, nie posiadając wiadomości technicznych i ani jednego przyjaciela w stronach, dokąd się udawałem. Doszedłem jednak do tego, że zostałem pierwszym ministrem tej kolonii i trzy razy przyzydowałem w jej izbie prawodawczej.

Gdy się pomyśli, że to nie uczniowie jednego kolegium, ale naród cały hartowany jest w ten sposób do walki z losem i cały ten naród, o tak wielostronnem i praktycznem przygotowaniu, rozprasa się szeroko po świecie, wówczas przyszłość rozjaśnia się przed nami. Zaczynamy dostrzegać, do kogo ta przyszłość należy, do kogo świat należeć będzie i ogarnia nas myśl jedna, że synów naszych kształcić nie trzeba według systemu niemieckiego, lecz według anglo-saksońskiego, jeśli nie mają być oni kiedyś wyparci i zmiążdżeni, jak dzieci Indyanie z Far West.

Wystawmy sobie istotnie nieszczęśliwego wychowanka pruskiego kolegium. Rozwijano w nim wyłączne uwielbienie dla monarchii pruskiej, pruskiego militarysty, podstawą jego wykształcenia

jest geografia Prus, historia Prus, a raczej jej monarchów, nie ma on żadnego pojęcia o świecie zewnętrznym, bo go systematycznie przed nim ukrywano, również nie posiada wyobrażenia o praktycznych wymogach życia niezależnego, Niechże się potem młody człowiek tak wykształcony spotka we spółzawodnictwie w jakiegokolwiek miejscowości świata z jednym z tych zuchów, co otrzymali wychowanie praktyczne, powyżej opisane, któryż z nich okaże się istotnie przygotowanym do przyszłości, jaką narodom starego świata narzucają nowe kontynenty?—który z nich będzie zdolniejszym do rzutkiej inicjatywy, dziś nie mogącej już być jedynie udziałem panujących, ale wykwitem całej rasy, jak to sam cesarz niemiecki uznaje?

Zestawiłem dwa programy: jeden z nich pochodzi od potężnego w Europie cesarza, drugi wypracowało kilku ludzi prywatnych. Może wielki monarcha nie pojął, że dla władcy jedynym sposobem wywołania inicjatywy i energii indywidualnej jest swoją osobistą akcją usunąć. Inicjatywa prywatna rozpoczyna się tam bowiem dopiero, gdzie interwencja władzy ustaje.

ROZDZIAŁ III.

Czy system wychowawczy angielski kształci ludzi?

Gdyby można pokusić się o ujęcie kwestyi socyalnej w formułę, zdawałoby się usprawiedliwionem twierdzenie, że jest ona przede wszystkim kwestyą wychowania. Wszakże obecnie głównie zależy na przystosowaniu się do nowych warunków bytu, które wymagają umiejętności radzenia sobie samodzielnie.

Dawne szablony, do których ogół nawykł, a nawet uważał za obowiązek opierać się na nich, są dziś niedostateczne, albo podruzgotane.

Mamy szczęście, lub przeciwnie, jeżeli kto chce, nieszczęście, żyć właśnie w epoce przejściowej, kiedy się ta nieunikniona ewolucya dokonywa. Niezadowolone, jakiego doznajemy, pochodzi też z rozdźwięku między systemem naszego wychowania, ukształtowanego jeszcze podług dawnej modły, a nowymi wymogami życia. Dotąd bowiem kształcimy spokojnie ludzi, przystosowując ich do potrzeb ustroju społecznego, który właściwie już nie istnieje.

Oddziaływać przeciwko następstwom takiego wychowania jest nadzwyczaj trudno. Nie wiem, o ile czytelnicy moi zdają sobie z tego sprawę, ale co do mnie, odczuwam zjawisko to bardzo wyraźnie. Odróżniam doskonale w sobie samym dwóch ludzi:

jednego, którego studia socyologiczne nauczyły, co poczynać należy i który potrafi mniej więcej zasadnie o tem dyskutować; oraz drugiego, skrepowanego pierwotnem wychowaniem, przyciśniętego niejako ciężarem przeszłości, skutkiem czego nie ma on dość siły do wykonania tego, co pierwszy za potrzebne uważa, albo czyni to tylko z wielką trudnością i niedokładnie.

Głowa moja dobrze pojęła „ustroj indywidualistyczny“, ale reszta mojej istoty tkwi jeszcze w „ustroju zbiorowym“, który ją uciska ¹⁾.

W tym wypadku zastosować można z małą zmianą wiersz Wergiliusza: „O! jakże trudno zetrzeć z siebie szablon społeczny“.

Co jednak dla nas w wieku późniejszym jest już trudnem, nie jest niem dla dzieci naszych, będących jeszcze wrażliwemi, jak wosk miękki, który łatwo przybiera i zachowuje kształty różne. Jeżeli zatem sami jesteśmy skazani na pozostanie na brzegu, to dopomóżmy dzieciom naszym przynajmniej do szczęśliwego przebrnięcia Rubikonu. Jest to obecnie poważnym obowiązkiem ojców rodzin, a ci, którzy mu zadość nie uczynią, będą ukarani surowo na swoich synach.

Ponieważ pragnąłem obowiązek ten względem dzieci moich spełnić, spożytkowałem następny mój pobyt w Anglii na gruntowne zbadanie praktyczne kwestyi wychowania w tym kraju. Życzyłbym sobie bardzo, aby wynik tych badań dostarczył moim kolegom, ojcom francuskich rodzin, tyle pouczających wskazówek, ile ja ich sam znalazłem.

¹⁾ Społeczeństwo o ustroju zbiorowym charakteryzuje dążność do opierania się nie na sobie samym, ale na zbiorowości: pokoleniu, klanie, rodzinie, władzy państwowej i t. d. Narodowości wschodnie są ich najwydatniejszym typem, tak, jak ludność anglo-saksońska stanowi najwybitniejszy typ „ustroju indywidualistycznego“, którego społeczeństwa zwykły na własnych siłach polegać.

I.

Jakkolwiek wychowanie angielskie znacznie lepiej dostosowane już jest, niż nasze, do nowych warunków obecnego życia, nie mniej Anglicy troszczą się o wiele więcej od nas o reformy, jakieby jeszcze w wykształceniu młodzieży wprowadzić należało.

Dalej od nas zaawansowani w zakresie nowoczesnych przekształceń, odczuwają oni silniej konieczność przystosowania się do potrzeb, jakie one wywołują.

Tą potrzebą zaś jest kształcenie młodych ludzi w ten sposób, aby umieli dawać sobie rady samodzielnie we wszystkich trudnościach i rozmaitych sytuacjach życia. Należy więc kierować ich na ludzi praktycznych i energicznych, a nie na urzędników lub uczonych, znających życie tylko z książki, a więc, prawdę powiedziawszy, bardzo niewiele.

Do urobienia takiego właśnie typu dążą Anglicy, a istotnie odpowiada on najlepiej warunkom nieuniknionym obecnej ewolucji społecznej.

Podczas rozmowy, jaką miałem w Edyburgu o wychowaniu w Anglii z profesorem uniwersytetu z Dundee, oznajmił mi on, że nazajutrz w Summer Meeting¹⁾ oczekiwany jest człowiek, mogący mnie zainteresować, dyrektor i założyciel szkoły z Anglii środkowej, doktor Cecil Reddie. Naturalnie, poszedłem do Summer Meeting'u i byłem bardzo zdziwiony, gdy nas wzajemnie zaprezentowano.

Dr. Reddie nie odpowiadał bowiem wcale klasycznemu typowi dyrektora lub profesora, do jakiego nawykliśmy we Francji.

We Francji jesteśmy przyzwyczajeni do klasycznego typu dyrektora kolegium i profesora: sztywnego, w ciemnym ubraniu, czarnym surducie, z uro-

¹⁾ W księdze II-ej opisuję szczegółowo tę instytucję.
(Przyp. autora).

czystą miną człowieka przejętego widocznie swoim posłannictwem, o ruchach powolnych, a obejściu nieprzystępnem. W rozmowie nader hojnie sypią się sentencje, mające kształcić umysł i serce młodzieży, a nadewszystko w zachowaniu przebija się wiele, ale to nadzwyczaj wiele godności. Tymczasem człowiek, który mi energicznie dłoń uściśnął, zupełnie typowi temu nie odpowiadał.

Jeżeli kiedykolwiek wyobrażałem sobie pioniera, wytrwałego karczownika z Far-West, nie umiałem przedstawić go sobie inaczej, jak w postaci podobnej do dra Reddie. Wysoki, szczupły, ale muskularny, zbudowany niezmiernie odpowiednio do wszelkiego rodzaju sportów, wymagających zręcznej gibkości i siły, nosił on ubranie, zastosowane do swojej fizjonomii — strój angielskiego turysty, t. j. bluzę z szarego sukna, ściśniętą paskiem, krótkie spodnie, grube welniane pończochy, założone poniżej kolan, mocne obuwie i beret na głowie. Podaję te szczegóły, gdyż ten typ dyrektora zdaje się być żywym obrazem szkoły, którą opisywać będę. Człowiek przedstawia tu dokładnie swoje dzieło.

Nazajutrz była sobota, dzień, w którym kursa są zawieszono; znaleźliśmy się więc obaj z dr. Reddie na koźle jednego z tych olbrzymich angielskich omnibusów, jakich używają na wycieczkę członkowie Summer Meeting'u. Przez całą drogę i znaczną część dnia p. Reddie tłumaczył mi cel i plan swojej szkoły, odpowiadając na moje pytania i stawiając mi je wzajemnie.

— Wychowanie obecne—mówił on—nie odpowiada już w zasadzie warunkom życia nowoczesnego, gdyż wyrabia ludzi dla przeszłości, a nie dla teraźniejszości. Większość naszej młodzieży marnuje czas na naukę języków martwych, któremi rzadko kiedy mają sposobność posługiwać się w życiu. Natomiast języki nowożytnie i nauki przyrodnicze ledwie powierzchownie poznają, a wszystko, co dotyczy życia rzeczywistego i praktycznego, oraz

stosunków społecznych, pozostaje im najzupełniej obcem. Nawet system naszych zabaw potrzebuje reformy, równie jak i system pracy, bo przemęczenie przy fizycznym hartowaniu praktykuje się tak dobrze, jak w zakresie nauk klasycznych. Reformę utrudnia zależność szkół naszych od uniwersytetów, do których przygotowują pewną liczbę swoich uczniów. Uniwersytety zaś, jak wszelkie dawne korporacje, nie władają istotnie sobą. Widmo niewidoczne i niepochwytne krąży ponad dyrektorem i profesorami: widmo tradycyi i rutyny, wobec którego władza nawet jest bezsilną.

— Zgoda, ale w jaki sposób pańska szkoła może wpłynąć na zmianę tego systemu nauczania“?

— Celem naszym jest osiągnąć harmonijny rozwój wszystkich ludzkich uzdolnień. Dziecko stać się musi człowiekiem wszechstronnie rozwiniętym, aby mógł on podolać różnorodnym zadaniom życia. Dlatego szkoła nie może być środowiskiem sztucznym, dającym zetknięcie z życiem tylko za pośrednictwem książek, ale stanowić powinna mały światek realny, praktyczny, któryby stawiał dziecko w możliwie najbliższem zetknięciu z naturą i życiem realnym. Nie należy uczyć jedynie teoryi zjawisk, ale ich praktyki także, a te dwa pierwiastki powinny być w szkole równie ściśle zjednoczone, jak jednoczą się one wokół nas; aby młody człowiek wchodząc w życie, nie wkraczał w świat obcy i nieznan, do którego warunków przygotowany nie był i nie mógł dać sobie w nim rady. Człowiek nie jest wyłącznie inteligencją tylko, ale inteligencją połączoną z ciałem, ztąd konieczność wyrabiania także energii, woli, siły fizycznej, zręczności ręki, zgrabności...

Opowiadanie dra Reddie rozjaśniło mi nieco główną myśl i kierunek jego dzieła, niemniej pozostawało jeszcze wiele niejasności, więc prosiłem go o wskazanie mi godzina po godzinie rozkładu dnia całego w szkole. Rozkład ten i udzielone szczegóły,

do których powrócę, rzuciły mi więcej światła na urządzenie szkoły i zacząłem zdawać sobie dość dokładnie sprawę z ustroju tej instytucji.

Wycieczkę, jaką czyniliśmy dnia tego, zakończyć miało zwiedzenie starego kościoła w Dumfermlinie, a potem herbata u majątnego obywatela z sąsiedztwa, p. Henryka Beveridge. Od trzech lat p. Beveridge był słuchaczem moich prelekcji w *Summer Meeting* i czytelnikiem „Nauki socyalnej“, zaprosił mnie więc uprzejmie do pozostania u niego aż do dnia rozpoczęcia wykładów, t. j. do poniedziałku rano. Korzystając z jego uprzejmości, zapytałem go, czy słyszał co o szkole dr. Reddie. Odpowiedział mi, że nietylko słyszał o niej, ale ją zwiedzał, a za miesiąc najstarszy syn jego, mający lat trzynaście, do zakładu tego ma wstąpić. P. Beveridge okazał się nawet tyle przezornym, iż przed powzięciem decyzji umieszczenia syna w tej szkole pisał do kilku ojców rodzin, zapytując ich, czy byli zadowoleni z wykształcenia udzielanego ich synom?

Otrzymane odpowiedzi, które mi p. Beveridge zakomunikował, uderzyły mnie jednomyślnością zdań i sądów o rezultatach otrzymanych, oraz skłoniły do odwiedzenia szkoły.

II.

Szkoła dr. Reddie założona została w październiku 1889 r. w Abbotsholme, w prowincyi Derbyshire, na gluchej wsi, w posiadłości wiejskiej, co stanowi ważny czynnik w tym systemie wychowania, nawet program starannie zaznacza, iż „niema większego miasta w pobliżu szkoły“.

Jakkolwiek zakład istnieje od tak niedawna, służył on już za wzór innej szkole, urządzonej według tego systemu, przez jednego z byłych profesorów w Abbotsholme p. Badley, więc ucznia dr. Reddie. Ta nowa szkoła otwartą została w południowej Anglii, w hrabstwie Sussex, w Bedales. Mam właśnie pod ręką artykuł *Review of Review*,

który pod tytułem „Dwie próby: Abbotsholme i Bedales“ podaje opis obu zakładów, zaopatrzone w liczne ilustracje, pozwalające powziąć dokładniejsze wyobrażenie o tych instytucjach. Sam zresztą zwiedzałem dwukrotnie Bedales, najszczegółowiej badając tamtejsze urządzenia.

Obie te szkoły nie są wcale podobne do naszych wielkich a zimnych budowli szkolnych, mieszczą się one w zwykłych domkach wiejskich angielskich, które chłopcom przypominają dom rodzicielski, a nie koszary. Życie w nich kształtuje się też nie sztucznie, lecz naturalnie. Zamiast ciasnych dziedzińców, murami otaczanych, widzimy tu wiele zieloności, światła i przestrzeni, co niezmiernie miłe czyni wrażenie na wstępie, a nie jest przecież dowiedzionem, aby kolegium musiało koniecznie mieć wygląd odstręczający.

Wrażenie naturalności zachowujemy ciągle. Jadalnia w Bedales jest salą rodzinną. Wesola, wygodnie urządzona, nakrycie eleganckie, obrus na stole, umeblowanie artystyczne i starannie utrzymane. Fortepian, obrazy, posągi, fotele świadczą, że tu troszczą się nie tylko o pożyteczne, ale i o przyjemne także. Proszę to zestawić z ohydnyimi refektarzami w naszych kolegiach, a już zachodząca różnica da pewne pojęcie o bardzo odmiennym systemie wychowawczym, jaki tutaj jest stosowany.

Dodać tu jeszcze należy, że nie tylko profesorem i dyrektorem szkoły, ale jego żona i córki zasiadają do wspólnego stołu z uczniami. Życie w Bedales prowadzone jest rodzinnie, a przez to dziecko nie zostaje gwałtownie oderwane od swoich i przeniesionem do odrębnego i sztucznego świata, lecz przechodzi tylko do innego „domu“, wzorowanego ściśle na jego rodzinnym, już z programu bowiem dowiadujemy się o tem. „Szkoła ta jest „domem“ (*home*); a nie jedynie miejscem udzielania nauki“.

Obejrzawszy ramy, przyjrzyjmy się samemu obrazowi. Wydaje mi się rzeczą potrzebną przy-

toczyć najpierw rozkład dnia, a następnie omówić jego podział.

Godz.	6 minut	15.	Wstawanie (zimą o godzinie 7), potem lekki posiłek.
"	6	"	30. Gimnastyka i obchodzenie się z bronią.
"	6	"	45. Pierwsza lekcya.
"	7	"	30. Modlitwa w kaplicy.
"	7	"	45. Śniadanie, złożone z jaj, szynki i t. p., potem sprzątanie pokojów. Wychowawcy sami ścielą łóżka.
"	8	"	30. Druga lekcya.
"	10	"	45. Lekki posiłek, podczas pogody ćwiczenia płuc na wolnem powietrzu, przy rozebraniu do pasa.
"	11	"	15. Trzecia lekcya.
"	12	"	45. Śpiew lub pływanie, stosownie do pory roku.
"	1	"	— Obiad.
"	1	"	30. Ćwiczenia w grze na organach lub fortepianie.
"	1	"	45. Gry i prace rolne lub ogrodnicze, wycieczki piesze albo na bicyklu.
"	4	"	— Praca w warsztatach.
"	6	"	— Herbata.
"	6	"	30. Śpiewy, muzyka, przedstawienia amatorskie, koncerty i t. p.
"	8	"	30. Kolacya i modlitwa w kaplicy.
"	9	"	— Pójdzie spać.

W rozkładzie tym uderza przede wszystkim różnaitość ćwiczeń, dzień wypełniających. Odczuwa się w tem unikanie przemęczenia, oraz dążność do równomiernego rozwinięcia wszystkich uzdolnień wrodzonych, przez kształcenie jednoczesne w kierunku klasycznym, technicznym i artystycznym.

Czas dzieli się między te różne kategorye prac i zajęć w sposób następujący:

Praca umysłowa zajmuje godzin	5
Cwiczenia fizyczne i prace ręczne godzin	4½
Zajęcia artystyczne i rozrywki towarzyskie godz.	2½
Posiłki i czas wolny godzin	3
Sen wreszcie godzin	9

Razem godzin 24

W niedzielę lekcyi niema i wychowañcy dowolnie czasem swoim rozporządzać mogą. W rozkładzie dni powszednich dostrzegamy wyraźnie trzy działy: ranek przeważnie poświęcony pracy umysłowej i szkolnej, poobiedzie przeznaczone na prace bądź na roli, bądź w warsztatach, i wieczór, oddany zajęciom artystycznym i towarzyskim rozrywkom.

Spróbujmyż teraz, śledząc ten potrójny podział, zdać sobie sprawę z funkcyonowania nowej szkoły i rezultatów, przez nią otrzymanych.

Metoda, stosowaną w naukach szkolnych, kieruje zasada: zapoznawania uczniów z treścią rzeczy i słowami ją wyrażającemi przez ustawiczne przechodzenie od konkretnego do absolutu, oraz rozwijania w uczniach ochoty do nauki dla siebie samych i pożytku, jaki z niej osiągnąć mogą, bez posługiwania się bodźcem: stopni, nagród i odznaczeń.

W Anglii bowiem i Ameryce rozpowszechnia się coraz więcej mniemanie, iż metoda, polegająca na podniecaniu emulacyi pomiędzy uczniami, jest wadliwą, bo opiera się na zazdrości, a nie na poczuciu obowiązku i przez to rozwija złą skłonność w naturze ludzkiej.

Aby z dzieci wykształcić ludzi, trzeba się do nich zwracać jak do ludzi, o ile można, odwołując się do ich sumienia. „Ta metoda—mówił mi dr Reddie—nie tylko nie zmniejsza zainteresowania dzieci pracą, ale przeciwnie, zwiększa je, gdyż przedmiotem tegoż staje się już nie nagroda, ale sama praca. Nie trzeba, aby dzieci uczyły się wierzyć, iż celem ostatecznym nauki jest stopień, nagroda lub odznaczenie honorowe; przeciwnie, uczniowie powinni dowiadywać się wcześniej, iż życie nie jest loteryą, ani zadowoleniem próżności.“

Obawiam się, że ten pogląd wyda się zadziwiający niejednemu czytelnikowi francuskiemu, gdyż cały system naszego nauczania oparty jest na metodzie wręcz przeciwnej; niemniej powyższa zasada uznawana jest przez wielu profesorów angielskich.

skich, którzy jednak pod względem wykształcania ludzi doszli do wyników niezmiernie dodatnich.

Z listu, otrzymanego od p. Pawła Bureau, wnosić mogę, że i w Ameryce zasada, wyłączająca emulację, ma licznych zwolenników. Na dowód przytaczam poniżej dosłownie objaśnienia, udzielone p. Bureau przez dyrektora High-School w St.-Paul, w stanie Minnesota.

— Nie udzielamy nigdy nagród—mówił ów dyrektor—i nie wywołujemy współzawodnictwa między wychowañcami. Czasem zdarza się, że uczniowie opracowują temat jednaki, lecz wówczas strzegę się, aby żaden z nich ze słów moich nie odgadł, czyje wypracowanie było najlepszem. Każdemu mówię, iż opracował zadanie lepiej, lub gorzej, niż poprzednio, ale nigdy nie porównywan z zadaniem kolegi. Uważam bowiem, że źle to wpływa na dziecko, gdy mówi sobie: „umiem więcej, niż tamten“, ale powinno móz sobie powiedzieć: „umiem dziś więcej, niż umiałem przed tygodniem.“

Nauka języków, zwłaszcza języków nowoczesnych, zajmuje poczesne miejsce w programie szkoły d-ra Reddie, ale sposób udzielania tej nauki różni się od ogólnie przyjętego. Nie zadziwię chyba nikogo twierdząc, iż my studujemy języki, ale ich się nie uczymy, widocznie posługujemy się złą metodą w wykładzie. Metoda d-ra Reddie wydaje mi się skuteczniejszą. Przez pierwsze dwa lata, t. j. dla dzieci dziesięcio i jedenastoletnich, wykłady odbywają się po angielsku, przez następne dwa lata uczniowie mówią jaknajwięcej po francusku, a potem znowu dwa lata po niemiecku. Łaciny uczą się dopiero później, również jak i greckiego i to tylko ci, którzy tego sobie życzą koniecznie. Niepotrzeba chyba wyjaśniać, że tak różnorodny wykład możliwym jest tylko pod warunkiem zastosowania metody praktycznej, przynajmniej dla języków nowożytnych, nauczania się naprzód mówić, z pozostawieniem na później gramatyki, której nauka nastę-

puje dopiero w miarę potrzeby i poznania języka praktycznie.

Taka metoda, aczkolwiek ogólnie nieznana profesorom języków, jest jednak metodą natury, ponieważ w ten sposób, bez wysiłku, nie zdając sobie z tego sprawy, uczymy się języka macierzystego. Mam czworo dzieci, a syn najstarszy ma lat dziewięć, uczą się oni tą metodą języka niemieckiego, t. j. przez rozmowę z boną, a postępy ich są zdumiewająco szybkie. Po czterech miesiącach bowiem nie tylko posługiwali się językiem niemieckim w zabawach, ale nawet w kłótniach, co już chyba stanowi szczyt sztuki.

Dziś gramatyki niemieckiej uczą się po niemiecku, jak francuskiej po francusku. Cytuję ten przykład, na który patrzę, aby usprawiedliwić uznanie moje dla metody, używanej w szkole d-ra Reddie, gdzie chłopcy w dalszych latach nie zapominają języków nauczonych poprzednio, gdyż mówią niemi codziennie w pewnych oznaczonych godzinach.

Naukę matematyki obmyślano równie praktycznie. Wychowawcy czynią ciągle zastosowania rachunkowości, jakiej się uczą. Wyrabiają oni roboty, których wymiary obrachowywać muszą, wykonują podziały miernicze. Rozdzielono między nich rachunki folwarku, ogrodu, warsztatów, gier, materiałów piśmiennych, laboratorium chemii, sali rysunkowej, żywności, opału i t. d. i muszą je akurannie prowadzić.

Przyznać trzeba, że takie urozmaicenie nadaje naukom abstrakcyjnym większy interes, gdyż dziecko rozumie praktyczną ich pożyteczność. Suche cyfry się ożywiają, zaczynają żyć, uczą prowadzenia domu, przedsiębiorstwa przemysłowego lub handlowego, przygotowują, jednym słowem, ludzi praktycznych i nabierają charakteru społecznego.

Wykład nauk przyrodniczych ma także za podstawę obserwację bezpośrednią, co jest tem łatwiejsze, iż szkoła znajduje się na wsi, więc dzieci zbie-

rać mogą rozmaite okazy z królestwa flory, fauny i mineralów. Życie, przyzwyczajenia i zewnętrzny wygląd zwierząt poznają też wychowawcy wcześniej, niż organa wewnętrzne i szkielety. Kształty i budowę roślin przed ich klasyfikacją, nazwy i wygląd gwiazd i planet przed prawami o ich ruchu.

Wycieczki, zaznaczone w rozkładzie dnia, dostarczają doskonalej sposobności do spostrzeżeń różnych, a nauka staje się naturalniejszą, zrozumialszą i bardziej zajmującą. Nie zostawia też po sobie zmęczenia i wstępu, jak się to dzieje często przy naszych metodach, ale przeciwnie, dzięki rozbudzonemu zainteresowaniu, wpaja chęć rozszerzania dalej swojej wiedzy, po opuszczeniu szkoły nawet.

Historia również jest wykładana metodą podobną, gdyż dąży ona do rozniecenia zainteresowania przez „obserwację przyczyn i następstw w charakterach i ruchu dramatu raczej, niż przez pamięciowy przegląd dat i faktów.“ Usiłują także wykazać stosunek cech fizycznych, moralnych i politycznych danych krajów, oraz ich rozwój handlowy. Naukę rozpoczyna historia Anglii, potem studyowane są charakterystyczne epoki historii wszechświatowej. Przy nauce historii greckiej wykazywane bywają początki niektórych dzisiejszych społeczeństw, przy rzymskiej omawiany szczegółowo ustrój społeczeństwa, o potężnej władzy państwowej, która przyczyniła się tak wielce do szerokiego rozprzestrzenienia rasy.

Do lat piętnastu wykład jest jeden dla wszystkich uczniów, następnie różniczkuje się on stosownie do przyszłego zawodu wychowanka. Każdy uczeń może dawać pierwszeństwo tym lub innym przedmiotom, odpowiednio do tego, czy zamierza wstąpić do uniwersytetu, czy pracować w zawodach: wyzwolonych, administracyjnych, na roli, lub w przemyśle, handlu, czy kolonizacji. Program ten nie zna więc zastygłego, nieustępnego szablonu, do

jakiegoby wszyscy uczniowie musieli się stosować, a czyż ta giętkość nie stanowi także znakomitego przymiotu tej szkoły? Wykłady istnieją tam bowiem dla uczniów, a nie, jak się to, niestety, zbyt często zdarza, uczniowie dla wykładów.

Zasadą przewodnią części szkolnej programu jest zatem nie rozdzielać teorii od praktyki i dostarczać przede wszystkim wiadomości pożytecznych w życiu codziennem.

III.

Nauki powyżej wyliczone są przedmiotem trzech lekcji porannych w szkole w Abbotsholme. Poobiedzie (od godz. 1 minut 45 do godz. 6) przeznaczony jest prawie wyłącznie na zajęcia ręczne i ćwiczenia fizyczne, jak prace w ogrodzie, na roli lub w warsztatach, oraz na wycieczki piesze i na bicyklu.

Wobec wspaniałej pogardy, z jaką nasz system wychowawczy traktuje hartowanie ciała, ta część programu zadziwi niejednego ojca francuskiego. Widywałem np. ostatnimi czasy dziewięcioletnie dziecko, uczęszczające do kolegium im. św. Stanisława; dzieciak ten po całodziennym nauce w szkole był jeszcze zmuszony pracować nad zadaniami do godziny 9 lub 10 wieczór. Podobne przemęczenie staje się szkodliwym nie tylko dla zdrowia, ale i dla samej nauki, gdyż mylnem jest przypuszczenie, iż uczyć się można przez cały czas spędzony nad książką.

Odnosnie do wychowania fizycznego, program tak określa cele zakładu d-ra Reddie: „Dążyć będziemy do rozwijania w wychowancach naszych sił fizycznych, umiejętności i zainteresowania do zajęć przemysłowych, wyrabiać w nich energię i rzutkość, oraz dokładną ocenę pracy spełnionej, zarówno na wypadek wykonywania jej osobiście, jako też i dla kierowania pracą cudzą. Zdarza się bowiem nader często w życiu, że chwiejność i brak moralnego har-

tu pochodzi ze słabości fizycznej. Codziennie więc dzieci wykonywać będą prace ręczne i ćwiczenia ciała. Należy bowiem wyrobić energię i odporność w organizmie, aby ukrócić przeczułenie, wynikające z przemęczenia umysłowego i zbyt mało ruchliwego trybu życia.

W takim pojmowaniu zadań szkoły przebija się także myśl o wypełnianiu przez uczniów prac pożytecznych, mających zastosowanie praktyczne dla zespolenia ich jaknajbliżej z życiem realnem. Twierdzić też można, że nieomal uczniowie sami zbudowali prawie i urządzili swoją szkołę, i jak Robinson na wyspie, w wiele przedmiotów własnego wyrobu ją zaopatrzyli, z których sami korzystają.

Przy założeniu szkoły ogród zarośnięty był chwastami, a folwark w gruzach, uczniowie uporządkowali wszystko. Potem porobili drogi i zaprowadzili drenaż, baryery napuścili smołą, sztachety i budowle pomalowali. Urządzili plac do gry w piłkę (*foot-ball*) z jego zastawami. Ponieważ w warsztatach uczą się początków ciesielstwa i stolarstwa, wyrobili więc już dużo sprzętów do użytku domowego. Gdy raz parobek zachorował, uczniowie dobrowolnie spełniali jego prace i pilnowali folwarcznego dobytku. Zapragnęli także mieć wierzcho-wca, udali się zatem na jarmark i kupili go, a starsi uczniowie uczą młodszych jeździć konno i powozić.

Latem roboty w ogrodzie i w polu zabierają więcej czasu, a krokiet i tenis zastępują *foot-ball*. Poobiedzia wolne od pracy wypełniają przejażdżki na bicyklach i wycieczki, podczas których dokonywane są zdjęcia fotograficzne widoków, okazów i t. p. Wśród sprzętów, wyrobionych przez uczniów, należy zaznaczyć: stół, szafę, przyrząd do zanurzania, domek dla kaczek, gołębnik, szopę z drzewa, dwie łodzie, trzecią widziałem w ciągu budowy i t. p.

W trakcie pisania niniejszego studium otrzymałem od p. Beveridge list, w którym już po od-

wiezieniu syna do Abbotsholme, dostarcza mi nowych o szkole tej szczegółów.

„Przyjechawszy, zastałem uczniów, malujących przybory do krokieta, które zrobili sami zeszłego roku—pisze p. Beveridge.—Projektowanem jest rzućenie nowego mostu przez rzekę szerokości trzydziestu do czterdziestu metrów, filary będą murywane dla większej trwałości. Cały most mają budować uczniowie.

„Zabudowania szkolne oddziela od pól uprawnych mała zadrzewiona dolina, którą przepływa strumyk. Na strumyku tym uczniowie urządzili szereg stawków-rezerwoarów, połączonych z sobą całym systematem dróg. Wszystkie roboty i przekopy wykonane zostały przez uczniów, z wyjątkiem robót mularskich.

„Istnieje również projekt rozszerzenia budynków szkolnych, aby pomieścić mogły stu uczniów; jest to najwyższa cyfra, jaką dr Reddie uważa za możliwą do dokładnego nadzoru. Z robót przygotowawczych ma być uczniom powierzony pomiar gruntów i opracowanie ścisłego planu całego zakładu.“

„Obok domu szkolnego znajduje się czasowe laboratorium chemiczne i warsztal ciesielski, gdzie pod kierunkiem pana Neumanna, którego widziałem pan w Edyburgu, uczniowie wyrabiają różne przedmioty na własny i szkoły użytek. Wkrótce też będą rozpoczęte roboty na drzewie, według stopniowanej metody „Lloyd“, zastosowywanej w *Summer Meeting*.

„Urządzenie wewnętrzne szkoły w Abbotsholme jest dalekie od wszelkiego zbytku, ale bardzo wygodne. Podczas „lunchu“ uważałem, że zachowanie dzieci było wesołe i swobodne. Zastawiono dookoła pól tuzina małych stolików, a przy każdym z nich siedział także i profesor. Pieśni nabożne przed posiłkiem śpiewano z zapalem i przejęciem.

„Otwartość i zaufanie chłopców do profesorów

są zdumiewające. Ci ostatni mają zwyczaj przechadzać się swobodnie między swoimi uczniami i zachowywać się względem nich, jak starsi bracia, a nie ludzie kasty odrębnej. W rozmowach posługują się oni wyrażeniami języka uczniowskiego, a niekiedy nawet ich żargonem. Jediną odznaką jest rodzaj akademickiego płaszcza, noszonego przez profesorów.

„Dr Reddie uważa za potrzebne wtajemniczać uczniów w rozmaitego rodzaju interesy. i powierza im też czasem odpowiedzialne zlecenia np. odbiór pieniędzy z banku i t. p.“

Te różnorodne zajęcia codzienne i prace ręczne nie tylko stanowią czynnik wychowawczy i dostarczają mnóstwa wiadomości praktycznych, jakich teoria dać nie może, ale jeszcze mają rozwijać ciało i hartować je, aby przysposobić ludzi zdolnych do stawienia czoła z powodzeniem rozmaitym trudnościom, jakie życie nastreża. Zrozumiałem jest więc, iż dr Reddie zapragnął zbadać dokładnie, prawie matematycznie, rezultaty osiągnięte pod tym względem.

„Chcieliśmy stwierdzić stopień wzrostu dzieci—pisze dr Reddie—aby przekonać się, czy dobrze są żywione i czy ten rodzaj życia im służy. Dlatego przeprowadziliśmy porównawcze badanie wzrostu każdego chłopca w ciągu pobytu w szkole i w czasie wakacji. Gdyby wzrost podczas przebywania w szkole okazał się mniejszym, niż w ciągu wakacji, należałoby niewątpliwie uważać nasz system wychowawczy za wadliwy. Wprawdzie wagi nasze nie pouczają o zręczności i giętkości nabytej, ale ważnem jest zaznaczyć, iż nabytek ten nie dokonywa się kosztem ciężaru ciała. Otrzymaliśmy też wyniki bardzo ciekawe.“

Istotnie, z dwóch tablic porównawczych, wykazujących, pierwsza: postęp wagi, druga: wzrostu, w okresach szkolnych i wakacyjnych, widzimy, iż podczas pobytu w szkole rozwój fizyczny uczniów

jest znaczniejszy. Co prawda, nie można się temu dziwić, gdyż tryb życia wyżej opisany sprzyja niezmiernie rozwojowi fizycznemu.

„Nie przeceniając znaczenia tych cyfr—dodaje dalej dr Reddie—wnosić z nich jednak można, że szkoła nasza swoim systemem przysporzy krajowi ludzi silnych i energicznych. Zasląbnąć zdarza się też u nas niewiele, nawet bóle głowy i katarę bywają rzadkie. Nasz tryb życia poucza młodych ludzi o potrzebie zdrowia, a także i o tem, że choroby są zwykle wynikiem nieostrożności, omyłek, nieświadomości, przemęczenia, niewłaściwego rozkładu pracy, albo występku. Wpajamy też uczniom silnie przyzwyczajenia czystości i higienę osobistą.

Uczniowie biorą codziennie kąpiele, a każdy ma przy łóżku wannę. Zaznaczam umyślnie ten szczegół dla porównania go z naszymi kolegami, gdzie woda używana jest tak oględnie, iż stanowi niemal przedmiot zbytku. Równie oszczędni jesteśmy i w stosunku do świeżego powietrza. W Abbotsholme i Bedales uczniowie śpią przy otwartych oknach nawet w zimie.

IV.

Po nauce szkolnej, zajmującej ranek, i poobiednich pracach ręcznych, oraz ćwiczeniach fizycznych, nadchodzi godzina 6, pora herbaty, po której pozostają trzy godziny jeszcze do udania się na spoczynek. Czemże one są wypełnione

Według określenia Bonalda, „człowiek jest inteligencją, obsługiwaną przez narządy organiczne.“ Widzieliśmy, że ranek poświęcony był kulturze pierwszej, a poobiedzie rozwojowi drugich. Ale człowiek jest jeszcze czem innem: istotą nie tylko społeczną, ale towarzyską. Rozwijając człowieka wszechstronnie, należy więc kształcić go i pod względem towarzyskim, trzeba uczynić z niego to, co w potocznej mowie nazywamy „człowiekiem dobrze wycho-

wanym“, aby sam znajdował przyjemność i był przyjemnym uczestnikiem w towarzystwie.

To też trzy godziny wieczorne są poświęcone właśnie takiemu urabianiu „ludzi światowych.“ Spóśób jest dość ciekawy:

„Chcemy odzwyczaić naszych wychowañców—mówi dr Reddie—od nieśmiałości i niezręcznego zachowania się ludzi, nie bywających w towarzystwie i wdroyć młodzieź do znajdywania przyjemności w obcowaniu ze starszymi.

„W tym celu co wieczór schodzą się uczniowie w salonie, gdzie spotykają damy z rodzin swoich profesorów, oraz obcych gości, szkołę zwiedzających. Usiłowaliśmy salę, na ten cel przeznaczoną, urządzić tak, aby czyniła wesole i harmonijne wrażenie; z tą myślą dobierane były meble, obrazy, posągi i t. p.“

Od godziny 6-ej zatem do 9-ej szkoła zamienia się w salon rodzinny, gdzie nie tylko bawią się rozmową, ale i muzyką, śpiewem, przedstawieniami amatorskimi, deklamacją i t. d.

Muzyka posiada ważne znaczenie w szkole. „Jest ona także przedmiotem bacznej uwagi naszej—pisze program—co tydzień urządzamy wieczór muzyczny, co wieczór muzyczne produkcye, a ma to wielki wpływ na dzieci. Uczniowie nasi mają tyleż skrzypiec, co i przyrządów do fotografii.“

Uczniowie dla swoich przedstawień wybudowali teatr, a przedstawienia te nie są uważane jedynie za rozrywkę, ale także za poważny czynnik wychowawczy. Co tydzień jeden wieczór przeznaczony bywa na czytanie utworów Shakespeara.

Dla uzupełnienia obrazu szkolnego życia w tym zakresie dodać muszę, iż uczniowie zorganizowali w szkole dwa stowarzyszenia, aby toczyć dyskusye w różnych przedmiotach, a oprócz tego wydają oni pismo (*School Magazine*), które jest rodzajem kroniki ważniejszych wydarzeń szkolnych, z ilustracjami i częścią literacką. „Wydawnictwo to wyra-

bia znowu zdolności literackie i daje wychowañcom wrazenie, iż szkoła ich jest małym, ale zupełnym światem!“

Czynnikiem, który współdziała w rozwijaniu u wychowañców poczucia artystycznego, jest jeszcze tworzenie muzeum sztuki przy szkole, w którym już nie jeden obraz cennego pędzla, posągi, stylowe meble i t. p. się znajdują.

Modlitwa, odmawiana w kaplicy, rozpoczyna i kończy dzień w szkole. Ponieważ jednak szkoła ta nie należy do żadnej sekty, więc też i praktyki religijne, w niej dokonywane, jak: modlitwy przed i po jedzeniu, śpiewanie hymnów i czytanie Pisma świętego, nie noszą cechy wyłączności żadnej, ani też charakteru dogmatycznego, lecz jedynie ogólnoreligijny i moralny. W niedziele uczniowie uczęszczają na nabożeństwa swojego wyznania w miejscowych parafiach, a kilku uczniów katolickich idzie na mszę do pobliskiego kościoła.

Program zaś tak doniosłość religii określa: „Religia ma wielkie znaczenie w życiu, które powinno być nią przejęte. Nie przedstawiamy też dzieciom religii, jako jednej z dźwigni życia, ale jako jego podstawę organiczną i harmonijną, która powinna przenikać każdego człowieka, bez względu na rozmaitość sekt religijnych. Przez kwadrans rano i wieczór zgromadzają się też wszyscy w kaplicy, aby dać wyraz oznakom zewnętrznym nadziei i wiary.“

Taką jest ta szkoła i jej program, a nadany jej kierunek praktyczny, oraz dążenie do kształcenia w dziecku przyszłego człowieka i to wszechstronnie, przez rozwinięcie wszystkich jego uzdolnień i całego zasobu rzutkości i energii, wyróżnia zakład ten bardzo wybitnie od innych systemów wychowawczych. Zajmująca ta próba zdaje mi się być wyraźnie zarysowującym się zwrotem do systemu wychowawczego, bardziej odpowiedniego nowym warunkom społecznego bytu i to zwrotem w kierunku indywi-

dualistycznym, który dąży obecnie do ovladnięcia światem.

Nowemu światu trzeba i wychowania nowego, aby przyuczało młode pokolenie do polegania nie na zbiorowości, lub jakiegokolwiek bądź grupie społecznej, ale na sobie samym, i kształciło ludzi, zapatrzonych nie w przeszłość, lecz w przyszłość!

V.

Opowiadałem kiedyś o tej nowoczesnej szkole jednemu z moich przyjaciół, a on mi zrobił następującą uwagę: „Doświadczenie to bardzo ciekawe ma dla mnie jednak tę poważną wadliwość, że jest internatem.“

Istotnie, internat taki, jaki istnieje we Francji, jest instytucją równie niezdrową dla umysłu, jak i dla ciała. Są to wielkie koszary, w których zamykają setki dzieci w ciasnym pomieszczeniu i poddają ciasniejszemu jeszcze regulaminowi, który przytłumia wszelką inicjatywę i jest odpowiedniejszym dla wykształcania wojskowych i urzędników, niż dla rozwijania męskiej energii, inicjatywy i poczucia osobistej swojej wartości!

Niepodobna wszakże bez popełnienia grubego błędu w klasyfikacji, zaliczać tego typu do jednej kategorii ze szkołą w Abbotsholme; łączy je zaledwie wspólna nazwa internatu, a nazwy trzeba przyjmować ostrożnie, gdyż często kryją one instytucje bardzo odmienne. W jednej liczba wychowawców jest ograniczoną obecnie do pięćdziesięciu, a nigdy nie przekroczy cyfry stu, według zapewnienia d-ra Reddie, który sobie zdaje sprawę, iż po za tą liczbą wychowywanie staje się niemożliwe. Obok tego dzieci opuszczają swoją rodzinę, aby wejść w rodzinę nową swego dyrektora, z którą spotykają się codziennie przy stole w jadalni, a wieczorami w salonie, a przeto znajdują się znowu w gronie rodzinnem i w dodatku liczniejszym. Zresztą i od-

suniecie od rodziny własnej nie jest tak zupełne, jak u nas, bo okresy wakacyjne są częstsze i dłuższe: siedem tygodni latem, cztery na Boże Narodzenie, trzy na wiosnę. Tym sposobem na dzieci, spędzające w rodzicielskim domu trzy i pół miesiąca w roku, w kilkakrotnych pobytach, rodzina wywierać może wpływ daleko silniejszy.

Każdy ustroj społeczny wpływa bezpośrednio na tryb wychowania i wytwarza odpowiedni dla siebie system szkolny.

Spółczeństwa o ustroju zbiorowo rodzinnym charakteryzuje zgrupowanie kilku małżeństw przy jednym ognisku domowym; jest to typ, który przechowują dotąd zapóźnione w cywilizacyjnym rozwoju ludy azyatyckie i wschodniej Europy. Tam dzieci nie dążą do wytworzenia sobie życia samodzielnego, ale oglądają się na rodzinę, która trzyma je przy sobie i zaspakaja ich potrzeby, albo przygarnia je za pierwszym niepowodzeniem, jakie ich spotka w samodzielnem życiu. W takich warunkach potrzebę wykształcenia osobistego odczuwa się bardzo słabo i ogranicza się też ono do minimum: *rodzina* wystarcza do udzielenia go, czasem przy współdziałaniu kapłana.

Wiemy, iż te narodowości nie odznaczają się też rozwojem szkolnictwa, przeciwnie, przedstawiają one nader rozwinięty system wychowania w rodzinie i przez rodzinę.

W ustrojach zbiorowo-państwowych wielka wspólnota państwa zastępuje miejsce rozprężonej zbiorowości rodzinnej, od państwa też, które rozporządza tak licznymi posadami w armii oraz administracyach, młodzież spodziewa się zapewnienia kariery. Większość państw zachodniej Europy, a szczególnie Niemcy i Francya, do tego również typu ustrojów należą. Aby otrzymywać posady państwowe, trzeba zdawać egzaminy, które są utrudniane w celu powstrzymania wzrastającego napływu kandydatów. Wówczas narzuca się z konieczności sy-

stem, który opanował całe wykształcenie. System ten, zw. podgrzewania (*chauffage*) i przemęczania w szkołach, przez nagromadzenie nieprzetrawionych wiadomości, wtłoczonych tylko w pamięć, często sposobami mnemotechnicznymi. Nie chodzi bowiem o wykształcenie ludzi zdolnych do podolania trudnościom życia, ale przygotowanie kandydatów, mogących narazić się na ryzyko egzaminów.

Pod wpływem tego systemu rozwija się typ szkoły wielkiego internatu. Tam wszystko skierowane jest i poświęcone dla jedyne go i ostatecznego celu: egzaminu. Zdawałoby się, że życie młodego człowieka na egzaminie się kończy, tak usiłują doprowadzić go do tego rezultatu przemęczaniem bez wytchnienia. Korzystnym staje się wówczas gromadzić w olbrzymich kolegiach po 500, 1,000 i więcej studentów, gdyż profesorowie nie potrzebują śledzić każdego dziecka, urabiać z niego człowieka, zastępować mu ojca; zbliżenie osobiste nie jest tu potrzebne. Wprawdzie przyznać trzeba, że w tych warunkach najlepszymi profesorami nie zawsze będą najbardziej wykształceni, najgodniejsi, lub najbystrzejsi, lecz ci, którzy potrafią najręczniejszymi wpakowywać w głowy uczniów swoich najwięcej wiadomości w czasie stosunkowo najkrótszym, a przytem posiadają dokładną znajomość sposobików, jakimi się przy egzaminach wygrywa, oraz poglądów i dziwactw egzaminatorów.

Trzeci wielki typ społeczeństw o ustroju indywidualistycznym, którego najbardziej charakterystycznymi przedstawicielkami są rasy: skandynawska i anglo-saksońska, wytwarza sobie zupełnie odmienny typ szkoły. Bo też wśród nich osobnik nie może rachować co do ustalenia swej kariery ani na rodzinę rozproszoną, ani na państwo: zredukowane do minimum i rozporządzające niewielką ilością posad, bo niescentralizowana władza zatrudnia nieznacznie tylko liczbę urzędników. Każda jednostka zmuszo-

na jest zatem wycęzać swą energię, by własną inicjatywą zdobyć w jakimś zawodzie niezależną pozycję.

Wykształcenie dążyć też musi do wyrabiania tych przymiotów, aby przygotowywać ludzi praktycznych, a na to trzeba, by szkoła możliwie najbardziej zbliżona została do warunków życia. Potrzebie tej odpowiada najlepiej „mała szkoła“ z ograniczoną liczbą uczniów: dla rodzin zamieszkałych w mieście—szkoła przychodnia miejska, dla rodzin zaś ze wsi—internat wiejski. Ten ostatni zaś usiłuje możliwie kształtować się na wzór życia rodzinnego, aby, o ile możliwości, najmniej odosabniać dzieci od warunków normalnego życia. Widzimy z tego, iż niepodobna dzielić zakładów wychowawczych na szkoły oraz internaty, gdyż jedno określenie oznaczać może instytucje wychowawcze zupełnie różne, zastosowane do odmiennych ustrojów społecznych i doprowadzające też do wręcz przeciwnych rezultatów.

U nas odrazu dostrzega się, że wielką przeszkodą, która utrudni zreformowanie szkół naszych według wyżej opisanego typu internatów wiejskich, stanie się właśnie nasz ustrój społeczny i nasze obyczaje, popychające młodzież do egzaminów i z góry zapewnionej kariery, jaką te egzamina otwierają. Można by zatem przypuszczać, że ten typ szkół nie będzie miał dla nas praktycznego znaczenia, lecz sąd to mylny. Zapewne było tak niegdyś, kiedy liczba kandydatów, zgłaszających się do różnych egzaminów, była jeszcze stosunkowo nieznaczna, a młodzi ludzie mogli mieć nadzieję, iż po ucziwem popracowaniu egzaminy te zdadzą. Dziś jednak dzieje się inaczej: cała nasza młodzież przypuszcza szturm zajadły do tych gotowych już stanowisk, bo lud naśladuje przykład burżuazji. W tych warunkach egzaminy przestały być bramą otwartą, a stały się murem wysokim i do przeskoczenia tru-

dnym. Nie jest więc zbyt rozsądnem zachęcać dzieci do rozbijania sobie głowy o ten mur. Ludzie przezorniejsi zaczynają więc odnosić się mniej pogardliwie do zawodów niezależnych. Aby wszakże osiągnąć w zawodach tych powodzenie, potrzeba właśnie przymiotów, których nasze obecne wychowanie nie urabia, a przeciwnie, typ opisanej szkoły w Abbotsholme rozwija do wysokiego stopnia.

ROZDZIAŁ IV.

Jak wychowywać nasze dzieci?

Utartym zwyczajem naszych ojców francuskich jest, w celu zapewnienia przyszłości dzieciom, uzbierać im oszczędnością posag, potem ożenić syna, lub wydać zamaż córkę, w warunkach odpowiedniej zamożności, aby, jeżeli to podobna, syn albo zięć weszli do administracyi państwowej.

Wobec ciąglej obniżki stopy procentowej, staje się to jednak coraz trudniejszym. Z pięciu procentów zeszlismy na cztery, a obecnie już na trzy. W tych warunkach nie łatwo dawać dzieciom posagi.

Dotąd trudność tę kryła w części obfitość pieniędzy we Francyi. Chętnie powtarzamy, że Francya jest krajem bogatym i rozporządza olbrzymią ilością monety. Istotnie, obecnie Francya posiada największy rynek pieniężny.

Niestety, obfitość rozporządzalnych pieniędzy nie pochodzi wyłącznie z pracy narodowej, ale częściowo także z przyczyn sztucznych, długo oddziaływać nie mogących, które, prawdę powiedziawszy, są raczej objawem upadku, niż pomyślnego rozwoju.

Obfitość pieniędzy wzrosła wskutek oszczędności na liczbie dzieci. Wiadomo aż nadto, że cyfra urodzeń zmniejsza się we Francyi niemal z każdym rokiem, a ostatni spis wykazał, iż cyfry śmiertel-

ności przewyższają liczbę urodzeń, zjawisko bardzo rzadkie w dziejach ludzkości, a obecnie właściwe tylko jednej Francji.

Mała liczba dzieci pozwala na wiele oszczędności. Jeżeli na koszt wychowania sześciorga dzieci wydaje się rocznie sześć tysięcy franków, to wychowanie jednego kosztować będzie tylko tysiąc, a więc odrazu oszczędza się pięć tysięcy franków rocznie.

Francuzi praktykują taką oszczędność na wielką skalę, a jej naturalnym wynikiem być musi, iż przy jednakich warunkach zamożności mają oni więcej rozporządzalnych pieniędzy, niż narody o licznych rodzinach. I oto jeden z powodów, dla których Francja stała się najbogatszym rynkiem pieniężnym. Obfitość monety zawdzięczamy po części małej liczbie dzieci.

Istnieje wszakże jeszcze inna przyczyna: jest nią niechęć Francuzów do zajęć rękodzielniczych, przemysłowych, handlowych i rolnych. Zawody te są mało poszukiwane, gdyż bardziej pożądanymi bywają stanowiska w administracjach państwowych. Ogół młodzieży garnie się do szkół rządowych, tłoczy się i gniecie u ich podwoi; gniecie, jest tu określeniem zupełnie trafnem.

Każdy Francuz, który zarobił trochę groszy na roli, w przemyśle lub handlu, marzy o porzuceniu swego zajęcia i o wykierowaniu synów na oficerów, urzędników, albo przynajmniej o wybraniu im zawodu liberalnego.

W tych wszystkich zajęciach nie ma możliwości obracania oszczędnościami swemi, więc trzeba umieszczać je w wartościach giełdowych i zanosić znowu na rynek. Tym sposobem unikanie przez Francuzów zajęć praktycznych zwiększa także ilość rozporządzalnych pieniędzy.

Te same jednak powody, które wywołują tak znaczną podaż na rynku pieniężnym, przyczyniają się także z każdym rokiem do jej zmniejszania

i w końcu powstrzymają ją zupełnie, w niezbyt dalekiej przyszłości.

Mnożąc nasze oszczędności, mała liczba dzieci zmniejsza także naszą siłę produkcyjną. Ojciec rodziny, który ma wychować sześcioro dzieci, pracuje o wiele więcej, a przez to współdziała znacznie więcej także w rozwoju bogactwa narodowego, niż ojciec, mający jedno tylko dziecko do wychowania. Oprócz tego, dzieci licznych rodzin, mogąc mniej rachować na majątek ojcowski, zmuszone są do większej zapobiegliwości i pilniejszej pracy, niż jedynacy, którzy polegać zwykli na pomocy rodzicielskiej.

Niechć nasza do zawodów produkcyjnych dozwala nam wprowadzić zanosić całość oszczędności naszych na rynek pieniężny, ale jednocześnie wysusza ich źródło, gdyż wistocie niema innego źródła bogactwa narodowego, jak rolnictwo, przemysł i handel. Za bardzo zapominamy o tem, że wszystkie inne zawody są to pasorzyty, wydobywające swoje środki z trzech wymienionych zawodów podstawowych.

Odpowiedzą nam zapewne niektórzy, iż „ten stan rzeczy przetrwa nas jeszcze.“ Nie jest to zupełnie pewnem, a w każdym razie nie będzie istniał tak długo, jak synowie nasi.

Już teraz wielu nieszczęśliwych młodych ludzi odsuwa od konkursów olbrzymia liczba kandydatów, i to, mimo nadmiernej ilości posad. Dążyli oni na oślep, jakby zaczarowani olśniewającą potęgą, a w końcu wielu z nich wywróciło koziółka. Cóż chcecie, aby teraz poczęli? Czemu potrafią się oni zająć? Do czego są uzdolnieni? Jakie przygotowanie dała im rodzina, kolegia i szkoły?

Dochodzimy zatem z konieczności do konkluzji, że trzeba nam inaczej kierować wychowaniem naszych dzieci, jeżeli chcemy, aby stały na wysokości wymagań nowych czasów, które się rozpoczynają

i mogły sprostać kryzysowi społecznemu, jaki nadchodzi.

Powszechność tego socjalnego kryzysu przedstawia istotnie kwestyę wychowania w całej swej doniosłości, a daje się ona tak określić: Sposoby przekazywania dzieciom swoich prac i swoich metod działania nie są już i nie mogą być tem, czem dotąd były, bo znane systemy wychowania nie dają obecnie pomyślnych wyników.

Czyni się dla swoich dzieci wszystko, co się uważa za dobre i korzystne i co nam samym niegdyś pożytek przyniosło, a jednak rezultaty bywają bardzo często różne i nawet wręcz przeciwne. To też ludzie, najbardziej seryo myślący, najlepiej wychowani i w doborowem otoczeniu przebywający, stawiają sobie z niepokojem pytanie, i to pytanie aż nadto licznymi przykładami usprawiedliwione: „Jak należy wychowywać i zabezpieczać przyszłość dzieci naszych?”

Jedynie może nauki społeczne nie oburzają się na ten zamęt, bo proszę zauważyć, że wywołuje on nie tylko oburzenie, ale i zawstyżenie i upatrywanie ponurych powodów. Jedni twierdzą, iż zły duch powiał po świecie, drudzy, że ogólne upodlenie stłumiło zacne zasady, a wszyscy irytują się, sypią zarzutami i w dalszym ciągu czynią wszystko to, co dawniej, z przekonaniem, że trzeba do tego powrócić... aby doznać zawodu na wielką skalę.

Nauki społeczne są sprawiedliwsze, gdyż pouczają nas na podstawie wszystkich faktów, jakie analizują, porównują i klasyfikują, że obecnie świat przechodzi z konieczności, i dla własnego dobra, do warunków nowych, nieprzejściowych, lecz trwałych, które jakby rozdzielają na dwoje czasy przeszłe — od czasów przyszłych.

Nauki te wykazują nam *przyczyny, kierunek i rezultaty* tego światowego kryzysu, tak wielkiego, jakiego dotąd jeszcze nie było pod pewnemi względami.

Więc naprzód jakież są jego przyczyny? Wypływają one z przemiany odtąd nieustającej, sposobów produkcji i transportu — wyrażając się inaczey, środków egzystencji. Dawniej produkowało się w małych warsztatach, lub nawet w domu, często z pomocą rodziny, dla klienteli nielicznej i miejscowej, przeważnie ręcznie, lub z pomocą małych motorów. Metody pracy były zawsze jednakie, często przekazywane tradycyjnie z ojca na syna, z poszanowaniem niemal religijnem, a wszelkie inowacje powstawały bardzo nieznacznie i nader powolnie.

Współzawodnictwo istniało tylko między rękodzielnikami sąsiadującymi z sobą, bo trudne komunikacje nie pozwalały na eksport odległy, ani też na sprowadzanie produktów zdaleka.

To współzawodnictwo, samą siłą położenia już ograniczone, zacieśniały jeszcze liczne przepisy, krępujące tak co do sposobu pracy, jak liczby uczniów, czeladników, majstrów i t. p.

Wszystko więc dążyło do utrwalenia stałych i tradycyjnych warunków bytu, a więc i wychowanie oparte na stałych tradycjach było doskonale zastosowane do potrzeb społecznych. W tym też kierunku rozwija się ono prawidłowo, dając przez czas dłuższy rezultaty zadowalające.

Dziś warunki społeczne zostały zupełnie zmienione. Wytwórczość skupiona jest w wielkich fabrykach, posiłkuje się motorami o sile niemal nieograniczonej i obsługuje klientelę rozrzuconą po całym świecie, która też powiększać się może nieskończenie. Metody pracy zmieniają się ustawicznie, stosownie do postępów nauki, a wszędzie ulepszenia zastępują rutyniczną tradycję. Trzeba być zawsze w pogotowiu do wytwarzania więcej, lepiej lub taniej, jeżeli nie chce się być zgniecionym przez współzawodników. Dawne, spokojne i ciche życie ustępuje życiu wyteżonemu i odradzającemu. A co ważniejsze, między niemi wybierać nie możemy, bo no-

wa sytuacja narzuca się z brutalnością faktu nieuniknionego.

Ze zmianą formy produkcji zmieniać się też muszą i ogólne warunki bytu, co powoduje kryzys społeczny i kwestię środków egzystencji.

Przemianę sprowadził rozwój, a możnaby powiedzieć, wybuch nauk przyrodniczych, które nigdy nie dopowiedzą swego ostatecznego słowa, a dziś są jeszcze w zaczątku rozwoju, jak to każdy widzi i przyznaje. Obecnie nadszedł dla świata okres nieodzownych przekształceń materialnych, których powstrzymać niepodobna, choć jest to zerwanie z przeszłością, w której wszystko dążyło do niezmienności trwałej. Należy więc starać się skorzystać odpowiednio z nowej ewolucji, uczyć się, jak osiągnąć z niej pożytek, a niedostatków uniknąć. Między człowiekiem przeszłości a teraźniejszym zachodzi podobna różnica, jak między żołnierzem, który ma bronić twierdzy, a żołnierzem, powołanym do walczenia w polu. Różnica wielka, zasadnicza. Niema w tem ani geniusza złego, ani ludzkiej nikczemności, jak to utrzymują mało roztropne umysły, lecz jest nowa forma bytu, zesłana przez Opatrzność, której podobno się wtajemniczyć człowieka w prawa postępu natury. Człowiek powinien się dostosować do tego postępu, leży to bowiem nietylko w jego interesie, lecz stanowi jego obowiązek.

Zaznaczyłem, że nauki społeczne wykazują, oprócz powodów i kierunek kryzysu. Jakimże on będzie? Występuje on jasno. Kryzys skierowuje człowieka na inne tory. Nadal nie będzie on mógł być zszeregowanym jak dawniej, nie może liczyć na podtrzymywanie przez otoczenie stale i zwyczajnie wyłącznie przystosowane do danego środowiska. Otoczenie to bowiem i środowisko kruszy się ustawicznie koło niego, rozprzęga i niknie pod parciem konieczności zmiennych a nieuniknionych. Wobec tego człowiek urobiony do sztucznych podpór paść musi z chwilą, gdy się te podpory usuną. Zamiast

więc przyuczać do opierania się na rodzinie i przystosowywać młodzież do ram istniejących jeszcze warunków i otoczenia, oraz instytucji przemijających, jak sztuczne kariery w administracji państwowej i dogodne posadki, nie wymagające ani wysiłku, ani rzutkości, a których może zabraknąć nagle, trzeba, aby wychowanie uczyło młodzież polegać na sobie, dawać sobie radę samodzielnie i nie poddawać się biernie niepowodzeniom.

Wychowanie zapewnić nie zdoła dobrych wyników, jeśli starać się tylko będzie o dostosowanie wychowawców do instytucji rodzinnych, lub danego otoczenia, czy polityki; może jednak wyniki te osiągnąć, gdy dostrajać będzie wychowawców do nich samych, zaprawiając ich do spożytkowania posiadanych zdolności w różny sposób i w rozmaitych okolicznościach.

W bieżącym stuleciu we Francji postępuje się wręcz przeciwnie. Mówiąc o swoich dzieciach, rodzice tak się wyrażają: „Niech tylko postępują tak, jak my. Rodzina i przyjaciele wystarczą, aby poprzeć i podtrzymać w życiu. Naszym dzieciom potrzeba dobrej kariery w urzędzie państwowym, w armii, administracji, są to zawody znane, pewne i bez troski. Mamy dosyć majątku, dzieci nasze nie potrzebują się troszczyć o przyszłość, będą miały z czego żyć, przy pensji zapewnionej, posagu żony i t. d.“ Zdania podobne słyszeliśmy zapewne nieraz, a może... i wypowiedaliśmy sami. Zaczynają one jednak okazywać się dziwnie fałszywymi. Ani rodzina, ani przyjaciele, ani karyera państwowa, ani posag, nie zabezpieczają już obecnie bytu ogromnej większości ludzi, oraz ich dzieci. Muszą więc oni stać się zdolnymi i dość silnymi (o boleści!), aby wartością osobistą i uzdolnieniem w walce o byt sprostać nieustannym a zmiennym trudnościom, jakie życie nasuwa.

Do tego właśnie, niestety, czujemy się nieudol

nymi, gdyż nie przysposabiano nas odpowiednio i nie wiemy nawet, jak się wziąć do rzeczy.

A jednak rezultat wart wysiłku. Ten bowiem system wychowania, na który nam się tak trudno zdecydować, wykształca nie istoty, poddające się biernie prądom obecnych ruchów, ale ludzi silnych, chrześcijan rozumnych, o woli wytrwałej. Ta sama różnica, jaka pod względem zdolności i cnoty odpornej zachodzi między nami a plemionami dzikimi, nawróconymi jedynie przez nawrócenie swoich kacyków, istnieje także między ludźmi przyuczonymi tylko na sobie polegać, i nami, którzy podtrzymywani jesteśmy przez nasze otoczenie i środowisko, t. j. „nasz świat własny“, jak to często przyznajemy!

Takie są przyczyny, kierunek i rezultaty kryzysu, który oddziaływa na wychowanie, jak zresztą i na wszystko wogóle. I czy się chce, czy nie, trzeba się zdecydować na postępowanie nadal niemal wręcz przeciwne, niż dotąd.

Zgoda — odpowiedzą czytelnicy — ale jak się do tego zabrać?

Unikając pobłądzeń i omyłek, należy kierować się nabytem już doświadczeniem, a gdy tego doświadczenia nie znajdujemy u nas, gdzie wychowanie skierowane jest naodwrot, musimy szukać go u obcych, wzorując się na społeczeństwach, które trudności pokonały i wychowują młodzież zdolną do samodzielnego działania po za obrębem wszelkich podpór: rodziny, przyjaciół, stosunków, administracji państwowych i t. d.

Narody takie istnieją i trzeba być chyba ślepym, żeby ich nie dojrzeć. One to obecnie opanowują świat cały, karczują go, kolonizują, usuwając zewsząd przedstawicieli starego porządku, a spełniają te wszystkie dziwy jedynie siłą inicjatywy prywatnej i tryumfującą potęgą człowieka, pozostawionego samemu sobie. Istnieje przykład, wykazujący bezpośrednio różnicę między ludźmi wykształconymi metodą nową a dawną, która, niestety, jest

jeszcze naszą. Proszę tylko porównać, co uczynili pierwsi w Ameryce północnej, a drudzy w południowej. Przypomina to dzień i noc, białe i czarne. Z jednej strony społeczeństwo, posunięte naprzód do najwyższego stopnia znanego rozwoju, w rolnictwie, przemyśle i handlu, a z drugiej, społeczeństwo w zastoju, zaryte w szrankach próżniaczego miejskiego życia, zastygłe w biurokratyzmie, a wstrząsane od czasu do czasu politycznymi rewolucjami. Na północy świta przyszłość — na południu przeszłość dogorywa, a silne odrośle północy zaczynają opanowywać nieszczęsną Amerykę południową. Obejmują najlepsze jej plantacje, zapuszczone niedbalstwem hiszpańskim lub portugalskim, zagarniają koleje, banki, wielki przemysł, handel i t. d. Podczas naszej wystawy powszechnej mówiłem o tym przedmiocie z prezesem sekcji Republiki Argentynskiej. Opowiadał mi on obszernie o tem wtargnięciu Anglików, oraz ich braci Yankesów, ubolewając, skarżąc się i narzekając, jak to zwykle czynią słabsi, gdyż łatwiej lamentować, niż dostosowywać się do systemu silnych. A tego to systemu trzymają się ci niebezpieczni współzawodnicy.

W tych też narodach młodzież nie obawia się walki o byt, bo przez swoją indywidualność narody te zachowały energię moralną i wiarę. Nie wyznając wiary tak stałej, jak Kościół katolicki, są oni jednak daleko rzadziej bezreligijnymi, niż zdarza się to u nas. Dlaczego? Przez posiadanie lepszych warunków odpowiedzialności ludzkiej.

Tłómaczy się to tem, iż w dawnym systemie społecznym, człowiek utrzymuje się nietyle sam przez się, przez swoją inicjatywę i wolę, ile dzięki podtrzymującym go karbon, mniej więcej nieustępnym, ciasnym i stałym: rodziny, internatu, pułku, biura, państwa i t. d. czynniki więc, urabiające poglądy, przekonania i wiarę, zaszczepiające tradycje polityczne, społeczne i religijne, są natury zewnętrznej, a nie *φαινητέων*. Myśli się i działa

tak lub inaczej dlatego tylko, że nasze środowisko i świat nas otaczający myśli i działa podobnie. Gdy jednak karby te się rozluźnią, upada się natychmiast, bo one tylko podtrzymywały. W społeczeństwie dawnem karby rodzinne, polityczne, religijne i społeczne były dostatecznie silne i nieugięte, aby utrzymać nawet słabnącą wolę, jedne wspierały drugie, i cały gmach stał mocno. Jak owe stare domy, których mury nie rozsypują się, gdyż podpierane są przez przyległe budowle. Biała wszakże, gdy te zwalone zostaną!

Stało się to właśnie z karbami naszego dawnego ustroju społecznego, którego gruzy zaścielają dziś ziemię. A ponieważ nie byliśmy przygotowani do obchodzenia się bez nich, czujemy się wykolejeni i przywołujemy na ratunek wszystkie instytucje, na których przywykliśmy się opierać: rodzinę, korporacje, państwo (dla jednych monarchię, dla drugich republikę), kościół, jednym słowem wszystko!.. tylko nie siebie samych. Skarżymy się rozgłośnie, zamiast przypatrywać się, jak postępują narody, polegające na inicjatywie indywidualnej i naśladować je skwapliwie.

III.

Cóż jednak czynią te narody dla swoich dzieci?

Czynią — co następuje:

1. W narodach tych rodzice nie uważają dzieci za swoją własność, rzecz im przynależną, przedłużenie ich własnej indywidualności, za rodzaj powtórnego życia ich samych. Przeciwnie, uważają je za istoty, które wkrótce muszą być od nich niezależne. O nic też się więcej nie troszczą, jak o najszybsze przyspieszenie tej niezależności i to w jak najlepszych warunkach. Dążą tylko do tego i to właśnie stanowi szczególny rodzaj ich poświęcenia rodzicielskiego. To bowiem poświęcenie nie polega na całkowitem zajmowaniu dzieci, trzymaniu ich

przyklejonymi do siebie, naginaniu do swego usposobienia, by z nich uczynić otoczenie miłe, słodkie i wygodne dla siebie. Przyznać trzeba, że w naszym sposobie poświęcania się dla dzieci przebija wiele egoizmu, choć przysłoniętego przyzwoiciele. Widziałem i widzieliśmy wszyscy wiele małżeństw nieudanych dla tego tylko, iż młodożeńcy musieliby wyjechać, nie mówię zagranicę, ale na prowincyę, lub do innego miasta. Nadto się kocha dzieci! Ale czy w ten sposób kocha się je dla nich, czy dla siebie samych?

2. Dzieci tych narodów traktowane są przez swoich rodziców od lat wczesnych jako dorosłe osoby, oraz indywidualności odrębne. I to czyni je dojrzałymi i samoistnymi. Jak się ludzi traktuje, takimi się oni stają. My zaś, wbrew tej zasadzie, skłonni jesteśmy do traktowania dzieci naszych jako dzieci, nie tylko podczas pierwszego dzieciństwa, ale i pełnoletności, a nawet gdy są już ludźmi dojrzałymi. Nie możemy nawyknąć do myśli, że już są dorośli dlatego, bo to nasze dzieci.

3 W wychowaniu tych narodów rodzice zawsze mają na względzie konieczności przyszłe i nowe, jakie ewolucya nieustannie wywołuje, a nie warunki przeszłości, wśród jakich żyły pokolenia poprzednie.

Nie stawiają też dzieciom swoim za wzór tego, co kiedyś czynili sami, ani środowiska, w jakim żyli. My — postępujemy, jak owa szlachta z końca zeszłego wieku, która wychowywała jeszcze swoje dzieci w zbytku starych czasów, przyzwyczajając je do wyjątkowego dawniej stanowiska, zbytku, dworu i wspomnień, zacierających się w cieniach przeszłości.

4. Narody te nie tylko starannie pielęgnują, jak i my, zdrowie dzieci (choć poświęcamy je często naukom, egzaminom, pobytowi w mieście i t. p.), ale jeszcze usiłują rozwinać w całej pełni siłę i energię fizyczną młodych organizmów. Wyrabiają siłę nie przez mordowanie ćwiczeniami fizy-

cznemi, bo zmęczenie odniosłoby wprost przeciwny skutek — osłabienie ciała, ani wreszcie sztukami gimnastycznymi, gdyż posiadają znakomite zrozumienie zwykłych warunków życia fizycznego.

Wszakże i u nas próbuje się obecnie zaszcześcić ćwiczenia fizyczne na sposób angielski i zastąpić niemi naszą ohydłą gimnastykę regulaminową, która jest tylko jednym więcej środkiem pedagogicznym, dodanym do tylu innych, środkiem, pozbawionym interesu i samorzutności. Wiem dobrze, iż naśladownictwo ćwiczeń angielskich nie zawsze wypada szczęśliwie. Wkładamy zresztą w to, jak i w wiele innych rzeczy, zbyt dużo przejęcia. Nadto ćwiczenia te odbywają się zwykle w sposób administracyjny, a wielu z wychowanków naszych bierze w nich udział, pragnąc raczej wymknąć się od nauki, niż czując potrzebę ćwiczenia i wzmocnienia ciała. W każdym razie z tej nieudolnej kopii można już sądzić o oryginale. Niezaprzeczalnem jest, iż tego rodzaju ćwiczenia są niezmiernie korzystne dla rozwoju fizycznego i przyczyniają się także do wyrobienia spokoju i panowania nad sobą, a zatem warunków niezbędnych do zwycięstwa.

5. To jeszcze nie wszystko! Rodzice u tych narodów bardzo wcześnie przyuczają dzieci do praktycznego życia. Nie wahają się pozwalać im wychodzić samym, wcześnie powierzają im rozmaite zlecenia i poselstwa, możliwe dla nich do spełnienia, a nawet nieco możność tę przechodzące. Francuzi dziwią się temu, zwiedzając Anglię i Amerykę; Anglicy zaś przeciwnie, dziwią się ich zdziwieniu, gdyż takie postępowanie wydaje im się naturalne i stanowi zasadniczą sprężynę tego wychowania, mającego na celu kształcić nie uczonych i urzędników, ale przedewszystkiem dzielnych ludzi.

Gdybym się nie obawiał, iż czytelnicy znajdą to niewłaściwem, dodałbym, że Anglicy postępują mniej więcej tak samo względem dziewcząt, jak i względem chłopców, a to z tych samych powodów.

6. Dalej, w narodach tych panuje zwyczaj, iż rodzice każą uczyć swe dzieci jakiegoś rzemiosła. Nie istnieje bowiem w tych społeczeństwach wspólna pogarda, jaką my żywimy dla pracy ręcznej. Wyzwolili się już oddawna z tego starego błędu, który jest dla nas szkodliwszy, niż sto przegranych bitew. Anglicy nie sądzą, aby były zajęcia szlachetne i nieszlachetne, uważają tylko, co jest wielce słuszne, że są ludzie pracowici i leniwi. Syn lorda może być dzierżawcą, fabrykantem lub kupcem, nie ubliżając sobie wcale, gdyż dzieje się to ustawicznie. Mylę się jednak: jest zawód, który Anglicy uważają za gorszy od innych, a mianowicie: urzędnika i polityka. Stawiają mu dwa ważne zarzuty: najprzód „nie popłaca“ i jest korzystny tylko na wysokich stanowiskach, i przytem ogranicza niezależność człowieka, a chyba czytelnicy zdali już sobie sprawę, iż podobne wychowanie rozwija w wysokim stopniu zamilowanie i potrzebę niezależności. To też urzędy nie są liczne w Anglii i pozostawione wogóle ludności pochodzenia celtyckiego: Irlandczykom, Szkotom, Galijczykom, a w Stanach Zjednoczonych: Irlandczykom i Niemcom.

Dażenie do wyuczania dzieci zajęć ręcznych jest tembardziej zastanawiające, iż uczą tam drogą praktyki wielu zawodów, do których nas dopiero kształci szkoła. Nie przez szkołę np., ale przez praktykę w warsztacie zostaje się inżynierem; teoria jest tylko uzupełnieniem praktycznego wyterminowania we wszystkich zawodach.

U nas dzieje się przeciwnie, praktyka jest zaniedbywaną dla teorii; założyliśmy też w Paryżu nasz instytut agronomiczny, który zresztą dostarcza głównie urzędników dla ministerjum rolnictwa... i marzymy o przeniesieniu do Paryża... naszej szkoły marynarki!

7. Należy zanotować jeszcze rys jeden. W Anglii rodzice wyprzedzają dzieci w poznawaniu wszystkich nowości pożytecznych. I jakże mogłoby być

inaczej w społeczeństwie, w którym umysły zwrócone są więcej do przyszłości, niż przeszłości, ku zawodom codziennego pożytku ciągle udoskonalanym, niż ku niezmiennym stanowiskom administracyjnym, w społeczeństwie, gdzie powodzenie zapewnia tylko inicjatywa i wartość osobista, a nie poleganie na jakiejś podporze zewnętrznej?

Ztąd nieustanne staranie u Anglo-Saksona o zgromadzenie, najczęściej bez ścisłego ładu i metody, wielkiej ilości faktów pozytywnych i sprawdzonych, jak u człowieka, który chce mieć na wszelki wypadek znaczny zapas wiadomości. Tego też żąda od dzienników swoich, które tak są do naszych podobne; jak dzień do nocy. Celem naszych jest zabawić — a wiele z tych, które nazywamy poważnemi — podniecić namiętności polityczne; jest to także sposób zabawy, chciałem powiedzieć, straty czasu. Dzienniki angielskie przeciwnie, zdają się służyć wyłącznie do informowania szybko i dokładnie. Mało teoryi, nie wiele uwag ogólnych, fakta, fakta i fakta. Te dwie, tak odmienne formy dziennikarstwa, wystarczyłyby w potrzebie do wykazania, jak bardzo różnią się z sobą oba społeczeństwa.

To też nie może nikogo dziwić, że rozmowy ojca z dziećmi są ogólnie poważne, realne i przedmiotowe. Nie wychwalają oni modnego świata (podług mody angielskiej) nowinek paryzkich, dawnych czasów, kiedy życie było tak łatwe, spokojne i przyjemne, ale chwala walkę o byt: *Struggle for life*; zdolności do radzenia sobie o własnych siłach: *Self help*.

8. Co czynią jeszcze? Oto bardzo mało używają powagi swojej wobec dzieci. Zachowują ją na wyjątkowe i nadzwyczajne zdarzenia. Wszakże powiedzieliśmy już, iż uważają dzieci swoje za niezależne od siebie i jako osoby dorosłe, a tych nie wychowuje się, przytlaczając je ciąglem jarzmem, chociażby to jarzmo było ojcowskie. Sądzą więc, iż wychowanie prawdziwie rozwijające nie jest mo-

żebne drogą przymusu, lecz przez to, co nazywają „poddawaniem”. Posługują się więcej dawaniami do zrozumienia i radami, niż rozkazem, a w tych wskazówkach i radach starają się okazać obiektywnymi, aby ich nie sankcjonować swoją powagą. Dozwalają przeto dziecku zastanawiać się, przekonywać i działać samodzielnie.

9. Dochodzimy nareszcie do zasady najbardziej podstawowej i decydującej, którą zachowałem na koniec. Dzieci wiedzą, iż rodzice nie będą im wyrabiać pozycji i stanowisk w świecie. We Francji stawiamy często ojcu rodziny pytanie: „Co pan uczynisz ze swego syna?” a ten odpowiada seryo: „urzędnika“, albo też innego zawodowca. Istotnie, miałby się za złego ojca, gdyby nie zapewnił przyszłości synowi, gdyby nie wynalazł mu stanowiska, jakie uważa za najlepsze. Ojciec ten posuwa poświęcenie swoje aż do wyrzeczenia się części majątku, aby dzieci wyposażyć. Ojciec Anglik lub Amerykanin nie wyposaża ich wcale, każde pokolenie musi samo sobie radzić.

U nas przeciwnie, pokolenie poprzednie ustalałoby następniemu i cóż z tego wynika? Mając, przypuszczam, troje, czworo, pięcioro dzieci, by nie zdyskretować siebie i nie dopuścić, aby dzieci wyszły ze swojej sfery, ojciec uzbierać musi oprócz własnego, jeszcze trzy, cztery, pięć majątków, nim dzieci dojdą do pełnoletności, to jest w ciągu jakich lat dwudziestu. Bez tego bowiem jakże ich pożenić, lub powydawać zamąż, kiedy żenią się przedewszystkiem dla pieniędzy? Nie zadziwię chyba nikogo twierdząc, iż jest to istny zawód galerownika, a w takich warunkach wyrzec się można wszystkiego. Wiemy też, jak chętnie ojcowie rodzin francuskich praktykują takie wyrzeczenie się, porzestając na jednym, lub dwojgu dzieciach.

Czytałem niedawno korespondencyę Franklina; w liście do matki swojej wspomina o jednym z synów, który nie spieszył się z wyrobieniem sobie po-

zycyi, rachując jedynie na majątek ojcowski. „Rozwięję jego złudzenie — pisze Franklin — gdyż przy obecnym trybie moich wydatków zobaczy rychło, iż mu nic nie zostawię“.

Ojciec francuski wzdryga się na myśl pozostawienia dzieci bez majątku dziedzicznego. Miłość ojcowska temu się sprzeciwia. Pamiętać jednak należy, iż ojciec rodziny anglo-saksońskiej, nie pozostawiając dzieciom grosza, daje im w rzeczywistości daleko więcej, niż ojciec rodziny francuskiej. Bo to, o co się tak troszczymy, a czego mimo chęci dać im nie umiemy, to jest: niezłomnej inicjatywy i umiejętności dawania sobie rady samodzielnie — zdolności, którebyśmy chętnie opłacili na wagę złota, choć właśnie zadławia je to złoto z takim trudem, a tak nieumiejętnie przez nas oszczędzane. Wistocie, oszczędzamy, żyjąc jak nędzarze i praktykując systematyczną bezpłodność dlatego, aby pozwolić dzieciom naszym nie pracować wcale lub jak najmniej. Zdaje się nam, że przez to zapewniamy im przyszłość. Tymczasem przyjrzyjmy się naokoło wśród ludzi, którzy się wybijają; osiągając powodzenie w jakiejś karjerze, zabierają miejsca lepsze: dziewięć razy na dziesięć bywają to parweniuse; którzy zaczęli od tego, że przymierali z głodu zanim zdobyli się na energiczne postanowienie. Tymczasem „synowie rodzin“, słusznie tak nazywani, gdyż polegają więcej na rodzinach, niż na sobie, na pieniądzach rodziców i posagach żon swoich, niż na zarobku własnym, spadali i spadają ciągle w kursie, ponieważ okazują się niższymi we wszystkim i od wszystkich, pomimo, że otrzymali „bardzo staranne“ wychowanie. Stracili też w kraju wszelki wpływ i powagę, uczynili monarchię nieprawdopodobną, a niezdolni do podniesienia się przez pracę, istnieją tylko pod warunkiem jedynactwa i bogatego ożenku.

Tymczasem młodzi ludzie, wychowani według zasad wyżej opisanych, silni ciałem, trzeźwi umysłem, nawykli do życia praktycznego i polegania na

sobie i traktowani zawsze jako dorośli, pojmują życie jako walkę (co jest pojęciem bardzo chrześcijańskim), i tę walkę podejmują z odwagą i tryskającą siłą młodości; potrzebują jej nawet, z zadowoleniem pokonywają trudności i w końcu zwyciężają, dzięki odpowiedniemu przygotowaniu, co czyni ich swobodnymi i coraz bardziej ich hartuje.

Niebezpieczeństwo, groźne niebezpieczeństwo! wielki nasz przeciwnik nie znajduje się, jak sądzimy, z tamtej strony Renu: militaryzm i socjalizmu uwolnią nas od tego nieprzyjaciela i to nawet rychło.

Niebezpieczeństwo i wielki przeciwnik grozi nam właściwie z za cieśniny Kaletańskiej, z Atlantyku i zewsząd, gdzie się znajduje jeden pionier, jeden kolonista, jeden fermer anglo-saksoński. Lekceważymy tego człowieka, bo on nie przybywa, jak Niemiec, z licznem wojskiem i udoskonalonem uzbrojeniem, ale sam z pługiem, a nie wiemy jaka jest wartość tego pługa i tego człowieka. Gdy ją poznamy, poznamy zarazem nietylko to, co stanowi niebezpieczeństwo, ale i jakimi środkami zwalczyć je należy.

KSIĘGA II.

Francuz i Anglo-Sas w życiu prywatnem.

Różnice wychowania, które stwierdziliśmy, dają się przedewszystkiem odczuwać w życiu prywatnem. Spróbuję w tej księdze podać kilka przykładów, zaczerpniętych z Francyi i z Anglii.

ROZDZIAŁ I.

Nasz system wychowawczy zmniejsza liczbę urodzeń we Francyi.

Zbytecznem jest wykazywać zmniejszenie się liczby urodzeń we Francyi. Wszystkie statystyki podały w tej mierze aż nadto wystarczające dowody. Moralisci, ekonomiści i politycy wyprzedzali się w opracowywaniu tej żywotnej kwestyi.

Jeżeli wszyscy zgadzają się co do stwierdzenia samego faktu, to pod względem ścisłego sformułowania jego przyczyn zachodzi rozdzwiek. Postępowano dotąd poomacku i bez metody żadnej, dlatego też właśnie tę stronę kwestyi chcemy obecnie zbadać w świetle nauk społecznych.

I.

Twierdzimy, że zmniejszenie liczby urodzeń we Francyi nie ulega wątpliwości. Kilka cyfr przekona o tem dowodnie.

Wykazy urodzeń w okresie, obejmującym przeszło wiek cały, dają nam następujące cyfry na 10,000 mieszkańców:

Lata	Urodzeń	Lata	Urodzeń
1770—1780 . .	380	1841—1850 . .	274
1801—1810 . .	325	1851—1860 . .	267
1811—1820 . .	316	1861—1868 . .	264
1821—1830 . .	309	1869—1880 . .	245
1831—1840 . .	289	1881—1896 . .	220

Widzimy, że od 1770 do 1896 r. liczba urodzeń na 10,000 mieszkańców spadła z 380 na 220, t. j. zmniejszyła się przeszło o jedną trzecią część.

W 1881 r. cyfra urodzeń we Francji wyniosła 937,057, w r. 1890 już tylko 838,057, więc o 100,000 mniej. Należy pamiętać, iż w tym czasie liczba urodzeń jest niższą od cyfry śmiertelności. A to zwycięstwo śmierci nad życiem, dokonywa się w okresie pokoju; jestto naturalny objaw żywotności francuskiej, objaw z roku na rok silniej się zaznaczający

Było urodzeń w 1890 roku:

42,520	mniej niż w roku	1889
44,580	" "	1888
61,275	" "	1887
74,779	" "	1886
86,499	" "	1885
99,699	" "	1884
99,885	" "	1883

Liczba małżeństw zmniejsza się także, lecz nie w tak rażącym stosunku.

W r. 1884 zawarto 289,555 małżeństw

1885	"	283,170	"
1886	"	283,108	"
1887	"	277,060	"
1888	"	276,848	"
1889	"	282,934	"
1890	"	269 332	"

W tym więc ostatnim roku o 20,233 małżeństwa mniej, niż sześć lat przedtem w r. 1884. Ubytek

zaś zwiększał się stale, choćby o drobną różnicę, jak w r. 1886.

Przeciwnie cyfry śmiertelności wzrastają.

W r. 1881	wynoszą one	828,828
1882	" "	833,539
1883	" "	841,141
1884	" "	858,784
1886	" "	860,222
1890	" "	876,505

W roku 1890 było zatem o 47,677 zejść więcej, niż w r. 1881, a o 35,364 niż w 1883 r., wówczas kiedy ubytek w liczbie urodzeń wynosił 100,000, co łącznie wytwarza 135,000 ubytku w ogólnej masie ludności.

Gdy zaś porównamy liczbę urodzeń we Francji z cyframi innych krajów, przekonamy się, że w Norwegii zaludnienie podwaja się w ciągu 51 lat, w Austrii 62, w Anglii 63, w Danii 73, w Szwecji 89, w Niemczech 98, a we Francji dopiero po 334 latach.

Wprawdzie wśród różnych statystyk zachodzą pewne niezgodności, wszystkie jednak bez wyjątku stawiają Francję na ostatnim planie pod względem siły rozrodczej. Zmniejszenie tej siły jest istotnie niezaprzeczalne, ale co ją sprowadza?

O tem statystyka objaśnić nas nie może, podaje bowiem tylko cyfry, przeciętne i ogólne, ale prawa rządzącego zjawiskiem nie wykazuje. Powszechnie zmniejszenie liczby urodzeń przypisywane jest przyczynom rozmaitym i skomplikowanym. Markiz de Nadaillac ¹⁾ w broszurze swojej wylicza ich aż 17, przyznać jednak trzeba, że niektóre przytacza podwójnie. Analizując je systematycznie, dochodzimy do przekonania, iż można je podzielić na dwie kategorie:

¹⁾ Pan Nadaillac, korespondent Instytutu, w broszurce p. t.: „Zmniejszenie urodzeń we Francji“.

- 1) Przyczyny fałszywe i
- 2) Przyczyny drugorzędne, które już wynikają z powodów pierwszorzędnych.

Obie te kategorie przyczyn poddamy porównawczemu badaniu, a następnie pokusimy się o wyjaśnienie przyczyn istotnych.

I.

Wśród przyczyn niewłaściwie wskazanych, spotykamy przede wszystkim rzekomą naturalną niepłodność rasy francuskiej.

„Wszystkie rasy — twierdzi p. Nadaillac — nie są jednakowo płodne. Klimat, warunki społeczne, ekonomiczne i biologiczne odgrywają tu wielką rolę, choć jeszcze dostatecznie nie wyjaśnioną. Płodność Chinek np. jest znaczną, a kobiet Polinezyi małą. Wogóle zauważyć można, iż rasy łańskie, a w szczególności francuska, są mniej płodne od ras słowiańskiej i anglo-saksońskiej. Ztąd pod tym względem wynika pierwsza i niezaprzeczalna niższość z naszej strony“. Zapewne, że istnieją rasy, które zdają się być płodniejszymi od innych, ale tylko badając systematycznie warunki fizyczne i społeczne każdej z nich, możnaby dojść do pochwycenia tych różnic.

Argument, na sile rasowej oparty, jest bez wartości, ponieważ obalają go fakty.

Fakty również przeczą drugiej podanej przyczynie, a mianowicie: alkoholizmowi.

Prawdą jest, iż w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu nastąpiła niebezpieczna dla pijaków przemiana napojów fermentowanych na dystylowane, a ilość spożywanego wódki wzrosła we Francji znacznie. W roku 1788 wypito około 370,000 hektolitrow, w r. 1882 już 1,766,000 hektolitrow. Z drugiej wszakże strony spożycie alkoholu jest znacznie mniejsze we Francji, niż na północy, a tam jednak cyfra urodzeń jest najwyższą.

Przytaczają także jako przyczynę wielki ciężar służby wojskowej.

Ależ służba wojskowa jest także powszechną i obowiązującą w Niemczech, a jednak widzieliśmy, iż nie oddziaływa szkodliwie na rozwój ludności. Cyfry wykazują większą śmiertelność wśród młodych ludzi, służących w wojsku, niż wśród innych, ale nie wpływa to na wynik ogólny.

Do przyczyn ma jeszcze należeć wysokie opodatkowanie.

Gdyby wszakże wysokość stopy procentowej miała stanowić przyczynę rzeczywistą, musielibyśmy stwierdzić u klas, najciężliwiej odczuwających ciężar podatków, t. j. u klas ubogich, najmniejsze cyfry urodzeń, a wśród sfer bogatych, którym opłata podatków łatwo przychodzi, cyfry najwyższe.

Tymczasem dzieje się wprost przeciwnie. Bogaci dzierżawcy w Normandyi i Pikardyi, którzy aż do kryzysu rolnego tak wysokie osiągalni zyski, mają zaledwie jedno lub dwoje dzieci, a w ubogich okolicach Bretanii, Ardeche, Lozery, Azeyronu, Wysokiej Loary, Korrezy i t. p. liczba przyrostu ludności jest wyższą.

W tablicy urodzeń we Francyi za rok 1881 czarne cienie, oznaczające cyfry najniższe, wypadają właśnie na okręgi najbogatsze, a to niweczy znowu argument wysnuty z ciężarów podatkowych.

Przyczyny te wcale nie oddziaływają albo przynajmniej nie oddziaływają w sposób wyraźny. Za to inne zdają się wpływać o wiele silniej.

II.

Wszystkie inne przyczyny, które tu rozpatrzmy, mają wpływ widoczny na osłabienie rozrostu ludności we Francyi. Przyczyny te zaś nie są przypadkowe, bo i jakże przypuścić, aby tyle różnych przyczyn oddziaływało w kraju w jednym okresie czasu, bez współczesnych okoliczności, sprzyjają-

cych ich wytworzeniu. Już samo ich jednoczesne wystąpienie wystarcza, aby dowieść, iż muszą pochodzić z ogólniejszej, zasadniczej przyczyny.

Gdy człowiek popelnia niezręczność po niezręczności, błąd po błędzie, omyłkę po omyłce, można słusznie twierdzić, iż w jego umyśle, czy woli zachodzi jakaś luka, która go do takich czynności zniewala.

Toż samo dzieje się i z Francją. Zobaczymy bowiem, że wszystkie przyczyny, którym przypisują owo osłabienie wzrostu ludności, są same przez się niezrozumiałe bez współdziałania przyczyny ogólnej i głębszej.

1^o *Wola mężczyzny* — powiada p. Nadaillac — jest jedną z ważniejszych przyczyn zmniejszenia się rozrostu ludności we Francyi.

Niezaprzeczalnem jest istotnie, że gdyby Francuzi chcieli, mogliby mieć wiele dzieci, tyleż nawet, ile inne narody. Dlaczego jednak nie chcą? To właśnie stanowi kwestyę; zatem przyczyna pierwsza nic a nic nam nie wyjaśnia.

2^o Przyczyna druga: *Mnożenie się małej własności*.

Tu należy rozróżnić, co się przez to rozumie. Czy stan społeczny, w którym oczywiście własność składa się z małych posiadłości stałych, przekazywanych stosownie do potrzeb rodziny i uznania ojca, gdyż wówczas rozrost ludności wcale nie bywa mniejszym, niż w krajach o wielkiej własności. Dowodem, że w Anglii, kraju wielkiej posiadłości, urodzenia są również liczne, jak w Norwegii, Luksemburgu hanowerskim, kantonach szwajcarskich i t. p. krajach drobnej własności ziemskiej.

Przeciwnie, jeżeli mnożenie drobnej własności ma oznaczać podział dóbr ciągły i przymusowy bez względu na ich rozmiar na coraz to mniejsze, położenie ulegnie zmianie, jak to zobaczymy dalej. Na razie wystarczy zaznaczenie, iż we Francyi, gdzie podział taki się praktykuje, rozrost ludności jest za-

równy słaby w prowincjach wielkiej posiadłości, w Normandyi i Pikardyi, jak i wśród drobnej własności Szampanii i innych okolic.

3^o *Wstręt Francuzów do małżeństwa*, demoralizacya z powodu zbytku, urojonych potrzeb i sztucznych przyjemności i t. p.

Liczba małżeństw rzeczywiście zmniejsza się stopniowo, szczególnie, jeśli będziemy ją zestawiali z ilością ludności w wieku odpowiednim do małżeństwa. Kraj nasz pod tym względem znajduje się w jedenastym szeregu dopiero i Anglicy, Prusacy, Holendrzy, Austriacy i t. d. nas wyprzedzają. Wzrastająca demoralizacya nie pozostaje bez wpływu na ten rezultat. Należałoby jednak powiedzieć, dlaczego Francuzi od początku tego stulecia powzięli taki wstręt do małżeństwa i dlaczego demoralizacya rozwija się wśród nich łatwiej, niż wśród sąsiadów?

4^o *Samolubna chęć używania jak największych rozkoszy*.

Wybornie, ale zawsze trzeba by się dowiedzieć, dlaczego raptem Francuzi odczuli nagle takie nieumiarkowane pragnienie rozkoszy? Czemu pragnienie to nie doszło do tego stopnia natężenia u Anglików, Niemców i t. d? I czy wierzyć można, aby i oni nie byli również skłonni z natury do gonienia za przyjemnościami? Istnieje zatem przyczyna, która nie dozwala im szukać tych zadowoleń wskutek ograniczenia liczby dzieci i przypuścić trzeba, iż przyczyna ta nie oddziaływa we Francyi, ale dlaczego nie oddziaływa? Oto pytanie.

5^o *Nawyk do komfortu i wygod* wskutek podwyżki płacy.

Jest to także objaw powszechny i jako taki, nie może wyjaśnić wyjątkowego, tylko Francyi właściwego zjawiska, przyznaje to nawet p. Nadaillac. „Wszędzie—pisze on—zamożność wzrosła znacznie, wszędzie, zarówno we wsiach, jak i miastach, uwydatnia się poważna podwyżka płacy, a w następstwie ubiór staje się wygodniejszym, pożywienie bardziej

posilnem, mieszkanie więcej zdrowotnem i do potrzeb rodziny lepiej przystosowanem, a warunki higieniczne bywają przestrzegane ściślej. Otóż wszędzie zmiany te wpłynęły korzystnie i na wzrost ludności. Dlaczego więc we Francyi, dziwnem prawem fatalizmu, zmiany te wydają wręcz przeciwne wyniki? Pytamy zaś się dlatego, by odnaleźć przyczynę, która i ten fakt nam wyświeśli.

6^o *Rozwój środowisk miejskich*, których siła rozrodcza jest słabszą.

Zmniejszeniu zaludnienia wsi na korzyść miast zaprzeczać niepodobna. W r. 1857 ludność wiejska stanowiła trzy czwarte zaludnienia całej Francyi, dziś dochodzi ona zaledwie do 65% i zmniejsza się ustawicznie. Wzrost ludności miejskiej zato wynosi pięć siódmych ogólnego przyrostu.

Jeżeli jednak jest to fakt niezaprzeczalny, jest jednocześnie i powszechny, a więc jako taki... nie nam nie wyjaśnia.

W Anglii wzrost miast bywa jeszcze znacznie-szy: na dziewięć osób pięć mieszka w mieście, a cztery tylko na wsi. W Niemczech ludność miejska wzrosła o 14 do 15%. Berlin przed dwoma wiekami liczył 17,400 mieszkańców, dziś — 1,316,282. Mniej więcej to samo powtarza się we Włoszech, w Hiszpanii, w Austrii i wszędzie.

W takim razie, czemu, pomimo tak niepomysłnych warunków, przyrost ludności nie zmniejsza się w tych krajach tak, jak we Francyi? Widocznie i pod tym względem Francya ulega wpływom wyjątkowym.

7^o *Przeciążenie w szkołach*. W żadnym kraju przeciążenie w szkołach nie jest tak wielkie, jak we Francyi, a w dodatku pogarsza je zbyt mało ruchliwe życie, do którego przymuszeni są pensjonarze w naszych liceach. Wynika ztąd osłabienie osobników, a nawet ich potomstwa. Jest to zatem fakt, który zdaje się stanowić powód rzeczywisty, w każdym jednak razie oddziałująca on jedynie na klasy

oświecone i nie jest zresztą wytworem specjalnie francuskim, trzeba przeto dla niego odszukać głębszą przyczynę.

III.

Rozmaite wyliczone tu przyczyny, jak widzimy, nie tłómaczą się same przez się, z konieczności zatem pochodzić muszą z przyczyny głębszej, ogólniejszej. Jakakolwiek byłaby ta przyczyna, musi oddziaływać bezpośrednio i silnie na rodzinę, ponieważ rodzina jest naturalnem środowiskiem, wytwarzającym ludność. Zapewne więc pod wpływem jakiegoś nacisku warunki bytu rodziny stać się musiały szczególnie trudnemi we Francyi.

Dążnością naturalną rodziny jest niewątpliwie rozradzanie się; mężczyzna lubi odradzać się w licznych potomstwie i gdy nic nie sprzeciwia się temu pragnieniu, poddaje mu się chętnie. Dzieci bywa wówczas dużo, urodzenie ich przyjmowane jest z radością, gdyż w takich razach dzieci są siłą i pożytkiem, a nie kłopotem. A to z powodu? Ze wielka kwestya ustalenia bytu dzieci rozstrzyga się łatwo, naturalnie, za pośrednictwem mechanizmu warunków społecznych.

Tak się dzieje w społeczeństwach, gdzie istnieją jeszcze mniej więcej silne związki rodzinne, tam bowiem rodzice rachować mogą na pomoc zbiorową w wychowaniu i ustaleniu bytu swoich dzieci. To też Wschód jest niezmiernie płodny, a poglądy ogólne na tę kwestyę wyrażają charakterystyczne przysłowia, np.: „Bóg błogosławi rodzinom licznym“, „Biada kobiecie nieplodnej!“

We Francyi rozrost ludności utrzymuje się tylko gdzieniegdzie i to w okolicach, które zachowały mniej więcej ustroj zbiorowy, jak: Bretania, Pireneje i środkowe prowincye.

Na przeciwległym biegunie społecznym obserwujemy taką samą płodność u ludów z ustrojem

indywidualistycznym. Tam również przyszłość dzieci jest zabezpieczoną, już nie przez zbiorowość żadną, ale przez wyłączonej inicjatywy indywidualnej i uzdolnienie młodych ludzi do zdobywania sobie stanowisk samodzielnie. Ojcowie rodzin nie są tam zmuszeni do zaopatrywania dzieci w posagi.

Dlaczego ten kierunek nie znalazł gruntu we Francji? Czemu nie zazdrościmy rodzinom, mającym liczne potomstwo, lecz przeciwnie—żałujemy ich?

Dlaczego pragną rodziny mieć tylko dwoje dzieci, syna i córkę, albo nawet jedno dziecko: „syna jedynaka?”

Dlatego, że u nas liczne potomstwo stało się dla rodziców ciężarem tak przygniatającym, iż przy najlepszych chęciach mają oni jeden środek wyjścia:—uniknąć tego ciężaru.

Nie mogą oni bowiem rachować przy ustaleniu bytu swoich dzieci ani na pomoc zbiorowości, która się rozprzegła, ani na inicjatywę młodzieży, bo tę inicjatywę i energię zdławia wychowanie. Ciężar ustalenia bytu dzieci spada zatem wyłącznie na rodziców. Ojciec zaś rodziny francuskiej może tylko ustalić byt i ożenić, lub wydać zamaż swoje dzieci, jedynie wyposażając je. Jest więc zmuszony do uzbierania tyłu majątków, ile ma dzieci i to przed ich małżeństwem, t. j. w ciągu osiemnastu do trzydziestu lat!

Zobaczmy teraz, co statystyka mówi o wpływie wyposażania dzieci na systematyczną bezpłodność. Jakie klasy mają najmniej dzieci? Najbogatsze i najwięcej przezorne, albowiem te muszą zbierać posagi. A które mają ich najwięcej? Najbiedniejsze i najmniej przewidujące klasy robotnicze, to jest te, co pozwalają dzieciom rosnać i radzić sobie w życiu, jak Bóg da.

To też w departamencie północnym, przemysłowym, gdzie ludności roboczej jest wiele, spostrzegamy znaczną przewagę liczby urodzeń, bo aż 51,197 na 35,689 wypadków śmierci. Przeciwnie

w departamentach z bogatą kulturą śmiertelność przeważa: W departamentach: Eure na 6,832 urodzeń było 9,068 wypadków śmierci; Oise: na 8,851 urodzeń — 9,068 śmierci, Orne na 6,851 urodzeń — 8,534 śmierci i t. d.

Tym sposobem dochodzimy do poszczególniej konkluzyi, iż we Francyi, z małemi wyjątkami, wzrost ludności podtrzymują w znacznej części wyłącznie tylko nieprzezorni i nieudolni! Jakąż przyszłość zapewnia Francyi podobny stosunek!

Godnem jest także uwagi, że nasz ustroj społeczny wytwarza dwa nader różne położenia. Rodzice licznych rodzin są w położeniu bardzo trudnem, i skazani są na życie pełne wyrzeczeń się i poświęceń; przeciwnie zaś sytuacja tych, którzy mają niewiele dzieci, jest pod względem materyalnym ułatwioną: mogą oni sobie pozwolić na większe wygody, przyjemności różne, i wieść życie podobne do tego, jakie wiodą bezżenni.

Dzieci znowu, przyzwyczajone do polegania więcej na wyposażeniu, niż na inicjatywie własnej, nie dążą do wyrabiania sobie stanowisk niezależnych w kraju lub zagranicą, lecz wolą szukać kariery w urzędach.

Aby ten napływ kandydatów powstrzymać, pomnażane są i utrudniane egzaminy, nadaremnie jednak, tłum staje się ciżbą i aby zdobyć wstęp do urzędów, trzeba się dziś już dobrze napocić. Ztąd też pochodzi przeciążenie w szkołach.

Wszystkie zatem przyczyny, przez ekonomistów przytaczane, pochodzą z jednego tylko i jedyne go powodu, a mianowicie: położenia, jakie nasz ustroj społeczny narzucił rodzinie.

IV.

Czy zmniejszenie rozrostu ludności we Francyi jest dobrem czy złem? Czy należy się tem cieszyć, czy smucić? Na tym punkcie ekonomiści są równie niezgodni, jak i na tyłu innych.

P. Maurycy Block utrzymywał w *Journal des Débats* i w *Revue des deux mondes*, ¹⁾ że szybki przyrost zaludnienia jest przyczyną słabości, gdyż musi wywołać zubożenie. Tę samą tezę rozwijał p. Molinari w *Journal des économistes*, którym kieruje.

Czyż istotnie taki wniosek można wyciągnąć z faktów? Nie widzimy, aby bezpłodność wychodziła na dobro Francji; zapewne, gdyby kraj nasz otoczony został murem chińskim, przez który żaden żywiol obcy przedostałby się nie mógł, byłoby nam przestroniej na przestrzeni nie tak bardzo zaludnionej, a zmniejszenie ilości mieszkańców zwiększyłoby dla nich środki i pracę.

Tak jednak nie jest, bo ubytek, powstały skutkiem naszej bezpłodności, zapelniają natychmiast obcy przybysze.

Francję coraz bardziej opanowuje napływ sąsiadów: Belgów, Niemców, Szwajcarów, Włochów, Hiszpanów i innych. W r. 1851 liczono 379,000 cudzoziemców we Francji, w 1861 r.—499,000 w 1875 r. — 801,000, a w 1881 r. 1,001,100, czyli 1 cudzoziemiec na 73 Francuzów.

„Faktem jest bardzo ważnym — pisze p. Foville²⁾—to szybkie wchłanianie żywiolu obcego przez ludność, która bez tych zewnętrznych posiłków nie zwiększałaby się wcale“. Francja jest krajem, w którym emigracja najslabiej się objawia, a wzamian tego imigracja najsilniej“.

Stronnicy bezpłodności wiedzą o tem, lecz nie tylko tem się nie przerażają, ale nawet cieszą się, utrzymując, iż jest to oszczędnością dla Francji zyskiwać pracowników, na wychowanie których nie potrzebowała łożyć.

„Przypuśćmy — dowodzi p. Molinari — że zamiast sprowadzać milion dorosłych pracowników dla

¹⁾ Zob. zeszyt z 15 października 1862. (Przyp. autora).

²⁾ *La. France économique* p. 27. (Przyp. autora).

zapełnienia deficytu ludności, Francya wychowałaby ich sama; ileżby ją to kosztowało?

„Aby otrzymać milion ludzi w wieku lat dwudziestu, trzeba urodzić około 1,300,000 dzieci. Wychowanie zaś i wykształcenie miliona dorosłych będzie kosztowało średnio 3 miliardy i 500 milionów. Sprowadzając więc pracowników dorosłych, Francya oszczędza półczwarta miliarda, a czyż ta oszczędność nie przyczyniła się w znacznej mierze do rozkwitu bogactwa jednostek i państwa? I czy nie jest wreszcie jasnym, iż gdyby Francya otrzymała w darze od sąsiadów milion wołów dla dopełnienia niedostateczności swej produkcji, to odniosłaby całą korzyść z wydatków poniesionych przez Belgię lub Szwajcaryę na wyhodowanie tych wołów?“

Do prawdziwości tego rozumowania braknie tylko jednego—aby człowiek był wołem.

Nasi kupcy, oraz inżynierowie, wołą zatrudniać subiektów Niemców i Szwajcarów, a robotników Belgów i Włochów, niż własnych subiektów i robotników francuskich, znajdują bowiem, że ci cudzoziemcy są pracowitsi, posłuszniejsi, oszczędniejsi, a zarazem mniej wymagający. Potrafią oni już oszczędzać przy wynagrodzeniu, które nie wystarcza na utrzymanie robotnika francuskiego. Bez nich więc produkowałibyśmy o wiele drożej i byłibyśmy jeszcze mniej zdolni, niż jesteśmy, do walki z konkurencją zagraniczną. Cudzoziemcy zatem ratują nasz przemysł i nasze rolnictwo swoim trzeźwym umysłem i silnem ciałem.

Ale za jaką cenę? Za cenę naszej wartości moralnej, zmniejszonej energii, zniszczonej siły rozwoju, naszej potęgi kolonizacyjnej, rozwianego w świecie uroku, a nawet naszej narodowości, zwolna zatapianej pod naporem potężnej fali obcego napływu!

ROZDZIAŁ II.

Nasz system wychowania naraża na niebezpieczeństwo stan finansowy Francji.

Nieraz ludzie powtarzają z ubolewaniem, lub przeciwnie z pochwałą, iż wiek obecny jest: „wiekiem pieniędzy“.

Istotnie, przedsiębiorstwa i spekulacje finansowe osiągnęły w naszej epoce rozwój niesłychany. Nie jest to wszakże traf przypadkowy, bo nie w tym świecie nie bywa dziełem wypadku.

Nadzwyczajną potęgę pieniędzy w naszych czasach spowodowało odkrycie węgla kamiennego, dzięki któremu powstało mnóstwo przedsiębiorstw, potrzebujących nakładów zbyt wielkich, aby im podołać mogły zasoby jednej rodziny, co uczyniło koniecznym zawiązywanie towarzystw akcyjnych.

Już sama eksploatacja kopalniana węgla wymaga przedsiębiorstwa na dużą skalę, gdyż produkt ten nie znajduje się w ziemi, podobnie jak kruszce w żyłach, ale olbrzymimi pokładami, z których czerpać można nieustannie, co wymaga całej pracy i wielkiej liczby robotników. Korzystniej jest także, prowadzić eksploatację na wielką skalę, tembardziej, iż węgiel, potrzebny w tylu gałęziach przemysłu stanowi pewną lokatę dla kapitałów. To też podobne przedsiębiorstwa potrzebują znacznego na-

kladu, którym rozporządzać mogą jedynie towarzystwa akcyjne.

Odkrycie węgla nie tylko wytworzyło nową gałąź przemysłu górniczego, ale i zreformowało cały przemysł, zastępując mały warsztat wielką fabryką. Potężna siła poruszająca, jakiej dostarczył węgiel kamienny, pomnożyła stokrotnie produkcję, a tem samem i liczbę robotników. Rozwój zaś przemysłowy przyczynił się także do zakładania towarzystw akcyjnych.

Węgiel, ten t. zw. „chleb dla przemysłu“, zmienił również zupełnie i środki komunikacyjne, wprawiając w ruch nasze koleje i statki. Przedsiębiorstwa, które muszą być oparte na jeszcze znacznie większych kapitałach, niż poprzednie, są też i przeważnie przez towarzystwa akcyjne eksploatowane.

Wielką liczbę stowarzyszeń akcyjnych, wyrażających na wielką skalę: gaz do oświetlenia, elektryczność i t. p., albo też przystępujących do takich olbrzymich przedsiębiorstw, jak np. kanał Suezki, zawdzięczamy także posiadaniu węgla.

Wreszcie węgiel umożliwił państwowemu podejmowanie wielkich robót użyteczności publicznej, które rozwijają się też w stosunku do potęgi tej nowej siły poruszającej. Wkrótce budżet okazał się niewystarczający dla podolania potrzebnym nakładom, trzeba się było uciec do pożyczek, t. j. do zawiązania z kolei towarzystw kredytowych, o wiele jeszcze ważniejszych od towarzystw przemysłowych.

Takie zapotrzebowanie zewsząd pieniędzy spowodowało właśnie tę niebywałą ich potęgę, scharakteryzowaną tem., że pieniądź daje dochód sam przez się, bez pracy właściciela. To, co dawniej było wyjątkiem rzadkim, stało się obecnie objawem zwyczajnym i powszechnym. A gatunek „kapitalistą“ zwany mnożyć się zaczął w sposób zdumiewająco szybki, ogarniając już dziś nie tylko rodziny zamożne, ale nawet i takie, które oszczędzają grosz po groszu małą sumkę na czarną godzinę.

Powodem zaś tych wszystkich zmian stał się węgiel kamienny.

Gdy zdamy sobie z tego sprawę, przekonamy się dowodnie, iż znajdujemy się wobec naturalnego przekształcenia warunków, które wynikło z siły faktów samych, o wiele potężniejszej od sił ludzkich. Byłoby więc szaleństwem chcieć się im opierać, bo zawód stałby się wówczas nieunikniony.

Niemniej uzasadnionymi są przyczyny, skłaniające publiczność do nabywania chętnie wszelkiego rodzaju papierów publicznych i akcji.

Przedewszystkiem są one bardzo dogodne.

Nabycie ich jest niezmiernie ułatwione, a ponieważ podzielne są niemal nieskończenie, więc stają się dostępnymi dla najmniej zasobnych kapitalistów. Potem dają one dochód, nie zmuszając do żadnej pracy, do żadnego ciężaru, co jest dla wszystkich powabne. Wreszcie, gdy wpływają dochody, wpływają z regularnością, o której marzyć nie można przy pracy osobistej w przemyśle, rolnictwie lub handlu. Jakże oprzeć się tylu pewnym korzyściom? A to jeszcze nie wszystko; papiery publiczne dają bowiem inne ponętne widoki: podwyżki kursu lub korzystnej amortyzacji, albo znacznych wygranych. Możemy spać spokojnie, fortuna sama przychodzi do nas!

Rachuje się zaś na jej zjawienie tem pewniej, im przez czas dłuższy akcyonariusze zgarniali zyski duże. Z zazdrością przytaczają przykłady akcji Anzin, których słynny „grosz“ przedstawia majątek, dalej akcje Suez, Towarzystwa gazowego i t. p. W czasach, kiedy należało wszystko dopiero stwarzać, gdy trzeba było zadowolić liczne zapotrzebowania, a konkurencja nie rozwinęła się jeszcze, wiele przedsiębiorstw istotnie dawało bardzo rychło olbrzymie zyski. Publiczność zachwycona śpieszyła z zaofiarowaniem swoich kapitałów i śpieszy jeszcze tak, jak jaskółki zlatują się do lustra. Jeżeli bo-

wiem zdarzają się zawody, to zagłusza je rozgłos powodzeń.

Papiery publiczne pociągają także wiele osób perspektywą spekulacji, ponieważ przy łatwym nabywaniu i sprzedaży akcji, oraz zmiany w ich kursie, ma się nie tylko możliwość łatwego obracania posiadanym majątkiem, ale i nadzieję powiększania go prędko i nieskończenie.

Oto, w streszczeniu, przyczyny zachęcające do kupowania papierów publicznych. Ruch ten zawrócił wszystkie głowy, rozwinął kult pieniędzy, otwierając przed każdym widoki niesłychanego wzbogacenia się; wysunął na pierwszy plan finansistów i uczynił z nich królów naszej epoki.

Piękny ten medal posiada wszakże, niestety, i odwrotną stronę.

Nigdy przenosiła, przedstawiająca fortunę, stojącą na toczącym się kole, nie okazała się trafniejszą.

Majątki ruchome należą do najniestalszych, gdyż pozostają w zależności od rynku, który znowu podlega wszystkim fluktuacyom polityki i spekulacji. Nie potrzebujemy kreślić tu dziejów codziennych ruin, wywołanych grą na giełdzie; są one dość powszechnie znane. Zdarzają się jednak kryzysy finansowe, które tyle osób dotykają, iż równają się katastrofom żywiołowym. Wstrząśnienie jest olbrzymie, „krach“ straszliwy. Wówczas podnosi się wrzawa, wszyscy, którzy ucierpieli, zaczynają miotać ciężkie oskarżenia na finansistów i giełdziarzy, oskarżenia, które należałoby zwrócić do siebie samych, Jakto! pragnie się otrzymywać wysokie dywidendy i nie ponosić przytem ryzyka? Wszakże jedno i drugie są następstwami systemu finansowego. Papiery publiczne wytwarzają niestalość majątków tak, jak jabłoń rodzi jabłka, a krzew winny winogrona. Jest to, z tej samej zasady, prawo naturalne.

Należy zatem zbadać, czy możliwem jest zażegnać zmienność, właściwą obrotom giełdowym,

a zarazem i przewagę giełdowych spekulantów. Zobaczymy poniżej, że jest to nie tylko możebne, ale już i dokonane w niektórych krajach.

II.

Rozpowszechnienie papierów publicznych nie wszędzie wydało jednakowe rezultaty. Godnem uwagi jest nawet, iż najbardziej zagrożonemi krajami nie są koniecznie te, w których gra na giełdzie najbardziej się rozpowszechniła. Niektóre bowiem narody znieść mogą bez szkody znacznie większe rozpanoszenie się spekulacyi, niż inne; zjawisko takie podobne jest do większego stopnia odporności względem filoksery, jaką posiada amerykański krzew winny w porównaniu z francuzkiemi jego odmianami.

Możnaby utworzyć sporą bibliotekę z książek, napisanych niedawno w celu ostrzeżenia społeczeństwa przed niebezpieczeństwem, na jakie narażają go Żydzi i spekulacye. Książki te nie odznaczają się ani szczególnym spokojem, ani miarą, gdyż są wynikiem gwałtownej namiętności, ztąd wiele z nich przekracza cel, do którego dąży, a to nie prowadzi do jego osiągnięcia. Wszyscy też sądzą stan rzeczy powierzchownie i proponują środki zaradcze nieskuteczne, lub niemożliwe do zastosowania. A jednak to podniesienie wrzawy jest przynajmniej objawem charakteryzującym niemoc, na jaką cierpi Francya.

Niemoc zaś ta nie pochodzi z większej pocho-
pności Francuzów do nabywania papierów publicz-
nych, gdyż te są równie poszukiwane w Anglii,
w Skandynawii, w Niemczech i w Stanach Zjednoczo-
nych, jak i we Francyi.

Różnica polega jedynie na systemie postępo-
wania.

Wszystkie narody, które najlepiej potrafiły uni-
knąć złych następstw, wypływających ze zmiennego
kursu papierów publicznych, posługiwały się jedna-
kim sposobem: nie umieszczały w tych papierach

całych majątków, lecz jedynie oszczędności swoje. Tymczasem Francuzi wyrzekli się wszystkiego, żeby rzucić w wir giełdy nie tylko oszczędności, ale i dziedzictwa swoje, a to z powodu coraz większego zaniedbania trzech źródeł bogactw publicznych, a mianowicie: rolnictwa, przemysłu i handlu.

Zbytecznym jest przypominać z jaką usilnością, osobiście Ludwik XIV, odrywał szlachtę od jej dóbr, dla zwabienia do dworu. Zwolna więc wyższa klasa odzwyczaiła się od zamieszkiwania na wsi i od spraw rolnictwa. Z czasem stała się klasą miejską i dziś Francya jest krajem, w którym posiadacze wielkich majątności świecą najczęściej nieobecnością i najmniej zajmują się uprawą, oraz zarządem dóbr swoich.

Dlatego też kapitały, któreby powinny powrócić do ziemi, pozostają rozporządzalnemi. Mogłyby one wprawdzie przejść do przemysłu lub handlu, lecz dzięki niemądremu przesądowi, zajęcia te uważane są za ubliżające dla osób zaliczających się do klas wyższych. Nawet ci, którzy w tych zawodach pracują, widzą w nich jedynie sposób zrobienia rychło majątku, aby się z interesu „wycofać” jak najprędzej, a synom ułatwić wstęp do zawodów szczególnie upragnionych przez t. zw. klasy wyższe. Do zawodów tych należą różne kategorie służby państwowej. O pracy w administracyi cywilnej lub wojskowej marzy, niemal bez wyjątku, każdy Francuz.

Jest to bowiem sposób, aby być dobrze widzianym, ożenić się bogato i wejść w t. zw. towarzystwo.

Francuz jest więc urzędnikiem, albo przynajmniej kandydatem na urzędnika, otrzymuje zatem pensję. Ale co ma on czynić z tem, co ze swoich wydatków oszczędzić zdoła? Z przyczyn wskazanych nie ma on ochoty zużytkowania oszczędności swoich w handlu lub przemyśle; wszak byłoby to ubliżeniem dla niego! Zresztą zajęcia te są mu najzupełniej obce. Wobec tego naturalnem jest, iż oszczęd-

dnosci swoje lokuje w papierach publicznych, gdyż jest to lokata najwygodniejsza dla ludzi, którzy nie chcą, lub nie mogą sami obracać swemi kapitałami.

Wreszcie jeszcze jedna okoliczność pomnaża oszczędności w gotówce, któremi mogą rozporządzać rodziny francuskie: mają one nieliczne potomstwo, jak to już stwierdziliśmy. Pieniądze, w innych narodach żytykowały na wychowywanie dzieci, pozostają we Francji do rozporządzenia przedsięwzięciw finansowych. Systematyczna bezpłodność, która powoduje utratę siły społecznej na przyszłość — na razie pomnaża kapitał rozporządzalny.

Obliczmy teraz następstwa przesilenia finansowego dla ludzi, których cały majątek spoczywa w papierach publicznych. Staje się dla nich klęską niepowetowaną. A czyż tak dzieje się w świecie anglosaksońskim?

III.

U Anglo-Saksonów rolnictwo nie zostało zarzucone ani przez klasę wyższą, ani przez ogół narodu. Lordowie angielscy mają obszerne posiadłości i w nich zamieszkują, a jeśli nie zajmują się ich uprawą na całym obszarze, czynią to zawsze na pewnej przestrzeni. Sprawy rolne nie są im więc obce, przeciwnie, interesują się nimi żywo i chętnie popierają swemi kapitałami. Właściciel ziemski francuski z trudnością wyobrazić sobie może, jak znaczne sumy łoży wielki posiadacz ziemi w Anglii na ulepszenia rolne ¹⁾. Bo taki właśnie użytek fortuny jest najważniejszym warunkiem dla gentlemena angielskiego do pozyskania szacunku powszechnego. Liczni emigranci z rodzin angielskich, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Australii, oraz Nowej

¹⁾ V. L. de Lavergue. *Essai sur l'economie rurale de l'Angleterre.*

Zelandyi, dążą wszędzie do zdobycia sobie posiadłości ziemskiej. Stają się zatem kolonistami selltrers'ami i squatters'ami. W ten sposób wielu bardzo młodych Anglików osiedla się w odległych koloniach. Przy podobnem zaś spożytkowaniu posiadanych środków niewiele pozostaje na grę na giełdzie.

Przeciwnie, emigrantów francuskich bardzo rzadko spotkać można, a ci, którzy zdobywają się na przykre postanowienie opuszczenia kraju rodzinnego, udają się najczęściej jako urzędnicy do kolonii, gdzie więcej tamują rozwój kolonizacyi, niż jej służą.

Rolnictwo nie jest wszakże jedynem ujściem dla indywidualnej działalności Anglo-Saksonów, nawet ich klasy wyższe nie pogardzają przemysłem i handlem. Synowie lordów, którzy zagranicą nie zdobywają posiadłości ziemskich, osiedlają się w Anglii jako przemysłowcy i kupcy. Nie sądzą ani oni, ani ich otoczenie, aby te zajęcia ubliżać im miały. Anglia i Stany Zjednoczone temu zapatrywaniu właśnie w znacznej mierze zawdzięczają olbrzymi rozwój swego przemysłu i handlu. Ponieważ zaś przemysł i handel wymaga także nakładów znacznych, przeto rozwój ich wpływa na zmniejszenie sum obracanych na grę giełdową i spekulacye.

Rolnictwo, handel i przemysł znajduje tem więcej zwolenników za granicą, że w krajach tych zastępy biurokracyi są mniej liczne, niż we Francyi. W Anglii np. liczba urzędników zredukowana jest do minimum, ogół więc, by spożytkować swoją energię, musi szukać zajęć innych, pożyteczniejszych. A szuka ich z większem zaufaniem, bo wie, że nie grozi mu, jak we Francyi, przymusowy podział rodzinnego majątku. Ojciec bowiem rodziny, mając prawo rozporządzania majątkiem tym dowolnie, może zakładać przedsiębiorstwa ustalone, które go przetrwają.

Jestto logiczne następstwo, że dążenie do zdobywania majątku przez prowadzenie osobiste przedsiębiorstw, zabezpiecza rodzinę od niebezpieczeństw

zmienności. grożącej ustawnie majątkom, umieszczanym w papierach publicznych. Jeżeli bowiem nawet papiery te są nabywane, to tylko z rozwagą podróżnika, który ryzykuje w Monaco kilkaset franków. Wygra? — tem lepiej. Przegra? — strata niewielka i bynajmniej dla równowagi budżetu rodzinnego niegroźna.

Warto przeczytać w książce p. Rousiers p. t. „Życie amerykańskie“ rozdział XIII, a mianowicie ustęp 3, zatytułowany: „Jak kapitalista amerykański umieszcza swoje pieniądze“.

„W Bostonie i New Yorku—pisze p. Rousiers—widziałem ludzi, którzy pracując w t. zw. zawodach niezależnych, umieszczali jednak część swoich pieniędzy w przedsiębiorstwach rolniczych, lub innych. Znają oni wszakże przedsiębiorstwa, które pieniędzmi swemi wspomagają, a są to zwykle nie wielkie spółki kapitałów, lecz tak zwane *private firms*. Aby móżdż dozorować użytek, czyniony z powierzonych funduszków, kapitaliści strzegą się rozpraszania ich w małych sumkach, jak to czyni u nas większość przezornych ojców, gdyż Amerykanie nie obawiają się, według utartej u nas przenośni, włożyć wszystkich jaj do jednego koszyka. Dozorują go bowiem ciągle, a przed włożeniem jaj zbadali gruntownie koszyk, aby przekonać się, że przedziurawiony nie jest. Dzienniki amerykańskie, przepelnione różnemi praktycznemi informacyami, nie zamieszczają jednak wiadomości o dziennym kursie papierów publicznych na giełdzie, gdyż wielkie mnóstwo czytelników nie interesuje się wcale giełdą. Posiadanemi funduszami obracają sami, bądź rozwijając swoje przedsiębiorstwa, bądź zakładając nowe, zamiast beczynnje drżemac nad listami zastawnemi ¹⁾).

To też tam niemal wszystkie obroty giełdowe

¹⁾ *Vie américaine*, p. 398.

dokonywają się za gotówkę, zakupy uczynione na giełdzie płacone są czekami nazajutrz rano, co zmusza spekulantów do podnoszenia zakupionych akcji, ograniczając znacznie rozmiary spekulacji i podstępny gry giełdowej.

Można więc przypuszczać, że gdyby nadszedł ogólny krach papierów publicznych, świat anglosaksoński ucierpiałby znacznie mniej od Francji, bo majątki angielskie są daleko mniej uruchomione.

Uruchomienie zaś kapitałów czyni właśnie z Francji ziemię obiecaną dla finansistów. Żydzi zwłaszcza, jak rośliny, rozmnażają się tylko tam, gdzie znajdują grunt dla siebie odpowiedni. Dlaczegoż nie rozradzają się oni tak w Anglii, Skandynawii, w Stanach Zjednoczonych, w Australii? Dlatego, iż majątki tam nie są uruchomione, gdyż każdy wkłada zaoszczędzony pieniądz w swoją ziemię, przemysł lub handel. Tam, gdzie nic niema do zagarnięcia, gdyż wszyscy potrafią bronić swego dobra, Żyd ustępuje, albo ztraca charakter finansowego spekulanta.

ROZDZIAŁ III

Jak angielski system wychowania przygotowywa do walki o byt; typy i charaktery.

W maju r. 1892 otrzymałem aż dwa zaproszenia do Anglii.

Pierwsze w imieniu *British Association for the advancement of science*, które zwoływało swój sześćdziesiąty drugi zjazd do Edynburga na czas od 4—16 sierpnia.

Jakże odmówić tak uprzejmemu zaproszeniu?

Niemal współcześnie nadeszło i drugie zaproszenie, od profesora Geddesa, założyciela *Summer Meeting*. Ten wzywał mnie do wypowiedzenia szeregu odczytów o naukach społecznych w powyższym zakładzie.

Dnia 2 sierpnia znalazłem się więc w pięknym Edynburgu i powracałem tam przez cztery lata z rzędu.

Summer Meeting jest instytucją niezmiernie ciekawą i bardzo angielską. Zastępuje też na bliższe poznanie.

Pod nazwą *University Extention* urządzono w rozmaitych miejscowościach Anglii i przy każdym uniwersytecie szereg kursów płatnych. Trwają one ogólnie miesiąc tylko, podczas wakacyj, zgromadzając audytorium płci obu, które pragnie rozszerzyć

wiadomości swoje z różnych zakresów wiedzy.

Instytucya ta rozwija się doskonale w Anglii, gdyż tam wielka masa publiczności chwyta z pośpiechem każdą sposobność korzyści, którą osiągnąć można przez wysiłek osobisty. *University Extension* w niektórych miastach angielskich liczy setki słuchaczy, a w amerykańskich—tysiące!

I.

Byłem niezmiernie zdumiony, rozpoczynając swoje odczyty w Edyburgu wobec sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu słuchaczy; tak licznego audytoryum, na wykład francuski, trudno się było spodziewać.

Ze względu na wskazówki pedagogiczne i społeczne, jakie mi ta wiadomość dać mogła, chciałem poznać skład mojego audytoryum. Tworzyło je kilku właścicieli wielkich posiadłości ziemskich, kilku profesorów i dziennikarzy, dyrektor towarzystwa, mającego na celu studia socyologiczne, pewna liczba studentów, między nimi zaś dostrzegłem kilku uczęszczających na kursa nauk społecznych w Paryżu, którym przyszedł dobry pomysł przyjechania do Edyburga, oraz młode dziewczęta, pragnące uzupełnić swoje wykształcenie; byli także słuchacze i słuchaczki, zajmujące się specjalnie sprawami wychowania lub instytucjami użyteczności ogólnej, wreszcie nauczyciele i nauczycielki.

Ta ostatnia grupa była najliczniejsza, a gdy powiedziałem jednej z nauczycielek, że u nas nikomu z nauczających nie przyszłoby na myśl korzystać z wakacyj, aby uczęszczać na kursa i to kursa płatne, była ona bardzo zdziwioną, gdyż podobne użytkowanie wolnego czasu wydawało się jej zupełnie naturalnem. Faktem jest, iż na podobne kursa, odbywające się przy różnych uniwersytetach: Oxford, Kambridge i t. p., uczęszcza od sześciuset do siedmiuset słuchaczy i słuchaczek, zapisanych stale

i wnoszących opłatę. Napływ ten tłómaczyć można tylko żywą chęcią, jaką tu każdy pała ciągłego powiększania swej wartości osobistej. Opowiedzieliśmy zaś już wyżej, jak wychowanie chęć tę wyrabia ¹⁾).

Zwiedzając fermy w okolicach Edynburga, dostrzegłem tę samą dążność do wznoszenia się coraz wyżej na drabinie społecznej i wśród ludności wiejskiej.

Zwiedzając np. fermę R., już na dworcu kolei żelaznej zastaliśmy dzierżawcę, który wyjechał na nasze spotkanie. Zapewniam czytelników, iż można go było wziąć za bankiera, dyplomatę, lub bogatego mieszczucha, tak wygląd jego był bez zarzutu. Jego zakiet miał krój wyśmienity, a całe ubranie nosiło cechy dobrego krawca. Drobne te szczegóły, jak i poniżej następujące, nie są zbyteczne i znaczenie ich trzeba ocenić.

Ferma jest zaledwie oddaloną o kilometr od dworca, a dom mieszkalny przytyka do budynków gospodarskich. Dochodzi się do niego dobrze utrzymaną aleją, ozdobioną kwiatami; u wejścia również widzi się klomb kwiatów. Całe domostwo czyni wrażenie wygodnego „cottage“ angielskiego. Wchodzimy; dywan w przedpokoju, dywan na schodach, dywan w korytarzu. W salonie oczekuje nas pani domu, która nas wita bez zmieszania, jak kobieta światowa. Rozmowa toczy się ożywiona, przeskakując na najrozmaitsze przedmioty. Gospodyni mówi dość dobrze po francusku, co dowodzi, iż otrzymała ona wychowanie wykwiłtne. Wnoszą herbatę bardzo dobrze podaną; służąca nie jest wcale dziewczką folwarczną, niezgrabną i ciężką, która przychodzi do salonu wprost z obory, przeciwnie, pokojówka to wytresowana, w białym, haftowanym fartuszk, ładnie uprasowanym, i zalotnym czepeczku na głowie,

¹⁾ Zob. w *Science Sociale*. *Mon séjour dans une petite ville d'Angleterre*, par M. Bureau. V. IX. (*Przyp. autora*).

takim, jaki noszą służące t. zw. dobrych domów angielskich. Wszystkie te drobiazgi świadczą o wygodnym trybie życia, jakie się tu wie dzie, gdyż nie zostały one tylko na nasze przebycie zaimprovizowane.

Usiłuję ciągle analizować moje wrażenia i porównywać to, co tu widzę, z objawami podobnego rodzaju, które obserwowałem gdzieindziej, gdyż porównanie jest najlepszym sposobem wyświetlenia każdej rzeczy. Patrząc więc na tego dzierżawcę angielskiego, tryb jego życia i urządzenie domu, myśl moja zwracała się naturalnie do różnego typu dzierżawców, których widywałem w rozmaitych prowincjach Francji.

Przeciętny typ dzierżawcy francuskiego bywa bardzo różny od wyżej opisanego, nie mówiąc już o dzierżawcach na południu, lub w prowincjach środkowych i Bretanii, których tryb życia mało się wyodrębnia od trybu życia najemników dziennych, ale nawet dzierżawców tak bogatej prowincyi, jak Normandia. Przypominam sobie np. dzierżawcę z Normandyi, którego odwiedzałem kilka razy. Dzierżawił on majątek rozległości 180 hektarów, co wyrównywa zupełnie obszarowi angielskiej fermy, w jakiej gościłem. Ów dzierżawca francuski był zamożny, gdyż synowi swemu — synowi jedynakowi — dawał sto tysięcy franków posagu. Mógłby więc żyć przyzwoicie i wygodnie, nie ma jednak o tem pojęcia i nie odczuwa zupełnie tej potrzeby. Z wyjątkiem dni świątecznych i jarmarków, na które się udaje do miasta, nosi bluzę niebieską, wyplamioną należycie, którą zdobią laty wszelkiego kształtu. Żona jego ubiera się podobnie i nie odróżnia się niczem w obejściu, nawet w rozmowie, od dziewczki folwarcznej, z którą chodzi pracować razem do publicznej pompy.

Mieszkanie dostosowane jest naturalnie do gospodarzy. Życie rodziny skupia się w wielkiej izbie, której drzwi wprost na dziedziniec prowadzą, nawet

bez schodków. Mury, niedbale obielone wapnem, pozostają nagie. Główny sprzęt izby stanowi wielki stół, zbity z desek, opartych na kobylicy. Na stole tym bez obrusa jadają gospodarze i służba, siedząc na ławach, odpowiednich do stołu. Trzy lub cztery krzesła różnych kształtów, źle wyplecione, komin kuchenny i kamień ze ściekiem do zmywania statków, składają resztę umeblowania. Powtarzam, iż nie opisuję tu warunków wyjątkowych, lecz przeciwnie, najczęściej spotykany typ dzierżawcy francuskiego, typ, który czytelnicy moi widzieli zapewne często. Nie razi on nas nawet, gdyż ten tryb życia wydaje się nam naturalnym, ponieważ sądzimy, że rolnik żyć inaczej nie może i nie powinien, bo z zajęcia jego wynika konieczność niechlujstwa i brak wygod.

Może jednak czytelnik przypuszcza, że mój gościnnie dzierżawca angielski stanowi wyjątek, gdyż i mnie się tak zdawało, dopóki nie zwiedziłem mieszkań jego parobków.

Wiadomo, jakimi bywają mieszkania parobków we Francyi; jeśli nie śpią oni na słomie w stodole, albo w oborze na szkaradnem łóżku, to schronienie ich stanowi bardzo nędzna izba. Pragnąc poznać zwyczaje angielskie i pod tym względem, poprosiłem dzierżawcy R* o pokazanie mi mieszkań swoich parobków. Mieścili się one w pięciu, czy sześciu domkach, uszeregowanych nad drogą, w odległości mniej więcej stu metrów od folwarku; udaliśmy się tam bezzwłocznie.

Wygląd zewnętrzny domków tych jest pociągający, przed każdym z nich mały ogródek kwiatowy ze ścieżkami dobrze utrzymanymi. Ogród warzywny znajduje się po drugiej stronie domku i przy każdym oddzielny.

Nadchodząc, ujrzeliśmy przed jednym z domów młodą kobietę, ubraną po miejsku, a obok niej w wózku biało i starannie ustrojone dziecko. Wózek był w dobrym stanie, na czterech kołach, fasonu

zwanego angielskim, który, jak wiadomo, jest dość kosztowny. Jeden z moich towarzyszków, współpracownik *Science sociale*, p. Poincard, zapytał dzierżawcę: czy ta kobieta jest osobą przybyłą z miasta w odwiedzinę? Z odpowiedzi dowiedzieliśmy się ku wielkiemu naszemu zdziwieniu, iż jest ona żoną parobka, zamieszkującego w tym domu. Na zapytanie dzierżawcy, czy towarzyszący mu panowie mogą wejść, aby zwiedzić jej mieszkanie, młoda kobieta zgodziła się chętnie i wprowadziła nas do domku z wielką uprzejmością. Przed drzwiami leżała słomianka, a w przedpokoju dywanik ze sznurków do obcierania nóg. Przedpokój ułatwia utrzymanie czystości w mieszkaniu i chroni od zimna, nie wchodzi się bowiem bezpośrednio i to stanowi wielką wygodę. Mała izdebka na prawo służy do zmywania statków, a usuwając tę czynność na bok, przyczynia się także do uporządkowania kuchni-jadalni. Ta ostatnia zajmuje obszar czterech metrów kwadratowych i jest umeblowana z prawdziwym staraniem o wygodę. Piec kuchenny jest nawpół ukryty w murze, jak to bywa tu dość powszechnym zwyczajem; zresztą piec ten jest doskonale utrzymany, a mosiędże jego błyszczą. Niema w tem nic nadzwyczajnego, bo kucharki angielskie celują więcej w czyszczeniu, niż w gotowaniu. Szorują i wycierają zawzięcie, używając kolejno grafitu i wody miedzianej do odświeżania pieca, a kredy do muru i kamieni. Przypuścić nawet można, iż angielska kucharka spędza więcej czasu na klęczkach przy sprzątanii, niż na nogach. Najlepsze jednak pojęcie o staraniu, z jakim urządzono to mieszkanie, daje rodzaj stylowego kredensu, na którym są poustawiane estetycznie rozmaite drobiazgi i ozdoby. Nie trzeba zapominać, że jesteśmy w mieszkaniu parobka folwarcznego!

W pokoju sypialnym łóżko żelazne, ozdobione mosiężnymi gałkami troskliwie oczyszczonymi, obok łóżka komoda, naprzeciw kanapa i toaleta i proszę

zauważyć, na tualecie stoją różnokolorowe pudelka i flakoniki, a wokoło lustra upięto dość zręcznie kawał jaskrawej materii. Szczegół ten wydaje mi się znamionem dążeniem do piękna i możliwie najlepszego przystrojenia swego domostwa.

Ta chęć stworzenia sobie miłego i wygodnego mieszkania daje się ogólnie spostrześć wśród pewnej kategorii robotników. W sąsiedztwie np. istnieje kopalnia węgla, otóż widziałem tam również wielką ilość domów robotniczych, utrzymanych ze starannością opisaną powyżej: kwietniki przed domami, próg drzwi wejściowych wymurowany i wybielony; ładne białe lub kolorowe firanki w oknach i t. p. Tem jaskrawiej uderzył mnie potem nieporządek w niektórych ulicach, gdzie skupia się ludność robotnicza. Domy brudne, a wszystko, co tylko dostrzedz można, jest niechlujne i zaniedbane, dzieci łachmanami okryte, biegają bosą.

Dyrektor kopalni wytłómaczył mi przyczynę tak rażącego przeciwieństwa: „Robotnicy Irlandczycy nie dbają o wygody i nie starają się o utrzymanie porządku w swoich mieszkaniach: to też wynajmujemy im za tańszą cenę najstarsze domy, które im wystarczają; dla robotników Szkotów jednak wybudowaliśmy domy nowe, które pan widziałeś i które sami przyozdabiają jak mogą.“

Dzierżawca z R* potwierdził mi to samo spostrzeżenie i on bowiem zatrudnia Irlandczyków podczas żniw, a lokuje ich jak może, gdyż mieszkanie jest dla nich rzeczą obojętną.

Możemy więc tu zaznaczyć różnicę upodobań w kwestyi wygody mieszkań między indywidualistyczną rasą anglo-saksońską, a Irlandczykami, należącymi do ustrojów zrzeszonej zbiorowości.

Wkrótce potem miałem tego jeszcze jeden dowód, podczas wycieczki do poblizkiego miasteczka Penicuik. Pojechaliśmy na południową herbatę do robotnika-mechanika. Dom jednopiętrowy, w którym nas przyjął, należał do niego. Herbatę podano

w pokoju, służącym zarazem i za jadalnię i za salonik. Zauważyłem w nim kanapę, fortepian i dywan, pokrywający znaczną część podłogi, a na nim pod stołem jadalnym położono drugi, mniej kosztowny dla ochrony. Szczegół ten świadczy o usilnem staraniu gospodyni o czystość i porządek. Stół jadalny, wielki, kwadratowy, zastawiony był niemal zbyt krownie: cienki obrus, ładna porcelana, pięć czy sześć talerzy ciast rozmaitych, grzanki, masło. Wypijam drugą filiżankę herbaty, a przed nalaniem mi jej, płóczę moją filiżankę, zlewając resztki poprzedniej herbaty do miseczki na ten cel przeznaczonej. Zdaje mi się, że nie omyłę się, utrzymując, iż we Francyi nalewają drugą filiżankę bez zadawania sobie takiego trudu. Tak przynajmniej czynią u mnie w domu i w mojem otoczeniu; zatem ten prosty robotnik postępuje w tym drobiazgu z wyrafinowaniem, które przedstawiałoby postęp w wielu naszych domach.

Pytałem dzierżawcy R*, jakie wynagrodzenie otrzymują parobcy?—Płacę 95 franków na miesiąc, mieszkanie, ogród z 2 akrów i znaczny zapas kartofli. Ponieważ żony parobków mało pracują po za domem, więc z własnych to przeważnie zarobków parobcy dochodzą do urządzenia sobie tak wygodnie mieszkań.

Zresztą nigdy jeszcze nie dowiedziono tego, aby czystość i porządek miały kosztować więcej od nieładu, brudu i przesiadywania w karczmie.

Przyznać trzeba, że robotnik w Anglii oszczędza daleko mniej, niż we Francyi, bo wydaje prawie wszystko, co zarabia. Polepszenia atoli swej doli spodziewa się osiągnąć nie drogą oszczędności, ale przez zajmowanie popłatniejszych stanowisk. Pod tym względem Anglicy są niezmiernie pomysłowi i umieją chwycić sposobności korzystne, nie cofając się nawet przed wyjazdem z kraju, jeżeli tego potrzeba zachodzi, o czem świadczy wielka masa anglo-saksońskich emigrantów. Co do prze-

zorności, Anglicy powszechnie praktykują tylko asekurowanie się na życie, aby wrazie śmierci zapewnić byt swej wdowie. Ztąd też pochodzi wielkie bogactwo towarzystw asekuracyjnych w Anglii i Stanach Zjednoczonych.

We Francyi znów górują przymioty oszczędności i przezorności; dochodzimy do polepszenia naszego bytu przez ograniczanie potrzeb naszych i wydatków, to też zadowalamy się stanowiskami, któremi Anglikby pogardził. Nasi urzędnicy, profesorowie, oficjaliści i robotnicy niżej są wynagradzani, niż w Anglii, a jednak wielu z nich potrafi oszczędzać przy zarobku niezmiernie małym. W Anglii bowiem przeznaczają się więcej pieniędzy na zapewnienie komfortu, a resztę wkładają w interes, prowadzony osobiście!

Przyzwyczajenie się do oszczędności, a nawet do skąpstwa w życiu codziennem jest silnie ugruntowane w społeczeństwie francuskiem, tak, że przechodzi w nawyk, zachowywane nawet po dojściu do majątku. Wystarcza więc nam odrobina wygód, wreszcie trochę powierzchownego zbytku, gdy nie czynimy tak, jak owi bogaci chłopcy w Normandyi, którzy mimo posiadanych dóbr, żyją bardzo nędznie. Nasze niższe klasy umieją wprawdzie zebrać majątek drogą oszczędności, ale są mniej podatne do wznieśienia się pod względem towarzyskim, to jest do odczuwania przyjemności życia wygodnego i potrzeby mieszkania, urządzonego z komfortem.

II.

Po jednym z moich odczytów zabrano mnie na śniadanie do pewnej rodziny, mieszkającej w okolicach Edynburga. Zdecydowałem się na tę wizytę ze względu, iż ta rodzina czyta pismo *Science sociale*, więc nadarzała mi się sposobność dowiedzenia się, jakie wrażenie prace nasze wywierają na umysły angielskie.

Dom ten utrzymany jest na wielką stopę, a nawet zbyt kownie. Rodzina młodego małżeństwa składa się, o ile sobie przypominam, z trojga dzieci. Mieszkają oni na wsi przez rok cały o sześć kilometrów od Edynburga. Po drodze widziałem także wielką liczbę dworów wiejskich, o których mówiono mi, że są zamieszkiwane również przez rok cały. Skłonność do osiedlania się na stałe na wsi jest wybitną cechą angielską. Opowiadała mi np. młoda panna, wychodząca za męża, że mieszkać będzie w okolicach Edynburga, choć małżonek jej zmuszony będzie bywać codziennie w mieście — a co czytelnika francuskiego bardziej chyba jeszcze zadziwi, panna ta dodała, iż uważa mieszkanie na wsi o wiele przyjemniejszym, gdyż jest bardziej niezależną i może urządzić się wygodniej. Niezależność i wygoda—oto streszczenie ideałów Anglika na tym świecie! Przystosowuje się też wybornie do samotności, lub do ograniczonego tylko kółeczka stosunków towarzyskich; a to dla rasy stanowi ogromną siłę.

Przyjęty zostałem przez moich nowych znajomych z rozczulającą serdecznością, jak przyjaciel, którego się nietylko dobrze zna, ale i dzieli jego przekonania.

Zauważyłem, iż nawet ci Anglicy, którzy prowadzą interesy i nawet dnię całe spędzają w mieście, są lepiej przygotowani do pracy na roli, lepiej zajęcia swe pojmują i łatwiej się do nich przystosowują, niż nasi prsemysłowcy i kupcy. Mój młody przyjaciel, p. Bailhache, który mnie tu przywiózł, odwiedzał np. kiedyś dzierżawcę, a poprzednio dyrektora filii bankowej. Filia ta musiała zostać zamkniętą, a dyrektor jej nie wahał się wydzierżawić dość znacznego majątku. Nie zdaje mi się, aby można było znaleźć we Francyi wiele tego rodzaju przykładów.

Tę zdolność do prac rolnych u Anglików wyrabia wychowanie na wespół wiejskie, jakie otrzymują przez zwyczaj zamieszkiwania w willach podmie-

skich, otoczonych zawsze ogrodami. Oddziaływa tu również ogólna dążność ustroju indywidualistycznego do poznawania dokładniej otaczających go przedmiotów, niż ludzi. W takim środowisku od lat dziecięcych młodzież pozostaje w zetknięciu z naturą, a gdy podраста, hoduje rośliny, sadi warzywa, pielęgnuje różne zwierzęta domowe, co daje jej pewne pojęcie o życiu na wsi, tak dobrze harmonizującym z narodową skłonnością do wystarczania sobie. Wychowanie więc oswaja tu wiele osób z zajęciami, które u nas niemal wyłącznie praktykują tylko chłopi lub właściciele, zarządzający swojemi majątkami.

Jeden z moich współpracowników, p. Bureau, który jeździł tego lata do Stanów Zjednoczonych na studia socyologiczne, zauważył tam tę samą cechę dążenia do sielskości nawet w szkołach miejskich. Nauki przyrodnicze, a w szczególności obznajomienie z roślinnością i światem zwierzęcym, zajmują w programach szkół tych o wiele więcej czasu niż u nas. Studya odbywają się w sposób bardziej praktyczny, nie tylko z książek, ale i z natury, o ile możliwości na żywych okazach. Żądają tam od uczniów, aby na lekcję następną przynosili listek lub gałązkę drzewa, które mają być przestudyowane, aby wiadomości zostały wszczepione dzieciom widokiem i dotykiem samego przedmiotu. O ileż wówczas wykład profesora staje się bardziej żywotny, a przeto i łatwiejszy do pochwycenia, nie potrzeba dodawać. Może np. zapytywać: „Gdzie zerwalesz tę roślinę?—na jakiej rośnie glebie? — Jak wogóle wygląda ta roślina? — jak rośnie?—“ i t. d.

Atoli wykład ten możliwy jest tylko wtedy, gdy uczniowie, a przynajmniej pewna ich liczba, mieszkają po za miastem, gdzie w ten lub w inny sposób pozostają w zetknięciu z warunkami wiejskiego życia bądź przez posiadanie, bądź sąsiedztwo ogrodu.

Taine dostrzegł także zamiłowanie Anglików do zajęć rolnych. „W miejskim salonie—pisze on (przypatrzam się z pamięci) — słyzy się często rozmowę, ze świadomością rzeczy prowadzoną, o sprawach rolnych, dyskusję nad systemem płodozmianów i szczegółami gospodarczemi; cytowane bywają nawet przykłady, a wszyscy, nawet kobiety, interesują się rolnictwem.“

Wobec tego nie należy się dziwić, że żona mego gospodarza była równie, jak i on, usposobioną i przygotowaną do tego przesiedlenia się na wieś odległą, którą sami rządzić nadal mieli. Rozmawiała ze mną długo o tym projekcie, jak osoba zdecydowana, która postanowienie swe powzięła z rozmysłem i na chłodno. Gdyby mąż jej potrzebował zachęty do wykonania tego planu, zachęcałaby go z pewnością i podtrzymywała jego odwagę. Poparcie zaś kobiety daje mężczyźnie siłę ogromną. Kilku moich znajomych, którzy mają dobra ziemskie we Francyi, a z trudnością znajdują dzierżawców odpowiednich, chętnieby zajęli się sami zarządem, ale wielką przeszkodą do tego jest opór ich żon. Kobieta u nas jeszcze bardziej niż mężczyzna jest niechętnie usposobioną do życia wiejskiego, trudniej się jej obejść bez stosunków towarzyskich, wizyt i przyjęć. Może nawet właśnie kobieta stanowi główną przeszkodę w rozwoju rolnictwa, przemysłu i handlu we Francyi, gdyż przesady każą jej uważać te zajęcia za niższe i niezaszczytne. Młody człowiek może się o wiele lepiej ożenić—przepraszam, chciałem powiedzieć bogaciej, bo to nie jest to samo—jeżeli służy w armii lub administracyi. Powiadają, że duchowieństwo ma jeszcze wpływ na kobiety, wolę jednak wierzyć że twierdzenie to jest potwarzą.

Odczytów nie miewałem wcale ani w sobotę, ani w niedzielę, pynieważ w Anglii wszystkie sprawy zawieszono są, a biura i warsztaty zamknięte od soboty w południe do poniedziałka rano. Umysł, lubujący się w paradoksach, mógłby kolejno dowieść,

że Anglicy są narodem, który pracuje najwięcej i — pracuje najmniej. Istotnie nic nie daje się porównać z wytężeniem pracy Anglika, chyba bezwzględny spokój jego wypoczynku. Aby dać o tem pojęcie, wydaje mi się najodpowiedniejsze następujące określenie: Anglik w czasie stosunkowo najkrótszym daje największy wysiłek pracy, aby mózdz sobie pozwolić potem na możliwie największy stopień wypoczynku.

Zauważyłem, że w Londynie wiele sklepów nie otwierano jeszcze o godzinie 9-ej zrana, choć wieczorem zamykają je o wiele wcześniej, niż u nas. Tak samo postępują administracye i domy bankowe. W rezultacie dzień pracy jest więc krótszy, niż we Francyi, możliwem bywa zatem udawać się co wieczór za roгатki i to często dość daleko, gdyż Anglik, jak już mówiłem, rzadko kiedy mieszka w śródmieściu. Zapewniano mnie także, iż wielka liczba kupców edyuburskich mieszka również za roгатkami, a więc co rano i wieczór przebywają przestrzeń znaczną. U nas dzieje się przeciwnie, większość kupców mieszka w pokoju za sklepem, albo nad sklepem w antresolach. Mogą zatem otwierać sklepy wczesnym rankiem, a zamykać je późnym wieczorem. Wielu kupców nie świętuje też niedzieli, a żaden sobotniego wieczoru.

Sądząc z tego, możnaby wnosić, że Francuz dostarcza większego zasobu pracy niż Anglik. Tymczasem godzin pracy nie należy rachować, ale obliczać ich wartość. A pod względem wartości praca Anglika jest znaczniejszą. Wśród dnia daje sobie zaledwie chwilę na pośpieszny posiłek, często na stojąco, przy biurku, nie przerywając toku interesów.

Skorzystałem z wolnego sobotniego ranka, aby zwiedzić kopalnię węgla, istniejącą w pobliżu Hawthornden. Podczas tej wizyty poznałem u tamtejszego dyrektora kopalni jego kuzyna, młodego Anglika, który prowadzi znaczną hodowlę baranów w Nowej Zelandyi. Co dwa lata przyjeżdża na dwa

miesiące do Anglii, a stale zamieszkał w Nowej Zelandyi, gdyż ta bardzo mu się podoba. „Tam życie prawdziwe”—rzekł mi. A gdy go zapytałem, co tak ponętnem czyni to życie dla niego, odparł bez wahania: „Niezależność.“ Jeszcze jeden dowód więcej, że potrzeba niezależności jest sprężyną, kierującą życiem Anglika. Można życie to badać w sposób najrozmaitszy, a zawsze dojdzie się do tego samego przeświadczenia.

W dalszym ciągu rozmowy zapytałem znowu, jak należy rozpoczynać pracę w tych nowych krajach, aby osiągnąć powodzenie? „Jak zwykły robotnik, lub owezarz”—brzmiała odpowiedź. I tak rozpoczynał sam, choć jest synem t. z. dobrego mieszczkańskiego rodu. Najprzykrzejszem w nowicyacie tego zawodu jest zetknięcie się z pracownikami brutalnymi i źle wychowanymi, ale, jak objaśnił mnie mój hodowca, „gdy się jest dobrze wychowanym, to wkrótce oni zaczynają okazywać szacunek i poważanie, a zresztą można uniknąć zbytniego zbliżenia, urządzając sobie mieszkanie własne.“

Po dostatecznem zglębieniu tajemnic zawodu chwycił się pierwszą sposobność korzystnego kupienia stada i czyni się to już ze znajomością rzeczy. Tymczasem rozpoczynając od tego, pada się zwykle ofiarą agencji, te bowiem nowo-przybywającym sprzedają ziemię mało wydajną i stada wybrakowane. Nie sądzę, aby nasi synowie rodzin mieli wielką ochotę w taki sposób pracować, a jednak jest to system najlepszy, któremu tylu młodych Anglo-saksonów swoje powodzenie zawdzięcza.

III.

Kilka razy poświęciłem popołudnie zwiedzaniu okolicznych wielkich posiadłości ziemskich. Doznałem ogólnie wrażenia, że rodziny te mają główną swoją rezydencję na wsi. Uwydatnia się to obfitością portretów rodzinnych i wielką ilością nagroma-

dzonych bogactw artystycznych. Niektóre z tych pałaców są wspaniałymi muzeami sztuki, z których mogłyby być dumne wielkie nawet miasta.

Opowiadano mi jednak, że pewna liczba tych wielkich właścicieli pozostaje w krytycznym położeniu finansowem, zmuszającym ich do sprzedaży dóbr. Wypadek ten zaszedł właśnie w jednej z rodzin, których pałac i park zwiedzałem. Rodzina ta należy do starej rodowej arystokracji szkockiej i przechodziła, jak się dowiaduję, koleje dość podobne do losów wielu dawnych szlacheckich rodzin we Francji. Unikała stale wszelkiej pracy i utrzymywała się na swem stanowisku tylko dzięki przekazywaniu majątku najstarszemu synowi, oraz częstemu jeszcze zastosowaniu prawa o zastępstwie. Sztuczne jednak te środki okazują się mało skutecznymi, bo coraz więcej rodzin upada pod ciężarem zaciągniętych długów.

Arystokracja angielska nie jest już wytworem ustroju anglo-saksońskiego, gdyż społeczeństwa o typie indywidualistycznym nie wytwarzają podobnych instytucyj. Nie spotyka się też dziedzicznej klasy wyższej w narodowościach indywidualistycznych, od wpływów obcych usuniętych, a więc przedstawiających typ ten w zupełnej czystości, jak np. Norwegia, niektóre okolice Saskiej płaszczyny i t. p. Tam chłop-właściciel utrzymał się bez przymieszki i przodownictwa klasy wyższej. Nie wytwarza się także arystokracja dziedziczna w krajach nowych, gdzie obecnie przeważa typ anglo-saksoński, a przeto ani w Stanach Zjednoczonych, ani w Australii, ani w Nowej Zelandyi i t. p.

Zkądże jednak pochodzi angielska arystokracja dziedziczna?

Pochodzi z zewnątrz, z kontynentu, zkąd wprowadzili ją Normandowie pod wodzą Wilhelma Zdobywcy.

Wiemy dziś, że ci zdobywcy należeli do ludności o ustroju zbiorowym, a rekrutowali się ze stron

różnych, zwabieni nadzieją łupu, bo przeważnie były to jednostki wykolejone, bez przyszłości i rodziny. Skład tego wojska dostatecznie jest zresztą znany z dokumentów historycznych, a lepiej jeszcze znane są szczegóły osiedlenia się Normandów w Anglii. Podporządkowali sobie ludność miejscową, zagarniając największe i najlepsze obszary ziemi i dzieląc je między siebie, nie osiedlając się jednak tam stale, na sposób saksoński, praktykowany przez emigrantów narodowości o ustroju indywidualistycznym.

Saksończyk przeto w dalszym ciągu uprawiał ziemię na rachunek Normanda, który go uciskał, a odwieczna epieczna walka szczepu normandzkiego z saksońskim jest w rzeczywistości walką między dwoma odrębnymi ustrojami społecznymi,

Jeżeli Normandowie nie zdołali zaszcześcić się dość silnie na gruncie, którego nie skolonizowali, to wzamian utrwalili się w systemie rdzennie zbiorowym arystokracji dziedzicznej, arystokracji rodowej. System ten dotrwał aż do naszych czasów i można powiedzieć, że przez wieki spaczał szkodliwie typ anglo-saksoński, czyli indywidualistyczny w Anglii.

Z czasów zatem przewagi Normandów pozostała Anglii instytucja arystokracji dziedzicznej. Zadowolono się ograniczeniem jej, tak jak monarchii do stanowiska niemal wyłącznie honorowego z pewnymi prerogatywami politycznymi, jak np. w części przywilej tworzenia izby lordów. Przywileju tego nie kwestyonowano jeszcze na seryo, ponieważ Anglicy odnoszą z niego więcej pożytku, niż niedogodności, przynajmniej dotąd.

Wpływ indywidualistyczny oddziaływał w sposób podwójny. Najpierw ogólny prąd odciągał młodszych synów arystokracji od próżniaczego życia przebywania na dworze i ubiegania się o urzędy cywilne i wojskowe, które u nas są niemal jedynym dla nich ujściem — ujściem, wiodącym nietylko do ruiny, lecz i do bezsilności, na równi z ich starszymi braćmi.

Wciągnięci w wir czynnego życia ogółu i pomocy własnej, charakteryzującej społeczeństwo o ustroju indywidualistycznym, młodzi synowie rodzin arystokratycznych z biegiem okoliczności, np. wygaśnięcia starszej linii, powołani później do grona lordów, wnosili do arystokracji nowe siły żywotne, ludzi wyrobionych i zahartowanych przez pracę w zawodach praktycznych: w rolnictwie, handlu i przemyśle. Oni to peryodycznie ożywiali klasę, która pozostawiona sobie wyłącznie, byłaby rychło uległa rozkładowi. Z drugiej znów strony przynosił żywotność również nowy żywioł lordów pochodzenia saskońskiego, otrzymujących ten tytuł za osobiste zasługi.

Wpływ indywidualistyczny, podnosząc żywotność starodawnej arystokracji, oddziaływał także powstrzymująco, stopniowo ujmując szlachcie, tak jak i koronie, możność krępowania wolności osobistej i swobód obywatelskich. Indywidualiści mniej bowiem pragną zajmować się polityką i mniej żyć jej kosztem, ale nie znoszą skrępowania swobody czynu, której potrzebują, aby sami majątki swoje mogli zdobywać, a tem samem wszystkiego, co tamować może rozwój rolnictwa, przemysłu i handlu, oraz wszelkiej arbitralności władzy i zbytniego opodatkowania. Nieustannem więc dążeniem indywidualistów jest utrzymać władze państwowe w zakresie im właściwym, na straży spokoju publicznego, spokoju, który jest niezbędny dla pomyślności interesów ekonomicznych. Przeciwnie, w społeczeństwach o ustroju zbiorowym objawiają się ciągle usiłowania zakłócania spokoju publicznego, ponieważ zwycięstwo tej lub owej partyi pozwala jej członkom spodziewać się dla siebie lub swoich dzieci otrzymania dobrych synekur administracyjnych, ponieważ ideałem wszystkich przeczornych ludzi jest żyć kosztem budżetu państwowego. Nie dla innych przyczyn mieliśmy we Francji tyle rewolucyj, a niemal codzien odbywają się one w Ameryce południowej.

Aczkolwiek szlachectwo dziedziczne jest w Anglii pierwiastkiem obcym, miało ono jednak także pewne oddziaływanie na kształtowanie się typu społecznego, lecz, jak to już zaznaczałem, krzywiło go i w gruncie rzeczy więcej przynosiło mu szkody, niż pożytku. Do ustroju indywidualistycznego, opartego na zasadzie klasyfikowania ludzi jedynie według wartości ich osobistej, umiejętności pracy, energii i wytrwałości, taki typ wytwarzał klasę uprzywilejowaną, a zarazem i pojęcie, że człowiekowi może dodać wartości należenie do pewnej rodziny, klasy, grupy społecznej. Podobne naruszenie zasadniczej podstawy typu społecznego mogło być tylko szkodliwym.

Wprawdzie na kontynencie mniej nas razi takie ustosunkowanie społeczne, gdyż wszyscy jesteśmy do pewnego stopnia przejęci duchem zbiorowości i dlatego hierarchia rodzin i klas wydaje się nam naturalną. W Anglii wszakże zapatrują się na tę kwestyę inaczej, przynajmniej wśród ogółu ludności, gdzie ustroj indywidualistyczny jest silnie ugruntowany. Często zdarzało mi się stwierdzić taki fakt, a występuje on z całą siłą w sławnym utworze Thackeray'a p. t. „Księga Snobów,“ którego celem jest okryć śmiesznością cześć, okazywaną arystokracji. „Snobem“ jest ten, który podziwia i naśladuje wszystko, co robią i mówią osoby, należące do arystokracji, usiłuje prześliznąć się i zbliżyć do nich, a ludzi i rzeczy sądzi według opinii uwielbianego „towarzystwa,“ tego odrębnego, a „doskonałego,“ świata.

„Dziwić się należy — pisze Thackeray — rozmiarom i doniosłości, jakie nabrało w tym kraju „lordochwalstwo.“ (Nie trzeba zapominać, że pisał on w 1848 r., to jest w okresie, kiedy zboczenie to rozkwitało jeszcze bujniej, niż obecnie). — „Kraj nasz — dodaje on dalej — uważa się przecież za kraj liberalny, a jednak wszyscy poddajemy się uwielbianiu lordów, mniej lub więcej ulegamy zachwytowi i padamy im do nóg. Zdaje mi się, że wpływ arystokracji na „snobizm“ był bezpośredni i wielce rozpowszechnio-

ny. Trwałość, postęp i rozwój „snobizmu“ jest do-
brodziejstwem, które zawdzięczamy w zupełności
arystokracji.“

W ten sposób uzasadniwszy pochodzenie, Thackeray przedstawia długą seryę „snobów“ z różnych warstw społecznych, charakteryzując ich dziwactwa niezatartymi rysami.

Przyznać trzeba, iż u nas „snobizm“ nie jest wcale mniej rozpowszechniony, zachodzi jednak ta wielka różnica, że u nas jest on wynikiem ustroju społecznego, podczas gdy w Anglii tylko naleciałością obcą, sprzeczną z typem, przeważającym w narodzie, a zatem może uleść zmianie, skoro tylko cechy ustroju narodowego pokonają wpływy obce. Właśnie zmiana taka dokonywała się obecnie. Niezaprzeczalnym jest bowiem, że te obce wpływy słabną ciągle i dziś już znacznie mniej wyraźnie występują, niż w czasie niezbyt zresztą od nas odległym, gdy pisał Thackeray. Stanowisko arystokracji angielskiej, osobliwie parów, zdaje się być zachwiane, co uwydatnia zmniejszenie powagi izby lordów. Dyskutowana jest już nawet otwarcie kwestya jej zniesienia, a instytucya ta może przestać istnieć bez naruszenia konstytucyi angielskiej, w której stanowi już tylko kółeczko dodatkowe i zbyteczne.

Skutkiem tego nie zabraknie wcale klasy wyższej w Anglii, gdyż również typ indywidualistyczny wytwarza ją, choć w sposób odmienny. A prawdę powiedziawszy, klasa ta istnieje już w Anglii i nawet nigdy istnieć nie przestawała, reprezentuje ją „gentlemen“. „Gentlemen“ tem się od lorda odróżnia, że stanowisko jego nie jest wcale dziedziczne, lecz osobiste i nie przyznaje mu go prawo, ale zdanie ogółu, opinia publiczna.

Powiada się o kimś, że „jest, lub nie jest gentlemanem,“ a nazwa ta obejmuje zbiór przymiotów i cnót do określenia trudnych, które wszakże dają się streszczać w wyrażeniu angielskiem *respectability* (zacność). †

„Gentlemenem“ można być bez względu na zawód i stopień zamożności, a przeciwnie, opinia odmawia czasem tego tytułu człowiekowi wysoko urodzonemu, którego życie pozbawione zostało godności; „gentlemen“ jest więc przedstawicielem wyższej klasy saksońskiej, tak jak szlachcic, lord—normandzkiej.

Ruch, dążący do uwolnienia Anglii od *snobizmu*, jeszcze inna przyspiesza przyczyna. U nas zyskuje się wstęp do towarzystwa „wyborowego,“ będąc szlachcicem, lub przybierając tylko pozory szlachectwa przez wybór niektórych zawodów uprzywilejowanych, a wzamian unikanie innych. Jak Hindusi, którzy są narodem kastowym, tak i my uznajemy, że są zawody „czyste“ i „nieczyste“, zajęcia, które zaszczyt przynoszą i takie, co ubliżają. Armia, zawody liberalne i urzędy tworzą grupę pierwszą, przemysł i handel drugą, w rzeczywistości zaś dołączyłoby można i rolnictwo, którego praktykę pozostawiamy dzierżawcom, pachciarzom i ekonomom. Nie widzimy też młodych ludzi „z towarzystwa,“ oddających się pracy kolonizacyjnej. Duch kasty, którego śmieszny objaw stanowi „*snobizm*,“ wzmacnia u nas wyłączenie uprawiania niektórych tylko zawodów, z pominięciem innych, co zakreśla dla kasty wyraźną linię demarkacyjną i oznakę widomą.

Otóż linia ta i oznaka nie istnieją już, a przynajmniej zacierają się coraz bardziej w świecie anglo-saksońskim. W Stanach Zjednoczonych, gdzie ustroj indywidualistyczny pozbył się wszelkiej normandzkiej przewagi, takie rozgraniczenie zajęć prawie ustąpiło zupełnie, to też tam człowieka cenią według jego wartości osobistej, energii, wytrwałości, oraz inicjatywy. W Anglii istnieje ewolucya w tym samym kierunku. Przyspiesza ją nadzwyczajny rozwój, nadany zajęciom praktycznym przez wielki przemysł i ułatwienie w komunikacjach, co, jak wiadomo, zawdzięczamy odkryciu węgla kamiennego. Zmiany, odkryciem tem wywołane, oszołomiły poniekąd narody o ustroju zbiorowym i zarazem dały

niesłuchany bodziec do działalności indywidualistycznych społeczeństw, które lepiej były przygotowane, aby przystosować się do nowych warunków bytu.

Anglia, długo przytłaczana i uciśnięta tradycjami, oraz instytucjami narzuconemi jej przez normandzkich najeźdźców, coraz więcej uwalnia się od nich i powoli powraca do właściwej sobie anglo-saksońskiej organizacji społecznej. Obecnie już nic zatrzymać nie zdoła tej nieuniknionej przemiany.

Ażeby zaś zdać sobie sprawę, do czego przemiana ta dojdzie, należy przyjrzeć się społeczeństwu amerykańskiemu, a raczej Stanom Zjednoczonym — tam bowiem typ anglo-saksoński odradza się w pierwotnej czystości i sile, dzięki olbrzymim przestrzeniom, otwartym dla inicjatywy prywatnej, oraz dzięki temu, że tam klasa dziedziczna uprzywilejowana, a narzucona przez zdobywców, wcale nie istnieje.

ROZDZIAŁ IV.

Jak samo już urządzenie domowego ogniska przyczynia się do powodzenia Anglo-Saksona.

Konieczność poznania dokładnie nie tylko ostatecznego celu, ale i drogi doń wiodącej, stanowi wielką trudność dla tych, którzy pragną zaprowadzić lepszy ustroj społeczny i skierować ku niemu całe społeczeństwo. Co pomoże cel wytknięty, skoro nie wiemy, jak go osiągnąć i jaką do niego dojść drogą. Zdarza się więc często, iż z powodu niedokładnej znajomości drogi, otrzymujemy rezultaty zupełnie odmienne od tych, jakich się spodziewaliśmy. Oznaczyć wejście na tę drogę, ukazać jej pierwszy przystanek, będzie już skierowaniem czytelnika na właściwe tory.

Podczas kilkakrotnego pobytu w Anglii zajmowałem się zawsze ważną kwestyą przemian typów społecznych. Grunt tam wyjątkowo sprzyjający dla tego rodzaju badań, gdyż chyba na powierzchni ziemi nie istnieje żaden inny kraj, w którymby można spotkać tak bezpośrednio ukształtowane pomiędzy sobą rozmaite odmiany ustroju indywidualistycznego i zbiorowego. Jest to bardzo rozległa gama społeczna. Zapewne, iż spotkać ją również można w Stanach Zjednoczonych, ale w warunkach mniej dla badań pomyslnych. Tam typy różnorodne ukazują się po

za obrębem środowisk, które je wytworzyły, i nie zawsze możliwym jest dokładnie dowiedzieć się o ich pochodzeniu; zresztą przebyły one wstrząśnienia, towarzyszące wyzbyciu się rodzinnego gruntu, przystosowanie się zaś do nowych warunków otoczenia wprawia je w stan pewnego społecznego wrzenia, które trzyma rozwój ich poniekąd w zawieszaniu.

W Anglii przeciwnie, pokłady są zdawna sformowane. I Celt, przynależny zbiorowości, i Saksонецzyk, indywidualista, znajdują się tu w naturalnym swoim ustroju, ku większemu zadowoleniu badacza. To też spotkać tam możemy okazy całej seryi typów, przechodząc kolejno odmiany pośrednich od czystego typu celtyckiego Highlanderów szkockich lub irlandzkich, aż do Saksona z południowej i środkowej Anglii. Jakże byłoby to zajmujące, gdyby można poklasyfikować i pochwytać różne ogniewa łańcucha tej przemiany.

Wielka Brytania bowiem jest istotnie niejako wielkim alembikiem, w którym odbywa się zjawisko nieustannej destylacji społecznej, destylacji, przez którą Celtowie saksonizują się w coraz to dalszych kręgach. Istnieje bowiem prawo, mocą którego, gdy dwa typy społeczne znajdują się w bezpośrednim zetknięciu z sobą, to typ odporniejszy dąży do zasymilowania słabszego. W tym wypadku Saksonczyk jest niezaprzeczalnie odporniejszym; otóż w Anglii najłatwiej dopatrzeć można, w jaki sposób przejawia się zaczątek zwrotu do indywidualizmu. W jakim okresie społecznego życia Celt wpływ saksoński odczuwać zaczyna? Po czym można odróżnić członka ustroju zbiorowego, który skłania się do ewolucji w kierunku indywidualistycznym, a przeto stanowi odcień pierwszego stopnia indywidualistycznego?

Zdaje się, że nie omyłę się, twierdząc, iż przemiana zarysowuje się najprzód w urządzeniu domowego ogniska. Fakt ten dostrzegłem poraz pierwszy, zwiedzając w okolicach Edynburga folwark

i kopalnię węgla, o którym pisałem w rozdziale poprzedzającym. Zaznaczyłem już wówczas sprzeczność, jaką na pierwszy rzut oka przedstawiają mieszkania zajęte przez robotników, Szkotów, Lowlanderów, a utrzymane z niezmierną starannością, oraz brudne i zaniedbane haniebnie, w których zamieszkiwali robotnicy irlandzcy (Celtowie).

Sprzeczność ta zwróciła moją uwagę na doniosłość urządzania domowego ogniska, jako punktu zwrotnego w ewolucyi społecznej. W danym przykładzie stanowi to istotny punkt wyjścia, gdyż wzmiankowani robotnicy szkoccy, Lowlanderzy, należą jeszcze do ustroju zbiorowego, który jest ich narodowym ustrojem ¹⁾. Otóż cechą, odróżniającą ich od Irlandczyków i Highlanderów, stanowiących jeszcze czysty typ ustroju zbiorowego, jest właśnie staranie się o wygodne mieszkania i cecha ta zaczyna ich zbliżać do przedstawicieli ustroju indywidualistycznego. Lowlanderzy zatem są indywidualistami pierwszego stopnia, a charakter mieszkania jest cechą, która ich wyróżnia. Wszystko to skłoniło mnie do przypuszczenia, iż ewolucya ku ustrojowi indywidualistycznemu rozpoczyna się od reorganizacyi domowego ogniska.

I.

Wielu ekonomistów, socyologów i filantropów dostrzegło i wskazywało na doniosłość społeczną ogniska domowego. Le Play lepiej od innych dojrzał to zjawisko i uwydatnił je, zestawiając z sobą znaczną ilość faktów.

Na stałość, własność i niezmiennie przekazywanie ogniska domowego wskazywano nieraz, jako na zasadnicze reformy, niezbędne w celu podniesie-

¹⁾ Zob. ark. p. Ch. de Calan o Highlanderach i Lowlanderach Szkocyi w *Science sociale* XIX i XX. (Przyp. autora).

nia poziomu moralnego jednostek, rodzin i społeczeństwa.

Istotnie, te trzy kategorie obejmują reformy ważne i nawet świadczące o znacznej poprawie stosunków społecznych. Atoli nie mają one nic wspólnego z kwestyą ustrojów, które omawiamy. Dowodem tego jest, że w obu tych tak różnych ustrojach społecznych widzimy liczne przykłady bądź stałości, bądź własności ogniska domowego, a nawet niezmiennie jego przekazywanie. Upoważnia więc to do uznania tych objawów za obojętne odnośnie do kwestyi społecznego ustroju. Badając je gruntowniej, można się nawet przekonać, że te trzy objawy nieraz silniej bywają ugruntowane u niektórej ludności zbiorowego typu, niż u indywidualistycznych narodów.

Zapewne, nie znaleźlibyśmy nigdzie bardziej stałych ognisk domowych, jak u chłopów bułgarskich, serbskich lub rosyjskich; przechodzą one z ojca na syna, a raczej ze zbiorowości jednej na drugą, od niepamiętnych czasów. We Francyi znowu najstarsze ogniska domowe spotykamy w Auvernii, w Cewenach, Pyreneach, Alpach, w Bretanii, to jest właśnie wśród ludności, która jeszcze do dziś zachowała najlepiej stosunkowo ustrój zbiorowy. I niewątpliwie, w tych że samych miejscowościach lub w innych, do tego samego typu należących, tak samo odnaleźlibyśmy silnie ugruntowany obyczaj własności i niezmiennego przekazywania ogniska domowego.

Aby zdać sobie sprawę, od czego rozpoczyna się różniczkowanie, trzeba odróżnić ściśle dwa odrębne poglądy na ognisko domowe, z których jeden jest bardziej powszechny pośród społeczeństw o ustroju zbiorowym, a drugi wśród indywidualistycznych. Według pierwszego poglądu, ognisko rodzinne pojęte jest więcej — *materyalnie*, według drugiego — *moralnie*.

Bez takiego rozróżnienia, którego jednak dotąd

nie czyniono, niepodobna jest istotnie zdać sobie sprawy z dwóch zasadniczych form urządzenia ogniska domowego. Społeczeństwa o ustroju zbiorowym pod pojęciem ognisko rodzinne rozumieją całość nieruchomości: dom, grunt, oraz członków rodziny, krewnych, przyjaciół i sąsiadów. Przywiązanie się do miejscowości jest prawie równie silne, jak i do osób, a to tem więcej, że w tych warunkach człowiek jest zwykle skłonniejszy do polegania na swojej rodzinie i otoczeniu, niż na sobie samym.

„Trzeba, żeby dom dymał“ — powiada przysłowie ludowe w Owernii i Pireneach, i aby dawne tradycyjne ognisko utrzymać dymiącem, gotowi oni są do wszelkich ofiar. Młodsze rodzeństwo zgadza się na zmniejszenie swoich działów, wujowie i ciotki wyrzekają się małżeństw, byle tylko dziedzic, przez ojca wybrany, mógł dom rodzinny i grunty zachować. Bo w domu tym nieraz sami znajdują później przytułek i pomoc.

Pojęcie przeto ogniska domowego jest w tych społeczeństwach ściśle związane z miejscowością, a nawet z domem, co tłumaczy nam tę trudność i to cierpienie, z jakim decydują się na całkowite rozstanie się z ziemią lub domem, do których są przywiązani. Ztąd to pochodzi gorąca miłość chłopów do ojczyzny, chęć zachowania jej i przekazywania z pokolenia na pokolenie, tudzież skłonność do ofiar dla dobra rodziny. To też przywiązują się do stałości, własności i niezmiennego przekazywania domowego ogniska, jak bluszcz do starych murów i, jak bluszcz, są zarazem tą materialną podtrzymywani podporą.

Należy jednak zaznaczyć, że rodziny te domów ukochany, choć stoi na rodzinnym gruncie, urządza ją nader pierwotnie. Dla badacza, lubiącego zgłębiać przedmiot swoich obserwacji, jest niezmiernie ciekawa ta sprzeczność, jaka widnieje pomiędzy nadzwyczajną stałością tych ognisk rodzinnych a do-

rywczem, jak gdyby na czas tylko krótki, zaimprovizowanym ich urządzeniem.

Zwiedzając chaty chłopów rosyjskich lub bułgarskich, albo też w Owernii, Pyreneach, Prowancyi i Bretanii, dowiadujemy się zwykle, że rodzina mieszka pod tym dachem od wielu już pokoleń i od niepamiętnych czasów, co dowodzi wielkiej stałości w przechowywaniu ukochanej ojcowizny, do której żywią istotnie silne przywiązanie.

Jakże oni jednak urządzą ów dom rodzinny? Jak obozowisko ludzi, którzy nie mieli jeszcze czasu na zainstalowanie się: umeblowanie stanowi trochę źle utrzymanych sprzętów, a mieszkanie ogranicza się do kuchni i jednego pokoju, a często nawet jednej tylko izby, mieszczącej całą rodzinę, i służącej jednocześnie za kuchnię, jadalnię i sypialnię. Czasem przylega do niej jeszcze stajnia, oddzielona za ledwie cienkim przepierzeniem, które nie zabezpiecza wcale od właściwych stajennych wyziewów. Wszystko to świadczy wymownie, jak ci ludzie, tak bardzo kochający swój dom rodzinny, nie dbają jednak wcale o wygodę, a nawet i czystość. W gruncie atoli rzeczy nie kochają oni rodzinnego ogniska dla niego samego, lecz dla poważania lub sławy, jaką im ono przynosi. Są dumni ze swego rodu, który od tak dawna zamieszkuje tę samą miejscowość, od wieków posiada grunt, majątek i spokrewniony jest z rodzinami, równie dawno w okolicy osiedlonemi. Jeżeli nawet posiadają piękną szafę i znaczny zapas bielizny lub przyodziewku, jak się to czasem u rodzin włościańskich zdarza, to i wtenczas ów zbytek osobisty i widoczny, ma na celu błyszczenie nazewnątrz, by tym nowym dowodem swojej zamożności zaimponować sąsiadom, na czem im o wiele więcej zależy, niż na własnej wygodzie. W społeczeństwach bowiem o ustroju zbiorowym jednostki żyją więcej dla innych i po za domem, niż życiem indywidualnem i skupionem w sobie. Ta sama dążność ujawnia się i w urządzeniu mie-

szkań burżuazji po wielkich miastach, aczkolwiek stałość domowego ogniska zniknąć tu już musiała.

Charakterystycznym typem domów jest wielka kamienica o licznych piętrach i liczniejszych jeszcze lokalach. Przypatrując się zewnątrz tym wielkim gmachom o pałacowym wyglądzie, pięciu lub sześciu piętrach, a siedmiu lub ośmiu oknach frontu, możnaby przypuścić, iż jest przestronno w nich rodzinom, które prawdopodobnie poświęciły wszystko, aby mieć wygodnie urządzone mieszkanie. Wejdzmy jednak, bo wchodzi się tu swobodnie, a przekonamy się, że mieszka tu tyle rodzin, ile pięter, a nawet kilka rodzin na jednym piętrze. Istne utasowanie! Mieszkania składają się zwykle z salonu i jadalni od ulicy, ładnie umeblowanych i stosunkowo obszerniejszych, zato pozostałe pokoje są niezmiernie małe i w dodatku źle oświetlone, bo okna ich wychodzą na dziedziniec, przypominający nieraz swym obszarem studnię. A jednak w tych to pokojach skupia się życie rodziny, gdyż frontowe są przeznaczone do „przyjmowania gości“.

Przy zbiorowym więc ustroju społecznym burżuazya niewiele więcej od chłopa dba o istotną wygodę w urządzeniu domu. Tymczasem dbanie o tę wygodę i piękno stanowi pierwszą charakterystyczną cechę ustroju indywidualistycznego. W nim bowiem jednostka nie opiera się na zbiorowości, otoczeniu swoim i mniej więcej licznych „stosunkach“, ale polega jedynie na sobie i dla siebie się też tylko urządza i osiedla. Osiedla rzeczywiście, a nie obozuje, bo oddaje się mniej życiu nazewnętrznemu, a więcej domowemu. Ognisko rodzinne uważa za istotny szaniec swojej niezależności i określa go nazwą, której przetłumaczyć niepodobna, a mianowicie: „home“.

Określenie to budzi w umysłach anglo-saksońskich pojęcie mniej pochwytnie i pozytywne, tak jak i nasze: „ognisko domowe“. „Home“ bowiem oznacza raczej harmonijną całość urządzeń, dążących do

uczynienia życia codziennego miłym, przytulnym i wygodnym, a starania o te wygodę charakteryzują ogólnie ogniska rodzinne anglo-saksońskie, zarówno wśród burżuazji, jak i wśród dzierżawców i robotników. Nie oceniam tu wartości podobnego pojmowania rodzinnego ogniska, usiłuję tylko poznać je i wyjaśnić dokładnie. Wszak w niem tkwi zaczątek różniczkowania dwóch zupełnie odmiennych ustrojów społecznych, a zatem warto to pojęcie gruntownie zbadać.

Odrębność zapatrywań na urządzenie ogniska domowego ujawnia się także w dwóch faktach, dość wyraźnie ją uwydatniających:

1o Ludność ustroju indywidualistycznego przywiązuje mniejszą wagę do mieszkań, niż społeczeństwa o ustroju zbiorowym.

Charakterystyczny typ mieszkań u ludności indywidualistycznej uwydatnia się w angielskim „cottage”. Jest to mały domek, zawierający tylko tyle pokoiów, aby wygodnie pomieścić jedno małżeństwo z kilkorgiem dzieci. Taki domek otacza mniejszy lub większy ogród, stosownie do zamożności rodziny, oraz do tego, czy ta rodzina zamieszkuje wieś lub miasto. Prawie cała Anglia zasiana jest podobnymi willami, których znaczniejsza liczba skupia się dokoła miast, albowiem mieszczanin angielski lubi mieszkać na wsi. Zresztą i w miastach małe domki dla jednej rodziny są typem powszechnym, gdyż taki typ u Anglików odpowiada najlepiej idealnemu pojęciu ogniska rodzinnego. Powyższa okoliczność tłumaczy niezmierną rozległość miast angielskich w stosunku do liczby mieszkańców. Jakiż to znaczny odskok od tych willi, do charakteryzującego ustroje zbiorowe dużego domu, z obszernymi izbami nie dla jednej, lecz dla kilku rodzin razem. Takiemi są domy włoskie, oraz obszerne dawne budowle w naszych miasteczkach prowincjonalnych, francuskich, a także dwory wiejskie, których nie-liczne dzisiejsze rodziny zapelnąć nie mogą. Utrzy-

manie tych gmachów bywa nawet czasem powodem ruiny obecnych posiadaczy, o ile nie zdecydują się na zwinięcie zbytecznych dla nich apartamentów. Z porównania tych dworów z angielskimi „cottage“ wylania się jedna z charakterystycznych różnic dwóch ustrojów społecznych.

2o Przy ustroju indywidualistycznym rodziny zmieniają łatwiej miejsce zamieszkania, niż przy ustroju zbiorowym.

Uwydatniłem już wyżej, że ludy, należące do ustrojów zbiorowych, są silnie przywiązane do ojcowskiego domu i stron rodzinnych, ponieważ to otoczenie stanowi dla nich bardzo ważną podporę i pomoc, bez której trudno by im było podolać walce o byt.

Inaczej jest z indywidualistą: ten bardzo łatwo zmienia miejsce pobytu; skoro tylko nadarzą mu się korzystne widoki na przyszłość, nie waha się przesiedlić, choćby na drugi koniec świata. Pochopność ta wypływa z polegania na własnych siłach, a nie na tradycyjalnych instytucjach lub rodzinie. Ta zaś właściwość ustroju społecznego przyczynia się również do tego, że przeważnie małe domki budują. Sprzedaż bowiem małego domu jest łatwiejszą niż wielkiego, a przeto mały mniej krępuje swego posiadacza i nie czyni go zależnym. To też właściciel nie przywiązuje się do murów i mury nie przykuwają go do miejsca.

Czy tym sposobem ognisko rodzinne przestaje być stałem? Bynajmniej. Ognisko indywidualistów jest również stałem, jak i w społeczeństwach o ustroju zbiorowym, lecz tylko stałem na swój sposób. Aby to sprzeczne na pozór zjawisko zrozumieć, trzeba uprzytomnić sobie różnicę, wykazaną powyżej między mieszkaniem, a jego urządzeniem wewnętrznym. W ustroju zbiorowym stałość odnosi się do samego mieszkania, w indywidualistycznym zaś do urządzeń wewnętrznych. Widzieliśmy, że przy zbiorowości obozuje się tylko w odwiecznej siedzibie

przodków, a tymczasem indywidualista zdaje się być osiedlonym od wieków i na wieki w każdym mieszkaniu chwilowo zajętem. Anglik nawet na dni kilka urządza się wygodnie w hotelu (wiadomo jest, jak wymagania Anglików wprowadziły wiele udogodnień w hotelach całej Europy), nawet na godzin kilka w przedziale wagonu, co wyrobiło im opinię ludzi nie krępujących się wcale. U Anglika zatem wygoda i komfort są niedostępne, a czyż podobna zaprzeczyć, że wygoda stanowi równie ważną część składową ogniska domowego, jak ściany i wiązania dachu? Czyż komfort bezpośrednio wiąże człowieka z życiem codziennem i czy wpływa jeszcze silniej na tryb domowy i stosunki społeczne?

Stalość materyalna i moralna są to dwie rzeczy o nierównej wartości; należy to wszakże udowodnić.

II.

Porządne i wygodne urządzenie domu jest pierwszym objawem, który spostrzegamy u ludów, przybierających ustrój indywidualistyczny. Atoli na pierwszy rzut oka trudno dostrzedz tego przyczynę. Spróbujmy ją wykazać.

Przedewszystkiem nasuwają się pod uwagę trzy następstwa, płynące z urządzenia w taki sposób rodzinnego ogniska, a wszystkie trzy są niemaloważne pod względem społecznym i nadają nowemu, wytwarzającemu się typowi znamienne rysy ustroju indywidualistycznego.

1o *Wygodne i porządne urządzenie mieszkania rozwija w człowieku poczucie godności, oraz niezależności.*

Proszę tylko sobie wyobrazić dokładnie niechlujne urządzenie domostw robotników irlandzkich, o których wspomniałem powyżej, albo też niemniej pierwotnie urządzone mieszkania większości naszych robotników miejskich lub rolnych i przypomnijmy

sobie dobrze znane tego rodzaju typy. A teraz wyobraźmy sobie ludzi, wychowywanych i zamieszkujących stale domy, podobne raczej do udoskonalonego nieco szałasów dzikich. Oczywiście, otoczenie takie nie może sprzyjać rozwojowi poczucia godności i niezależności.

„Ubiór więcej stanowi mnicha“, niż się to na pozór zdawać może. Ileż osób posiada tyle tylko godności, ile jej im użycza mundur wojskowy lub urzędniczy, albo też ordery i inne oznaki, posiadające tak potężny urok dla wielu. Nie można przeto lekceważyć wpływu otoczenia.

Ze wszystkich atoli wpływów oddziaływanie ogniska rodzinnego bywa pono najsilniejsze, gdyż jest ciągle i dotyka najgłębszych strun duszy ludzkiej. Wątpić nie można, iż parobek, którego mieszkanie zwiedzałem w Howthorden, i robotnik-mechanik, u którego piłem herbatę w Penicuik, pozostawali pod bezpośrednim a potężnym wpływem porządku i względnego komfortu swoich mieszkań. Dawało im to z pewnością lepsze o sobie samych pojęcie i budziło w nich wyraźne poczucie godności i niezależności. Wracając do swych porządnym domów, musieli silniej odczuwać swoją wartość osobistą i „zacność“ — jak mówią Anglicy. Człowiek zaś, który ma już poczucie godności własnej, będzie usiłował ją zwiększać, gdyż przebył już pierwszy szczebel udoskonalenia, który jest zawsze najtrudniejszy.

20 *Staranne urządzenie mieszkania stanowi także bodziec do usilniejszej pracy.*

Ludność, nienawykła do wygod i poprzestająca na bardzo pierwotnym urządzeniu domu, wytwarza typ ludzi drobnego zarobku. Ograniczoną bowiem ich ambicję zaspakajają szybko ladajaki zarobki. Tam natomiast dzieje się przeciwnie: wygodniejsze umeblowanie i wykwintniejsze życie domagają się pewnego wysiłku i podtrzymują go.

Wyobrażam sobie, z jakim zapalem pracował

znajomy mój robotnik — mechanik z Penicuik, jak wyteżał myśl nad kombinacjami, mogącemi podnieść skalę jego zarobku pod wpływem chęci zakupu kredensu, dywanów i fortepianu. Tysiące robotników, uczęszczających na płatne kursa *University Extension* stanowią żywy dowód ogólnej dążności do wysiłku w pracy i chętnego podejmowania dodatkowego trudu, byle tylko polepszyć swoje stanowisko.

Można wprawdzie twierdzić, iż namiętne oszczędzanie, cechujące część naszej ludności robotniczej jest także bodźcem mniej potężnym. Oszczędzając dla dzieci, trzeba pracować długo i dla drugich, którzy owoców tej pracy nie będą rychło używać, bo dopiero po śmierci przezornych rodziców. Aby wytrwać, trzeba prawie heroizmu, który nie jest wcale cnotą powszechną. Gdy będziemy oszczędzali dla siebie i lokowali pieniądze na procent, to ileż złotych musimy, aby odsetka od kapitału mogła istotnie zaważyć w budżecie rodziny? Ileż to dni pracować musi robotnik dla zaoszczędzenia stu franków, które zaledwie podniosą dochody jego o 3 franki rocznie! Nic więc dziwnego, że taki rezultat wydaje mu się zbyt małym i dalekim od tego, aby warto było czynić wysiłki dla jego osiągnięcia. To też widzimy, jak nieznaczne wyniki otrzymują różne instytucje, zakładane w celu rozwijania wśród pracujących poczucia oszczędności. Bez żadnej podniety ze strony rządu i filantropijnych stowarzyszeń robotnik anglosaksoński wkłada daleko znaczniejsze sumy w urządzenie i wygody swego mieszkania. Postawiłby można zarzut, iż są to pieniądze wydane, a nie zaoszczędzone. Tak, wydane, ale nie stracone, a nawet znakomicie umieszczone na wysoki procent, już nie na trzy od sta, ale na sto od sta, gdyż umieszczone w rozwoju siły roboczej.

Robotnik, który kupił kredens, fortepian lub dywan, korzysta *natychmiast w całości i codziennie* z rezultatu swej pracy. Proszę teraz porównać za-

dowolenie osoby, która, zaoszczędziwszy sto franków, dostaje rocznie trzy franki tylko, z zadowoleniem tej, co za tę samą sumę może natychmiast nabyć upragniony przedmiot i stale uprzyjemniać sobie ognisko domowe.

To zadowolenie zachęca i podnieca do nowego wysiłku, czy to dlatego, aby zmienić mieszkanie na obszerniejsze lub wygodniejsze, czy też, aby zakupić nowe ozdoby, lub sprzęty. Każde bowiem ulepszenie pociąga za sobą chęć ulepszenia nowego, bardziej wykwintnego i bardziej subtelnego. Człowiek bowiem staje się coraz więcej wymagającym, a ponieważ wymagania swoje zadowalać może tylko przez pracę, więc pracowitość jego wzrasta w miarę tych wymagań.

Zdolność do natężonego wysiłku w pracy stanowi cechę znamioną, wyróżniającą indywidualistów, przeto człowiek, którego pracowitość wzrasta, przekształca się nieznacznie w indywidualistę. Wygodne i porządne urządzenie mieszkania stanowi zatem istotnie zapoczątkowanie tej ewolucji.

Co jednak w razie choroby pocznie człowiek, w ten sposób spożytkowujący oszczędności, i jaki będzie los jego rodziny, gdy umrze? W tych razach Anglik asekuruje się, i zabezpieczywszy w ten sposób własną i blizkich przyszłość, z tem większą swobodą stara się, aby jego mieszkanie było wygodne, a domowe życie miłe.

30 *Przyzwicie urządzone mieszkanie uszlachetnia człowieka i czyni go zdolniejszym do wyrobienia się na „gentlemeną“.*

Pragnę zwrócić uwagę czytelnika na wpływ powyższy, gdyż może najlepiej charakteryzuje on ustroj indywidualistyczny i najwybitniej wyróżnia go od ustroju zbiorowego; do tego czasu nikt jeszcze wpływu tego nie wyjaśnił, gdyż nikt nie badał właściwości anglo-saksońskiego „home“.

Ustrój zbiorowy wytwarza ścisłą hierarchię społeczną, stany i klasy są w niej dokładnie rozgrani-

czone i nielatwo przechodzi się z niższej do wyższej. Robotnik z trudnością otrzymuje wstęp do sfer mieszczańskich, gdyż nawet i wtedy, gdy się wzbogaci, zarówno w sposobie swego życia, jak i zachowania pozostaje robotnikiem. Nie może bowiem szybko zmienić swoich obyczajów i pozbyć się zastarzałych nawyknień i nałogów, a trudność, jakiej w przełamaniu ich doznaje, pochodzi właśnie z tego, że wzbogacony robotnik zmianę swego stanowiska zawdzięcza — oszczędnościom. Aby zaś je nagromadzić, musi długo wieść życie pełne wyrzeczeń się tego wszystkiego, co nietylko umiła trudy codzienne, ale zarazem rozwija człowieka, podnosi go i uszlachetnia. Konieczność bowiem zebrania znacznej sumy nakazuje oszczędzać na mieszkaniu, ubiorze, umeblowaniu, a nawet na utrzymaniu i rozrywkach. Im zaś rychlej został majątek zebrany, tem większe musiały być oszczędności, a więc i tryb życia bardzo nędzny. Nawyk zaś staje się z czasem potrzebą, która daje zadowolenie; to też i przy dojściu do upragnionego majątku trudno jest rozstać się z dawnym trybem życia.

Zdarzyło mi się raz obserwować na prowincyi doskonały typ tego rodzaju. Człowiek ten przed czterdziestu laty rozpoczął karierę, rozwoząc od wsi do wsi na małym wózeczku baty i uprząż. A gdy oszczędził fundusz odpowiedni, zakupił małą odlewnię i począł wyrabiać metalowe części do uprzęży. Poznałem go już pod koniec życia, zatrudniał wtenczas czterdziestu robotników i obracał znacznym kapitałem, a obok tego posiadał majątek ziemski rozległości stu hektarów, oraz trzy, czy cztery domy we wsiach okolicznych. Dzieci nie miał wcale i gdy umarł, a wkrótce po nim jego żona, cały majątek, wynoszący około pięciukroć sto tysięcy franków, rozdzielono między synowców i siostrzenice. Otóż człowiek ten, mimo posiadanego majątku, nie zmienił wcale trybu życia i do ostatka zachował zaniedbany ubiór robotniczy, prostackie zachowanie i język.

Widziałem go nawet, jak spełniał bardzo podrzędne czynności we własnej fabryce. Zapobiegliwością zatem umiał ten przemyslowiec zrobić majątek, ale nie potrafił wznieść się na wyższy stopień towarzyski. Dlaczego? Bo w domu rodzicielskim nie nawykł od dzieciństwa do porządniejszego życia, a więc i przyzwoitego się zachowania, jakie ztąd wynika; nie odczuwał zatem potrzeby żadnej zmiany i żadnego ulepszenia w późniejszym życiu.

Wśród rozmaitych typów, z jakich się składa społeczeństwo francuskie, ludność Owernii odznacza się bardzo wybitnymi zdolnościami do handlu, a zarazem skłonnością do oszczędności. Nie mogę wyjaśnić tu przyczyn, które te zdolności i zamiłowanie wytworzyły, muszę zatem ograniczyć się na ich zaznaczeniu. Owerniacy często groszową oszczędnością dochodzą do pewnej zamożności, lecz nigdy nie zdołają ani handlu swego rozwinąć na większą skalę, ani tembardziej się ucywilizować. Trzymają się uparcie dawnych chłopskich zwyczajów, a chłopci z tych okolic — jak to chyba potwierdzą wszyscy znający Owernię — nie odznaczają się wcale ani wykwintnem zachowaniem, ani ubiorem starannym, ani nawet czystością. Chaty chłopskie w Owernii są nader pierwotnie umeblowane i — powiedziny szczerze — bardzo brudne. Pamiętam dobrze, jak nam trudno było z p. Rousier przewyciężyć wstręt naturalny u ludzi cywilizowanych, gdy przyszło przyjmować gościnne poczęstunki. Trzeba było na to wytrwałości, jaką daje silna chęć oglądania zblizka zjawisk badanych.

Takie właśnie urządzenie ogniska domowego paraliżuje zdolności mieszkańca Owernii do handlu i nie dozwala mu nabyć później oglady tawarzystkiej, pomimo trzeźwości i przezornego oszczędzania. Doskonale charakteryzuje nam ten wpływ monografia p. t. *L'Auvergnat brocanteur à Paris* (Owerniak, jako tandeciarz w Paryżu).

W pracy tej spotykamy następujące uwagi:

„Tandeciarzy, posiadających własne sklepy, można podzielić na dwie kategorie: Owerniaków i Norman-
dów ¹⁾. Jedni i drudzy są trzeźwi i oszczędni,
a przeto unikają robotników paryzkich, obawiając
się ich rozrzutności. Owerniacy kupują wprawdzie
stare ubrania, a zwłaszcza kapelusze i trzewiki, nie-
zdatne już do noszenia, ale mniej się znają na tym
towarze, niż ich współzawodnicy z Normandyi. Prze-
bieglejsi, a zarazem bardziej *ugrzecznieni* tandeciarze,
pochodzący z Normandyi, *obejściem swoim* wzbudzają
większe zaufanie. *Lepiej odziani, wyrażają się po-
prawniej i prawie zawsze zręcznością zwyciężają
współzawodników, pochodzących z Owernii. To też
ci ostatni, choć tak wytrwali i uparci, zmuszeni są
do ustępowania bystrzejszym współkonkurentom ko-
rzystniejszego handlu starą odzieżą, sami natomiast
prowadzą handel galganami, żelaztwem, kośćcami i za-
jęczemi skórkami*“.

Szczegóły te wykazują, jak brak okrzesa-
nia, którego zaniebane i pierwotnie urządzone ognisko
domowe dać nie mogło, przeszkadza powodzeniu
mieszkańców Owernii nawet w tym rodzaju handlu,
niewymagającym przecież zbyt wykwintnego wycho-
wania. Trochę więcej wygód i starania w urządze-
niu chaty rodzinnej nie byłoby zatem nakładem po-
niesionym na próżno.

Taki oto korzystny nakład czyni rasa anglo-
saksońska, urządzając swój indywidualistyczny „*ho-
me*“. Przypomnijmy sobie owych robotników z oko-
lic Edyburga. Wychowują swoje dzieci tak, jak
sami wychowani byli — w mieszkaniach skromnych,
ale już przyzwyczajających do porządku, czysto-
ści, a nawet pewnej dbałości o cechy estetyczne,
a wskutek tego i do większej poprawności w mowie
i zachowaniu się. Dzieci, w takich wzrosłe warun-

¹⁾ *Ouvriers des deux mondes* t. IV (Robotnicy obu pół-
kuli). (Przyp. autora).

kach, posiadają już nieco oglady towarzyskiej, może nie wykwiutnej jeszcze, ale ułatwiającej przyjęcie kultury cywilizacyjnej. Gdy przeto w przyszłości nadarzy im się sposobność zdobycia lepszego stanowiska (a taką sposobność wywoła ich zdolność do pracy), potrafią sprostać wymaganiom nowych warunków bytu, gdyż im nie będą przeszkadzały złe przyzwyczajenia, w dzieciństwie nabyte.

Typ zatem indywidualistyczny ogniska domowego czyni jednostki, nawet w klasie robotczej, zdolnymi do przekształcenia się w gentlemenów, t. j. ludzi, będących zawsze na swoim miejscu na wszystkich stanowiskach, jakie w przeszłości zajmować mogą.

Odczuwam nawet pokusę wyrażenia poglądu, dość może śmiałego, iż ustroj indywidualistyczny nie wytwarza wcale dziedzicznej klasy niższej. Mam bowiem w pamięci wiele faktów, wymownie potwierdzających ten pogląd. Dzięki temu to właśnie narody o ustroju indywidualistycznym posunęły się dalej od innych w rozwikłaniu kwestyi socyalnej, t. j. właściwie robotniczej.

Z różnych względów jednak ograniczę się tylko na przedstawieniu trzech najbardziej wymownych dowodów zdolności rasy anglo-saksońskiej do dźwignania się na wyższe szczeble hierarchii towarzyskiej.

Pierwszym dowodem jest nadzwyczaj szczupła liczba służby pochodzenia anglo-saksońskiego. W Anglii i w Stanach Zjednoczonych służbę prawie wyłącznie stanowią jednostki pochodzenia celtyckiego, germańskiego, lub łacińskiego. W tym zakresie rasa anglo-saksońska wytwarza zaledwie typ gospodyni, a właściwie zarządczyni domu, będący już typem wyższym i przechodnim dla córki robotnika, która tylko na czas ograniczony przyjmuje miejsce, aby wśród klasy wyższej nauczyć się zarządzać domem, zanim zamąż wyjdzie.

Drugim z kolei dowodem jest fakt, stwierdzony na tysiącach jednostek, które pochodząc z klasy ro-

botniczej, lub zajmując się rzemiosłem doszły stopniowo do wysokich stanowisk, obejmując je z pożytkiem i zachowując z wytwornością gentlemanów. Na te przykłady zwracała już uwagę *Science sociale*, z powodu zasiadania w parlamencie kierowników stronnictwa robotniczego, pochodzących z klasy robotniczej ¹⁾).

Między innymi wiadomo, że prezydent Stanów Zjednoczonych, Cleveland, służył w młodości jako chłopiec do posyłek w sklepie korzennym, zamiatał, rąbał drzewo i palił w piecach. Lord Glasgow, gubernator Nowej Zelandyi, w trzynastym roku życia był chłopcem okrętowym. Znakomity Franklin również pracował jako robotnik. Najbardziej wszakże nas zadziwia nie to, że potrafili dojść do takich stanowisk, lecz zdumiewa znaczna liczba wybitnych ludzi, pochodzących z klasy robotniczej, tembardziej, że ich pochodzenie nie wywarło tak niezatartych śladów, jak u jednostek, które we Francyi zdołały się w podobny sposób wybić na wyższe stanowiska. To właśnie stanowi dla mnie godny podziwienia objaw i wątplię, aby kto mógł go inaczej wytłómaczyć, jak tylko urządzeniem ogniska domowego u Anglo-Saksonów, nie wyłączając i rodzin robotników.

Wreszcie pozostaje mi do przytoczenia trzeci wysoce charakterystyczny fakt w swoim rodzaju. W Anglii wiele pociągów niema wcale wagonów klasy drugiej, gdyż publiczność od nich stroni. Statystyka zaś wykazuje mniejszą stosunkowo liczbę wagonów pierwszej klasy w Anglii, niż na kontynencie. Dowiedziałem się również, że na jednej z głównych linii kolei żelaznych angielskich roztrząsana jest obecnie kwestya: czy nie należy znieść zupełnie wagonów klasy pierwszej ze względu na bardzo mały w nich zastęp podróżnych? Przy tej sposobności przytaczano za przykład księcia Cumberlanda, który, choć jest spowinowacony z królową, zawsze jeździ

¹⁾ *Science Sociale* d'octobre 1893, de décembre 1894, de juillet et de novembre 1895. (Przyp. autora).

trzecią klasą. Zwyczaju tego nie można uzasadnić względami oszczędności, gdyż Anglik i Amerykanin nie lubią skąpić sobie wygod. Przeciwnie, Francuzi mniej zamożni, a tak przyzwyczajeni do oszczędzania, dostarczają względnie wyższej cyfry podróży klasy pierwszej. Należy przeto szukać innej jeszcze przyczyny. Jedyną, jaką dostrzedz mogę, jest różnica w ubiorze i w sposobie obejścia niższych sfer społecznych na kontynencie i w krajach anglo-saksońskich. Przykre to jest dla nas podróżować w towarzystwie ludzi niedbale ubranych i zachowujących się w sposób gminny, lub nawet grubiański, tymczasem w krajach anglo-saksońskich przykreść tę usuwa znacznie wyższy stopień cywilizacyjnej oglady, jaką klasy niższe już tam osiągnęły; potwierdzają to bilety bezpośredniej komunikacji, wydawane przez zarządy kolei żelaznych francuskich podróżnym, udającym się do Anglii. Bilety te dają prawo we Francyi do drugiej klasy, a w Anglii do trzeciej.

Należy także zaznaczyć, iż Anglicy, jeżdżąc przeważnie klasą trzecią, nie wyrzekają się bynajmniej dlatego swoich nawyknień do wygod, a ponieważ tam zarządy kolei żelaznych rachują się z wymaganiem publiczności, wagony klasy trzeciej wogóle są daleko wygodniejsze i lepiej utrzymane, niż u nas drugiej, na niektórych zaś liniach są nawet tak wytworne, jak nasze klasy pierwszej.

Ze wszystkich, powyżej przytoczonych faktów, wnioskować można, że dzięki porządnemu urządzeniu mieszkań, klasa robotnicza staje się podatniejszą do przyjęcia cywilizacyjnej kultury, następstwem czego jest zniesienie dziedzicznej klasy niższej, tej rany wielkich społeczeństw o ustroju zbiorowym. Taki wniosek atoli pociąga praktyczną konsekwencję, którą rozważyć nam trzeba.

III.

Zalutwienie kwestyi socyalnej nie może polegać na wspomaganiu jednostek tak, jak niepodo-

bną jest żywić się lekarstwami. Wspieranie bowiem i lekarstwa nie stanowią naturalnych i normalnych środków, podtrzymujących żywotność fizyczną i społeczną. Roztropność zaś każe dążyć do obchodzenia się bez środków sztucznych. Niema więc innego rozstrzygnięcia kwestyi socyalnej, jak: umożliwienie jednostkom istnienia i polepszenia swojej pozycji społecznej *o własnych siłach*. Ocalenie bowiem społeczne, jak zbawienie wieczyste, jest sprawą osobistą, której każdy sam podolać musi. Pogląd ten nie spodoba się zapewne politykom i wogóle ludziom, żyjącym kosztem powszechnej nieudolności, a zatem mającym interes w ciągłej małoletności utrzymywać ogół, aby tem łatwiej nim kierować. Nauka atoli powodować się nie może tego rodzaju względami i dąży drogą wskazywaną jej przez fakty.

Już powyżej zaznaczyliśmy fakty, dowodzące, iż od przyzwoitego urządzenia domu rozpoczyna się uszlachetnianie obyczajów wśród ludności o ustroju zbiorowym, skoro ta zetknie się ze społeczeństwem indywidualistycznym. Takiego zetknięcia u nas we Francyi braknie, nie jest jednak niemożliwe zastąpienie go przez dokładne teoretyczne zaznajomienie się z takimi urządzeniami i na tej podstawie dokonać świadomie ewolucyi, jaka bezwiednie odbywa się w Stanach Zjednoczonych i w Anglii pod wpływem przykładu robotników i emigrantów pochodzenia anglo-saksońskiego, przodujących w cywilizacyjnym rozwoju. Ewolucyę rozpocząćby powinno mieszczaństwo francuskie od siebie i dla siebie. Obecnie wielu wydaje masę pieniędzy i ponosi dużo trudu, aby żyć po za domem i mnożyć banalne, światowe stosunki; przytem żywi głęboki wstręt do stałego zamieszkania na wsi, gdyż stosunki towarzyskie i wogóle życie po za domem jest o wiele trudniejsze w warunkach wiejskich, niż miejskich. Mieszczaństwo francuzkie urządza dom raczej dla gości, niż dla siebie, bo najdogodniejsze i najzbytłowniej umeblowane pokoje przeznaczają dla odwiedzających. Przeciwnie,

nawet wygodne urządzenie pokoiów mieszkalnych uważane jest za zbytek. To też dzieci, te biedne ofiary francuskiego ogniska rodzinnego, nie mają swojej „nursery“ t. j. osobnego pokoju, lub przynajmniej spokojnego kąta, gdzie mogłyby czuć się u siebie i zaprawiać stopniowo do pewnej samodzielności.

Taki stan rzeczy zmienić trzeba z gruntu. Czas już nam zwrócić się do ogniska domowego, oszańcować się w jego zaciszu i uczynić je miłym dla siebie. Życie bowiem rodzinne posiada potęgę olbrzymią, niestety, zaledwie dotąd u nas odczuwaną. Odrodzenie zaś społeczne niemożliwe jest dla tych, którzy tę potęgę lekceważą.

Mieszczanstwo może przeprowadzić pożądaną reformę samoistnie (jeżeli tylko ma dobrą wolę), ale dla klasy robotniczej byłoby za trudno kierować się teoretycznymi wskazówkami; zbyt zresztą wiele jest do zrobienia w tym kierunku, a przeto brak podniety, jaką daje przykład, należy zastąpić pomocą.

Na szczegól ten pragnę zwrócić uwagę osób, zajmujących się działalnością dobroczynną. Obecnie wspieranie robotników i opieka nad nimi są zazwyczaj błędnie pojmowane. Ztąd najgorliwsze wysiłki doprowadzają do nader drobnych rezultatów, a co gorsza, przytłumiają w robotnikach samodzielność i rzutność.

Pomoc stać się może klęską, gdy niema na celu dostarczenie wspomaganym takich warunków, aby mogli już żyć dalej samodzielnie. Właściwe zadanie pomocy polega zatem głównie na pobudzaniu robotników do samoistnego wyrabiania się cywilizacyjnie przez ułatwianie im przyzwoitego urządzenia mieszkania i życia domowego.

Obecnie z wielkiem zainteresowaniem śledzę próbę w tym kierunku, podjętą przez jednego z moich przyjaciół. W najbliższem sąsiedztwie jego majątku istnieje fabryka, zatrudniająca około pięćdzie-

sięciu robotników. Jakie dwadzieścia rodzin robotniczych zamieszkuje w pobliżu fabryki, wynajmując za 50 lub 60 franków rocznie lokale, za które więcej płacić niewarto, bo są niezmiernie nędzne. Okna i drzwi nie domykają się wcale, co się najwięcej zimą odczuć daje, mieszkania są wstrętne i ohydnie brudne. Umebłowanie jest zupełnie pierwotne, a przytem w stanie oplakany i nie do opisania. Na domiar złego, część mieszkańców, jak się to często zdarza w tych sferach, oddaje się pijaństwu.

W niełatwych warunkach rozpoczął tedy próbę mój przyjaciel, lecz to czyniło ją jeszcze bardziej zajmującą. Dzięki sąsiedztwu, stosunki mego przyjaciela z kolonią robotniczą zawiązały się w sposób naturalny. Pierwszą po temu sposobnością było udzielanie porady chorym dzieciom. Okoliczność ta dozwoliła żonie mego przyjaciela wchodzić do tych mieszkań, gdzie ją przyjmowano z wdzięcznością. Wróciła ztamtąd wzruszona nędzą i brakiem opieki nad drobnymi dziećmi, pozostawionymi w najgorszych warunkach czystości i higieny! Najpierwszem przeto jej staraniem było rozdzielić między najbiedniejszych odpowiednie ubranie, pod warunkiem wszakże, aby było utrzymywane starannie, a dzieci myte i czesane codziennie.

Stosunki zacieśniły się jeszcze bardziej po podwieczorku, na który zaproszono dzieci wszystkich robotników, z zastrzeżeniem, aby przyszły czysto umyte i odziane. Żądaniu temu stało się zadość, co już świadczyło o pewnym postępie,

Opisując nędzę mieszkań robotniczych, nie wspominałem o ich otoczeniu, które również pozostawiało wiele do życzenia. Po każdym deszczu droga zamieniała się na błotnistą, cuchnącą kałużę, ponieważ służyła stale mieszkańcom za śmietnik. Trzeba było miesiać pracy, aby drogę tę uporządkować, wybrukować i poczynić ścieki. Naprzeciw domów robotniczych mój przyjaciel kazał urządzić klomb z drzew i kwiatów. Klomb ten poniekąd ma przy-

pominać, że i około domu powinien także porządek być zachowany. Pojęli to ci poczciwi ludzie, z których kilku dobrowolnie się podjęło klomb polewać i pielęgnować. Taka drobnostka już pobudziła ich miłość własną i pochlebiała im, co także nie pozostanie bez wpływu dodatniego.

Obecnie trzeba przerobić wstrętne nory, w których ci nieszczęśliwi mieszkają i zamienić je na mieszkania porządne, urządzone tak, aby wpływały na rozwój poczucia godności osobistej, a pobyt w nich był przyjemny i zachęcał do ponoszenia kosztów na udogodnienia, a nawet i upiększenie. W tem kryje się trudność największa, lecz dzięki okoliczności sprzyjającej, a mianowicie, zmianie dyrektora fabryki, mieszkania robotników będą odnowione. Gdy to już nastąpi, wtedy będzie można zachęcać tych ludzi do porządniejszego utrzymywania swoich mieszkań. Przyjaciel mój postanowił pilnie śledzić wszystkie stopnie przemiany, jaka nastąpi, dopomagając w miarę możliwości do jej rozwoju. Przynależ mi także starannie notować otrzymane rezultaty, im bowiem ciaśniejsze jest koło obserwacji, tem dokładniej można zbadać wszystkie szczegóły zachodzących zjawisk.

Możnaby przypuścić, iż główną przeszkodę w przeprowadzeniu tak pożądaney poprawy mieszkań robotniczych będą stanowiły szczupłe środki, któremi robotnicy rozporządzać mogą. Fakty jednak przypuszczenia tego nie potwierdzają.

Wśród rodzin, pracujących w fabryce wspomnianej, jest jedna, która się wydaje najbiedniejszą: sześcioro dzieci w najgorszych lachmanach, mieszkanie najbardziej ze wszystkich zaniedbane i brudne; nigdy grosza w domu, tak, że kiedyś żona tego robotnika, pracując u mego przyjaciela, musiała zażądać zaraz wypłaty należnych jej za ten dzień dwóch franków, bo nie miała dzieciom za co kupić chleba. Biorą też ciągle zaliczki w fabryce, a mimo to mają długi i część płacy ulega aresztowi. Zachęcać ludzi

w takim położeniu będących do najmniejszego wydatku na lepsze umeblowanie mieszkania wygląda na żart niesmaczny. Wszakże przede wszystkim żyć trzeba, a i to już im z wielkim trudem przychodzi.

A jednak fabryczna lista płacy wykazuje, że rodzina ta pobiera wynagrodzenie następujące:

Ojciec	90	franków
Matka	60	"
Syn najstarszy (19 lat)	70	"
Córka najstarsza (18 lat)	30	"

Razem 250 franków miesięcznie.

Rodzina, złożona z ośmiu osób, z których cztery pracuje, żyje w takiej nędzy, aczkolwiek pobiera na wsi wynagrodzenie 3000 franków rocznie! Za mieszkanie zaś wraz z ogrodem, gdzie możnaby sadzić warzywa, płaci rocznie tylko 50 franków. Nędzą ta jest tembardziej zadziwiająca, iż rodzinie tej nigdy nie brakło sposobności do zarobku i blisko od lat piętnastu pracuje w tej samej fabryce bez przerwy, a jeśli zwiększona liczba dzieci pomnożyła jej wydatki, to i wynagrodzenie stopniowo się podniosło, skoro przybywała pomoc dzieci najstarszych.

Aby przyczynę tej ruiny wyjaśnić, należałoby dowieść — jak to pragnę w przyszłości uczynić — że kwestya socyalna nie jest tylko kwestyą płacy, ale i kwestyą dobrego prowadzenia się. Gdyby tylko chodziło o wysokość płacy, to los tej rodziny byłby zupełnie inny. Tymczasem główną przyczyną nędzy tych ludzi jest właśnie złe ich prowadzenie się, oraz zakorzeniony nałóg pijaństwa. Przyczyna ta jest bardziej rozpowszechniona, niż przypuszczamy ogólnie, a budżet rodzin robotniczych ma tyleż szczelin, niestety, co i mieszczańskich.

Mieszczanin ogranicza swoje wydatki, aby zadowolić upodobanie w urządzaniu przyjęć i wytwornym stroju, albo też dla zbierania dzieciom większych posagów.

Robotnik żyje w nędzy, gdyż trwoni pieniądze na wydatki niepotrzebne, śmieszne lub szkodliwe. Obaj zatem cierpią więcej z nieumiejętności spożytkowywania pieniędzy, niż z niedostatku.

Najracyonalniejszym użyciem pieniędzy jest — według przytoczonych tu faktów — przyjemne i przyzwoite urządzenie mieszkania odpowiednio do możliwości swojej, bo wydatek ten stanowi istotnie korzystną lokatę zebranych pieniędzy. Nietylko bowiem taka lokata zapobiega wielu innym rujnującym wydatkom, ale zarazem — jak to już wyżej powiedziałem — rozwija do wysokiego stopnia poczucie godności własnej i niezależności, a także pracowitość i podatność do cywilizacyjnej kultury.

Natomiast człowiek, posiadający takie podstawowe przymioty, rozstrzygnął już co do siebie samego kwestyę socyalną, gdyż stał się panem siebie, od nikogo niezależnym.



SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Przedmowa	4
Wstęp do drugiego wydania. „O mniemanej wyższości Niemców“	6
Rozdział I. Czy metoda wychowawcza, zastosowana we Francyi, tworzy ludzi?	14
Rozdział II. Czy system szkolny w Niemczech tworzy ludzi?	23
Rozdział III. Czy system wychowawczy angielski kształci ludzi?	49
Rozdział IV. Jak wychowywać nasze dzieci?	73

KSIĘGA II.

Rozdział I. Nasz system wychowawczy zmniejsza liczbę urodzeń we Francyi	90
Rozdział II. Nasz system wychowania naraża na niebezpieczeństwo stan finansowy Francyi	103
Rozdział III. Jak angielski system wychowania przygotowuje do walki o byt; typy i charaktery	113
Rozdział IV. Jak samo już urządzenie domowego ogniska przyczynia się do powodzenia Anglo-Saksona	134



18691/7